ZDZISŁAW SKROK

Słowiańska moc

CZYLI O NIEZWYKŁYM WKROCZENIU NASZYCH PRZODKÓW NA EUROPEJSKĄ ARENĘ

ISKRY

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

ZDZISŁAW SKROK

Słowiańska moc

CZYLI O NIEZWYKŁYM WKROCZENIU NASZYCH PRZODKÓW NA EUROPEJSKĄ ARENĘ

Warszawa 2013

Opracowanie graficzne: Andrzej Barecki
Redakcja: Anna Kubalska
Korekta: Ewa Cieślewicz-Godzic
Zdjęcie autora na okładce: Jacek Napiórkowski
Ilustracje z archiwum Iskier

Copyright © by Zdzisław Skrok
Copyright © by Wydawnictwo ISKRY, Warszawa 2006

Wydanie elektroniczne 2013

ISBN 978-832-440-271-7

WYDAWCA
Wydawnictwo ISKRY
ul. Smolna 11, 00-375 Warszawa
e-mail: iskry@iskry.com.pl
www.iskry.com.pl

Konwersja i edycja publikacji

Spis treści

Wstęp – Ekscytująca zagadka

Część I – Wyjście z Ciemnego Lasu

- Kochankowie Wielkiej Niedźwiedzicy
- Głośny debiut
- Zagubiona prakolebka
- Strażnicy Bursztynowego szlaku
- Zaskakujący rodowód
- Wielcy zdobywcy
- Surowi nauczyciele
- Pobratymcy z północy
- W stronę Rusi
- Wikingowie u źródeł Polski
- Wyspa łowców niewolników
- Jak mogło nas nie być
- Przygoda na wschodzie

Część II – Zapomniane źródła mocy

- Wilcze plemię
- Grzybowy lot
- Wycieczka do słowiańskiej nawi
- Sposób na zdrowie
- Niezwykłe słowianki
- Jak walczyli
- Wspaniali kłamcy
- Jacy byli

Kalendarium językowego i kulturowego formowania się Słowian

Literatura wybrana

EKSCYTUJĄCA ZAGADKA

Blisko dwieście lat temu Wawrzyniec Surowiecki (1769–1827), twórca polskiego słowianoznawstwa, sformułował w rozprawie *Śledzenie początku narodów słowiańskich* problem, który do dziś stanowi wyzwanie dla badaczy początków Słowiańszczyzny. Napisał: „Jak w swoich początkach, tak w nadzwyczajnem swojem rozpostarciu po ziemi, naród Słowiański jest zagadką, której dotąd nikt jeszcze należycie nie rozwiązał. Zaledwie posłyszano o Antach i Slawinach, kiedy nawalne ich roje zaymowały już rozległe krainy na wschód, na północ i na zachód cesarstwa greckiego (Bizancjum). Od wschodnich krańców Bałtyku do Pontu (Morza Czarnego) i Adryatyku; stamtąd przez Dunay do źródeł Menu i ujścia Elby. (...) Rzuciwszy okiem na niezmierne przestrzenie tych krajów, zdaje się niepodobieństwem, ażeby jeden naród w tak krótkim czasie zdołał zagarnąć wszystkie i okryć je swoją ludnością (...). Opanowanie połowy Europy przez tak liczny naród mnieyby zadziwiało, gdyby przy zwyczajnych środkach, ze zwyczajnych pobudek było dokonane. Wiadomo, czego dokazać może lud natchniony żądzą łupiestwa i kierowany dzielną wolą jednego. Dzieje świata ukazują

nam niemało przykładów wielkich podbojów, lecz żaden z nich nie może być zastosowany do Słowian. Kiedy inne narody skojarzone spólnością sprawy i rządu rzucały się jednocześnie i w ścisłych szeregach na upatrzonych nieprzyjaciół; Słowianie podrobieni na osobne pokolenia, bez związków wzajemnych, występowali w małych gromadach, w osobno obieranych chwilach i w oddzielnych stronach świata. Tamte, ulegając woli i rozkazom udzielnego wodza, szły wszędzie za jego skinieniem; Słowianie przy rządach gminowładnych nim się skłonili do przedsięwzięcia jakowego, ważyli wprzódy korzyści, których się z poświęcenia drogiey spokojności spodziewać mieli. Nareszcie inne zdobywcze narody wprawione do życia wojennego przelatywały z mieysca na mieysce w przerażających tłumach, szukając nieprzyjaciół na to tylko, żeby ich gnębić i wydzierać gotowe łupy; Słowianie nieustraszeni z oręża, łagodni z przyrodzenia, przez wolne wędrówki szukali jedynie ziemi, którą by potem własnego czoła upłodnić mogli. Zdaje się, że same losy, sprzyjając ich postępkom i zamiarom, chciały je uwieńczyć trwałemi skutkami; bo kiedy owe najezdnicze ludy wyginęły razem z prochami swoich łupów, Słowianie, ocaliwszy przez wszystkie burze niespokojnych wieków raz odzierżone siedliska, doczekali się szczęśliwey tey pory, która im rokuje na zawsze stały byt i znaczenie".

Pomijając romantyczny, powszechny zarówno w czasach Surowieckiego, jak i obecnie, obraz pierwotnych Słowian jako ludzi miłujących pokój i uwielbiających pracę na roli, zauważmy, że autor stawia pytanie najważniejsze w całych dziejach tego wielkiego odłamu Indoeuropejczyków. Jak to się stało, że lud, o którym cywilizowany świat usłyszeć miał dopiero w pięć wieków po narodzeniu Zbawiciela, o którym starożytni Grecy i Rzymianie zgoła nic nie wiedzieli poza kilkoma fantastycznymi plotkami,

dokonać mógł tak wielkich podbojów, a później utrwalić te zdobycze na tysiąclecia? Gdzie wcześniej przebywali ci wielcy zdobywcy i kolonizatorzy, gdzie kształtowała się ich moc, gdzie formowała się masa krytyczna, która – nagle uwolniona z ograniczeń – dokonała tak wielkiego dzieła. I jaką niezwykłą tajemnicę życia posiąść musieli Słowianie, aby takie przedsięwzięcie zakończyć mogło się sukcesem.

Pytania te sformułował Surowiecki następująco: „Badacze dziejów świata zastanawiając się nad niesłychanym tym wylewem narodu Słowiańskiego nieznanego przedtem ani z imienia, ani z posady, pytali się ze zdumieniem, i dotąd jeszcze pytają: Skąd się wziął? Gdzie wzrastał? Gdzie ukrywał do ostatniey chwili swój ród i potęgę? Te nieprzeliczone roje jego ludu nie mogły się ani wyśliznąć, ani utaić na rozwidnionych już przestrzeniach Europy".

Zagadnienia te do dziś stanowią największą tajemnicę Słowian. Zagadkowa jest błyskawiczna i doniosła kariera naszych przodków, przejście od kulturowej prostoty i pierwocin organizacji społecznej do form i osiągnięć obowiązujących wówczas w cywilizowanej Europie i decydujących o jej rozkwicie. Przychodząc z odległych jej peryferii, żyjąc daleko od jej centrów, Słowianie potrafili szybko nadrobić opóźnienia i zająć godne miejsce w rodzinie europejskiej. Okazali się chętnymi i pojętnymi uczniami w trudnej sztuce postępu. Zwracali na to uwagę historycy, chwalili poeci, jak Adam Mickiewicz, który w pierwszym ze swych paryskich wykładów, wygłoszonym 22 grudnia 1840 roku, powiedział, iż: „Żądza zbliżenia się do reszty Europy, zawarcia ścisłych związków z ludami Zachodu nigdzie nie jest tak powszechna i żywa jak w rodzie słowiańskim". On też w wykładzie VI napisał o Słowianach: „W ciągu tysięcy lat dzieje ich leżą w pomroce; musimy zbierać nieliczne rozproszone nazwy, we wspomnieniach ludów obcych szukać wieści

o przeszłości tego niezliczonego ludu. On sam nie posiada wcale historii, bo historia to przeszłość ludu zorganizowanego w cesarstwo lub królestwo, ludu posiadającego państwo, Słowianie zaś żyli zawsze tylko w stanie osad rozproszonych. Ich właściwa historia zaczyna się z chrześcijaństwem. (...) Umysł tego ludu – ciągnął poeta – nie był powołany do pracy nad dociekaniem zagadnień, które dla niego nie istniały. Religia ich pozostawała w stanie wierzeń jedynie. Posiadali wierzenia religijne, nie mieli słowa religijnego, słowa, które głosi prawdy wyższego rzędu, a które wywodzone bywa z natchnienia sił nadprzyrodzonych. Dlatego lud ten nie mógł się skupić około jednego słowa i nigdy nie można go było popchnąć w jakimś kierunku, na przykład do wypraw wojennych, do osiągnięcia jakiegoś rozległego a tajemniczego celu. Oto jedna z przyczyn, dla których Słowianie nigdy nie byli zdobywcami, a nawet w okresie przed przyjęciem chrześcijaństwa nigdy nie byli plemieniem wojennym...".

W tej ostatniej kwestii nasz narodowy poeta mylił się bardzo, gdyż w rzemiośle i przedsięwzięciach wojennych Słowianie na początku swej europejskiej kariery, a także później, radzili sobie nie gorzej niż inne nacje, a często je na tym polu przewyższali. Wbrew też licznym przekazom starożytnym i nowożytnym Słowianie nie byli bynajmniej narodem biernym i uległym, raczej przypisać im można przebiegłość, umiejętność kamuflażu, udawanie prostactwa. Pod tą maską zaś krył się lud znający własne niedostatki wynikające z długiego bytowania na marginesie cywilizacji, pośród zapadłych puszcz i bagien, ale równocześnie lud o wielkim apetycie na lepsze życie i sukcesy. Dlatego równocześnie, dla zmylenia przeciwników, raz paradowali z gęślami i opowiadali, że są uosobieniem łagodności, innym razem przemieniali się

w niosące pożogę i mord zastępy wojowników chciwych łupów, niewolników i ziemi.

Z drugiej jednak strony nie ulega wątpliwości, że pod wieloma względami się różnili od innych europejskich ludów, tak jak i my – ich potomkowie – nadal się różnimy. Tkwi w nas owo tajemnicze dziedzictwo czasów odległych i prastarych, gdy w ukryciu przed światem kształtowała się słowiańska forma i sprężała moc. Odrębność ta to nasz największy i najbardziej ekscytujący spadek i majątek otrzymany od przodków, dziedzictwo, które stanowi o naszej oryginalności i niepowtarzalności, najwartościowszy wkład do europejskiej skarbnicy. Jakie były jego początki, co zadecydowało o jego kształcie, wartości i niepowtarzalności – oto temat tej książki. Fascynacje obcą cywilizacją nie przyniosły bowiem Słowianom jedynie zysków i awansów, pozbawiły ich rodzimej, plemiennej tożsamości mocy. Bo jak napisał inny ówczesny miłośnik słowiańskich starożytności Zorian Dołęga Chodakowski (1784–1825): „Nie jesteśmy sobą, zamordowano nam rodziców, zamieniono nazwiska, wymazano pamięć, skazano na cudzość". Czas więc odnaleźć utracone dziedzictwo.

CZĘŚĆ I

Wyjście z Ciemnego Lasu

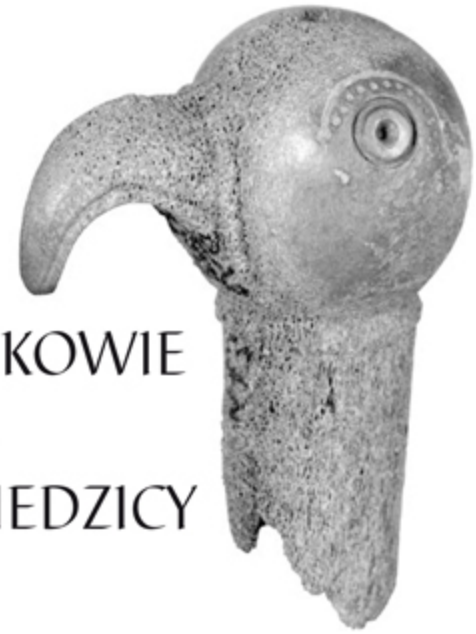

KOCHANKOWIE WIELKIEJ NIEDŹWIEDZICY

Najdawniejsze niepewne i zdawkowe informacje o Słowianach pojawiają się w dziełach greckich autorów w połowie I tysiąclecia p.n.e. Są to wiadomości niepotwierdzone, pozbawione konkretów, często fantastyczne. Jest też oczywiste, że żaden z tych pisarzy nigdy nie dotarł do terenów zamieszkanych przez naszych przodków, nie widział na własne oczy Słowianina ani też nie rozmawiał z kimś, kto mógł odbyć podróż do słowiańskich krain. Co więcej, nie znali nawet nazwy, pod którą występować mogli nasi przodkowie, dlatego my możemy jedynie domniemywać o stanie ich wiedzy. Dopiero Herodot z Halikarnasu, grecki historyk żyjący w V wieku p.n.e., nazywany ojcem historiografii europejskiej, w swych *Dziejach* dostarczył bardziej precyzyjnych informacji na ten temat. Zbierał je osobiście w greckich koloniach rozrzuconych wzdłuż północnych wybrzeży Morza Czarnego, gdzie zamieszkiwali jego pobratymcy odbywający dalekie wyprawy handlowe na północ, na tereny Scytii. Powiada więc, że północna

granica tej krainy położona jest o dwadzieścia dni drogi (ok. 800 km) na północ od Morza Czarnego, a rejon ten zamieszkiwać mają Scytowie Oracze, którzy w przeciwieństwie do swych pobratymców zamieszkujących stepy nadczarnomorskie, trudniących się hodowlą i nazywanych Scytami Królewskimi, utrzymują się z rolnictwa, do czego skłania ich przede wszystkim lesisty charakter ich kraju.

Scytowie ci, według Herodota, sąsiadować mają na północy z Agatyrsami, którzy są: „Nader zniewieściałymi ludźmi i szczególnie kochają się w noszeniu złotych ozdób, a posiadane kobiety traktują jako rzecz wspólną, aby być sobie nawzajem braćmi i wskutek tego nie żywić do siebie wzajemnie nienawiści i wrogości". Ich sąsiadami są Neurowie, którzy: „Obyczaje mają scytyjskie, ale na jedno pokolenie przed wyprawą Dariusza musieli opuścić swój kraj z powodu żmij. Ziemia ich bowiem wydawała mnóstwo żmij, a jeszcze więcej przychodziło ich z północnych pustkowi, czym udręczeni przenieśli się pomiędzy Budynów, porzucając własny kraj". Zakończona niepowodzeniem wyprawa króla perskiego Dariusza na Scytów odbyła się w 514 roku p.n.e, zaś kraj Budynów położony był na dalekiej północy i „cały porosły lasami rozmaitymi. W najgęstszym zaś ostępie znajdowało się jezioro wielkie i rozległe, otoczone moczarami i trzcinami naokoło. W nim tubylcy łowią wydry i bobry, i inne zwierzęta o czworograniastym pysku, których futrem obszywa się kożuchy i których jądra użyteczne są przy leczeniu macicy". O Budynach podaje jeszcze Herodot, że „są jedynymi w tych stronach ludźmi, którzy jedzą szyszki", zaś Neurowie jego zdaniem „muszą być czarownikami, bo zarówno Scytowie, jak i Grecy osiadli w Scytii opowiadają, że raz do roku każdy Neuryjczyk zamienia się w wilka na parę dni, aby potem na powrót przyjąć ludzką postać".

Pomimo ogólności i elementów fantastycznych relacja Herodota uznawana jest przez badaczy za źródło wiarygodne, umożliwiające odtworzenie starożytnej lokalizacji wspomnianych ludów na terenie dzisiejszej Ukrainy i Białorusi. W wyniku trwających już ponad dwa stulecia dyskusji dziś większość uczonych zgadza się, że Neurowie zamieszkiwali leśno-łąkowe obszary dzisiejszego Wołynia i nękani przez plagę żmij wywędrowali stamtąd do lesisto-bagiennej krainy Budynów, czyli prawdopodobnie na teren dzisiejszego Polesia. Sąsiadujący z Budynami Androfagowie, czyli Ludożercy (gr. *antkrofagos* – zjadacz ludzkiego mięsa), o których Herodot wie tylko, że jest to „plemię odrębne i bynajmniej niescytyjskie", mieszkali zapewne nad górnym Dnieprem, zaś przebywający jeszcze dalej na wschód Melanchlajnowie – Czarnopłaszczowcy (gr. *melas* – czarny, *chlajne* – płaszcz), również „plemię niescytyjskie", zajmowali teren nad górnym Donem. Dalej na północ rozciągała się już tylko bezludna śnieżna pustynia, którą starożytni Grecy nazywali, w nawiązaniu do znanego gwiazdozbioru, krainą Wielkiej Niedźwiedzicy. Niedźwiedź to po grecku *arktos*, stąd nazwa dzisiejszej Arktyki – krainy polarnych niedźwiedzi.

Rzymianin Pliniusz Starszy (23–79 n.e.) w *Historii naturalnej*, będącej podsumowaniem wiedzy przyrodniczej antyku również w zakresie geografii, dorzucił nieco nowych informacji o interesujących nas obszarach. On także wymienia Neurów, Budynów, Androfagów i Agatyrsów „o granatowych włosach" oraz trudniących się myślistwem Tyssagetów. „Stamtąd – czytamy w relacji Pliniusza – blisko już do gór Ripejskich i krainy zwanej Pteroforos, biorącej swą nazwę od ciągłych opadów śnieżnych na podobieństwo ptasich piór. Kraina ta przeklęta jest przez bogów, pogrążona w gęstych mgłach i wiecznie ściśnięta lodem, jest

siedzibą mroźnego wiatru Akwilona. Poza tymi górami, na północ od Akwilona, mieszka lud szczęśliwy – jeśli chcemy dać temu wiarę – zwany Hiperborejczykami. Tam też rozpoczynać i kończyć mają się drogi gwiazd, słońce zaś świeci tam przez pół roku i jeden dzień, a w pozostałe dni panuje mrok. Kraina to słoneczna, o doskonałym klimacie, wolna od wszelkich szkodliwych wiatrów. Za domy służą tym ludom świetliste gaje, bogom oddają cześć każdy z osobna, nie znają kłótni ani chorób. Śmierci szukają sami, gdy syci są już życia, i skaczą wtedy z pewnej skały do morza, który to rodzaj śmierci uchodzi za najszczęśliwszy".

Hiperborejczycy bez wątpienia najbardziej fascynowali starożytnych Greków, już choćby z tego powodu, że mieszkali w krainie mroźnej i mrocznej, w której niedające ciepła słońce świeci o północy, będącej symbolem śmierci i przeciwieństwem słodkiej Hellady. Aby tam przetrwać, musieli dysponować ogromną mocą, byli więc potężnymi czarownikami, nadludźmi, nauczycielami ludzkości.

Nic więcej starożytni pisarze nie wiedzą o terenach położonych na północ od ich kolonii i portów nad brzegami Gościnnego Morza. Pliniusz wspomina jeszcze o żyjących na zachód od Neurów potężnych Wenetach, którzy zamieszkiwać mają nad Vistulą (Wisłą) uważaną w geografii starożytnej za ważną rzekę graniczną, oddzielającą barbarzyńską Germanię od Scytii europejskiej, czyli używając współczesnych kategorii, Europę Zachodnią od Europy Wschodniej. Czy jednak pośród tych – mających często mityczne przymioty – ludów, opisanych zdawkowo, obdarzonych nierzadko cechami fantastycznymi, odnajdować można naszych starożytnych przodków?

GŁOŚNY DEBIUT

Archeolodzy i historycy odpowiadają twierdząco na to pytanie, choć różne proponują identyfikacje. Jedni wskazują na mieszkających na Polesiu Neurów nękanych przez plagę wężów, przemieniających się w wilki, dysponujących więc archaiczną, odwieczną mocą szamańską, okrutnych i tajemniczych. Inni dowodzą, że Słowianie to lud od najdawniejszych czasów mieszkający nad Wisłą i Odrą, to znani z rzymskich relacji Wenetowie, którzy w kronikach średniowiecznych odnajdują się jako Wenedowie. Lud potężny, którego nie można jednoznacznie ocenić. Żyli – jak donosił w I wieku n.e w *Germanii* Tacyt – z grabieży swych sąsiadów, ale równocześnie byli łagodni, pasjonowali się grą na cytrze. „Są oni na ogół brudni i ubodzy – powiada Tacyt – a dostojnicy ich apatyczni, wiele też obyczajów przejęli od Sarmatów; albowiem w swych wyprawach łupieskich przebiegają wszystkie lasy i góry, jakie wznoszą się między Peucynami (Germanami – Z.S.) i Fennami (Finami – Z.S.). Raczej należy ich jednak do Germanów zaliczyć, ponieważ budują stałe domy, noszą tarcze, lubują się w pieszych marszach i chyżości – a wszystko to odmienne jest u Sarmatów, którzy spędzają życie na wozie i na koniu". Jeśli rzeczywiście byliby to nasi najdawniejsi przodkowie – zarówno w pierwszej, jak i drugiej wersji – to ich

pasje i przypadłości wiele tłumaczą z późniejszych losów i upodobań narodów słowiańskich. Okrucieństwo i łagodność – odwieczna zagadka słowiańskiej duszy – tam właśnie u zarania dziejów znajduje źródło i wytłumaczenie. Gdyby tylko starożytni pisarze naprawdę wiedzieli, o kim piszą.

Pierwsze bowiem pewne informacje o Słowianach pochodzą dopiero z połowy VI wieku, kiedy to Jordanes, historyk rzymski, napisał *Pochodzenie i dzieje Gotów*. Sam zromanizowany Got, opisując największą w historii przygodę ludów germańskich, która im się przydarzyła w epoce wędrówek ludów, spostrzega też ich rywali z powodzeniem konkurujących o dogodne miejsce w uczcie na gruzach rzymskiego cesarstwa. Obok groźnych azjatyckich koczowników uwagę jego zwraca również wielki lud Wenetów podzielony już wtedy na dwa odłamy – Sklawinów i Antów. Pierwsi zamieszkiwać mieli tereny wzdłuż północnego łuku Karpat, od Małopolski przez Ruś Czerwoną, Podole aż do ujścia Dunaju. „Ci w miejsce miast – powiada Jordanes – mają błota i lasy. Antowie zaś, którzy są z nich najdzielniejsi, rozciągają się od Danastru (Dniestru), w tym miejscu, gdzie wygina się Pontus (Morze Czarne), aż do Danapru (Dniepru), które to obie rzeki odległe są od siebie o wiele dni drogi".

To owi Wenetowie w 517 roku wtargnęli na obszar cesarstwa bizantyjskiego, przepłynęli Dunaj i zajęli Trację. Cesarze przez dziesięciolecia walczyć będą ze zmiennym szczęściem o odzyskanie tej bogatej prowincji, a Jordanes, który w 551 roku kończył swe dzieło w jednym z klasztorów położonych w okolicach Thesalonik (Salonik), z niepokojem nasłuchiwać będzie wieści z północy. Słowianie budzili bowiem postrach liczebnością i okrucieństwem, dlatego Jordanes nie omieszkał z dumą zauważyć, że dwa stulecia wcześniej Antowie i Sklawinowie słuchali rozkazów wielkiego

gockiego króla Hermanaryka. A wyzwolili się z tej zależności dopiero po wielkiej klęsce zadanej Gotom i sąsiadującym z nimi Alanom przez okrutnych Hunów. Hermanaryk popełnił wówczas samobójstwo, jego państwo rozpadło się, a Goci schronili się na terenie rzymskiej jeszcze wówczas Dacji. Następca Hermanaryka, Winitar, próbował odbudować zwierzchnictwo nad Słowianami i, jak pisze Jordanes, „ruszył z wojskiem na ziemię Antów i choć poniósł klęskę w pierwszym z nimi starciu, następnie energicznie sobie poczynał i króla ich, nazwiskiem Boz, z jego synami i siedemdziesięciu naczelnikami przybił na krzyż dla postrachu". W sprawę szybko wdali się Hunowie i obawiając się wzrostu potęgi Gotów, rozbili ich wojsko, a Winitara zamordowali. Działo się to około 380 roku.

Od tego więc czasu nasi przodkowie musieli się wiele nauczyć, również w okrutnym rzemiośle wojennym, o czym przekonuje nas inny ważny dla wczesnych dziejów Słowian historyk – Prokopiusz z Cezarei (490–560), autor obszernej *Historii wojen* opowiadającej o militarnych sukcesach i niepowodzeniach cesarzy wschodniorzymskich, osobisty doradca Belizariusza podczas afrykańskiej kampanii. „Zdarzyło się – powiada – że w roku 550 zebrało się wojsko Sklawinów nie większe niż około trzech tysięcy ludzi i przeszedłszy bez przeszkód rzekę Ister (Dunaj), podzieliło się na dwie części. Jedna wataha miała tysiąc osiemset ludzi, druga resztę. Komendanci załóg rzymskich (czyli bizantyjskich) w Illirii i Tracji starli się z jedną i drugą, a choć oddaliły się od siebie, ponieśli wbrew oczekiwaniu klęskę i część padła na miejscu, a inni znaleźli ratunek w bezładnej ucieczce. Skoro więc taki los spotkał wszystkie komendy z rąk o wiele mniej licznych barbarzyńców, jedna z ich watah starła się z Asbadosem, który należał do gwardii przybocznej cesarza Justyniana i dowodził licznym i doborowym

oddziałem konnicy. Lecz i ich także Sklawinowie zmusili do ucieczki i haniebnie pierzchających wycięli (...). Następnie łupieżcy zdobyli nadmorskie miasto Toperos, mężczyzn w liczbie dwudziestu pięciu tysięcy zaraz wymordowali, zrabowali wszystko, a dzieci i kobiety zagarnęli w niewolę. Poprzednio zaś nie oszczędzali nikogo w ogóle, mordowali bez różnicy płci i wieku, tak że wszystkie ziemie illiryjskie i trackie pełne były trupów przeważnie niepogrzebanych".

Równocześnie uchodząc w oczach bizantyjskich autorów za wielkich okrutników, Słowianie przez tych samych uważani są za ludzi niezwykle łagodnych i pokojowo usposobionych. Opinia ta to jedna z wielu tajemnic otaczających pierwszy akt słowiańskiego debiutu na historycznej scenie. Oto bowiem Teofylaktos Simokattes (VII w. n.e.), opisując liczne przypadki zmagań Bizancjum z barbarzyńcami, najpierw tak jak inni kronikarze lamentuje nad okrucieństwami „stad Sklawinów srodze trapiących terytoria trackie", a następnie, jak gdyby pisał o całkowicie innych ludziach, przechodzi do relacji zdarzenia, którego był zapewne świadkiem w 595 roku: „Następnego dnia trzej ludzie pochodzenia sklawińskiego, niemający przy sobie żadnego żelaza ani sprzętu bojowego, schwytani zostali przez gwardzistów cesarskich; nieśli jedynie kitary, a niczego poza tym nie mieli ze sobą. Cesarz (Maurycy – Z.S.) wypytał ich, z jakiego plemienia pochodzą, gdzie mają swoje siedziby i dlaczego znaleźli się na terytorium rzymskim. Oni zaś odparli, że pochodzą ze szczepu Sklawinów, mieszkają nad brzegami Oceanu Zachodniego (czyli Oceanu Atlantyckiego, którego morzem jest Bałtyk, skąd zapewne przybyli – Z.S.) i że kagan awarski aż tam wysłał posłów dla zgromadzenia sił zbrojnych, a przywódcom licznych szczepów ofiarował liczne dary. Oni zaś, wziąwszy dary, odmówili mu pomocy zbrojnej, twierdząc, że odstraszają ich przestrzenie do przebycia, a do kagana wysłali ich

właśnie, obecnie schwytanych, z wymówką, że sami drogę tę odbywać musieli piętnaście miesięcy. Kagan jednak, zapominając o prawach przysługujących posłom, postanowił nie pozwolić im na powrót. A oni zasłyszawszy o narodzie rzymskim, niezmiernie ponoć sławnym z bogactw i życzliwości wobec każdego człowieka, skorzystali z odpowiedniej chwili i przedostali się do Tracji. Noszą zaś kitary, ponieważ nie są przyzwyczajeni odziewać się w zbroje, bo ich ziemia nie zna żelaza i dlatego pozwala im żyć w spokoju i bez waśni. Grają na lirach, ponieważ nie umieją dąć w surmy bojowe, a ludziom, którzy nigdy nie słyszeli o wojnie, zbyteczne są oczywiście surowsze rodzaje muzyki. Cesarz tedy z wielkim zajęciem słuchał opowiadań o tym plemieniu, ugościł łaskawie tych przybyszów z krajów barbarzyńskich, a nadziwiwszy się ich wzrostowi i wspaniałej budowie, wyprawił ich do Herakles".

Marian Plezia, tłumacz i komentator greckich i łacińskich źródeł do najdawniejszych dziejów Słowian, tekst ten opatrzył uwagą: „Trzeba dodać, że starożytni lubili ludy na północy przedstawiać w idealnych barwach, a Teofylaktos zna jeszcze tradycje historiografii starożytnej". Sugeruje więc, że całkowita odmiana dobrze znanych nad Bosforem krwawych barbarzyńców w łagodnych miłośników pokoju jest dalszym ciągiem stworzonej już w VI wieku p.n.e. przez Hekatajosa z Miletu, rozpowszechnionej później przez Herodota i Pliniusza, bajkowej opowieści o dalekiej północnej krainie Wielkiej Niedźwiedzicy i mieszkających tam pod chłodnym boreaszem szczęśliwych ludach nieznających głodu, wojen i chorób. Mogło być jednak inaczej i już wówczas w charakterze Słowian łączyły się w sposób zagadkowy i zgoła niezrozumiały dla postronnych skrajnie przeciwstawne właściwości: nieokiełznane okrucieństwo i ckliwa łagodność, zamiłowanie do mordu i wylewna gościnność, chęć do zwady i upodobanie

do sielanki. Szczególnie obecne jest to i dziś jeszcze wśród Słowian wschodnich i południowych, którzy z racji swej historii, a także wyznawanego prawosławia, nie ulegając wpływom unifikacyjnym cywilizacji Zachodu, zachowali najwięcej z pierwotnej i tajemniczej mocy słowiańskiej. Wydarzenia rewolucji bolszewickiej i epoka stalinizmu w Rosji oraz niedawna wojna bałkańska po rozpadzie Jugosławii po raz kolejny ujawniły tę mroczną zagadkę słowiańskiej duszy, jej dwoistość i skrajność, łagodność i groźną podstępność. Astolphe de Custine, francuski podróżnik, autor głośnych listów zebranych w tomach *Rosja 1839*, zauważył, że: „XIX-wieczna cywilizacja rosyjska jest jeszcze tak bliska swych źródeł, że przypomina barbarzyństwo". Wtórował mu żyjący współcześnie Cyprian Norwid, który w liście do Bronisława Zalewskiego odpowiadał w ten sposób na jego zapytanie, czy Moskale gnębiący Polaków i inne ludy słowiańskie to również bracia Słowianie: „Jużci oni są Słowianie i dali tego dowód od początku; 1. bo się sami rządzić nie umieli i wezwali Waregów; 2. bo się upijają – łatwo i ściskają się i płaczą – łatwo; 3. bo nic oryginalnego sami od siebie postawić i wywieść nie umieją bez zuchwalstwa i naśladowania". Tę samą myśl, choć już w pogardliwym stylu, zwykł wyrażać król Prus (1740–1786) Fryderyk Wielki, inicjator rozbiorów Rzeczypospolitej, nazywając Polaków „Irokezami Europy", czyli ludźmi zapóźnionymi w cywilizacyjnym rozwoju. Równocześnie jednak w tym samym czasie Johann G. Herder (1744–1803), jeden z niewielu ówczesnych niemieckich intelektualistów odnoszących się życzliwie do Słowian (drugim był Fryderyk Nietzsche głoszący swój polski rodowód), tę samą właściwość obrócić potrafił w zaletę, równocześnie dając trafne wytłumaczenie wielkiej słowiańskiej kariery u progu średniowiecza. W *Myślach o filozofii dziejów* napisał: „Ludy słowiańskie zajmują większą przestrzeń na Ziemi niż w dziejach

między innymi także i dlatego, że żyły w większej odległości od Rzymian. (...) Byli uczynni, gościnni aż do rozrzutności, byli miłośnikami wiejskiej swobody, ale przy tym ulegli i posłuszni, byli wrogami rabunku i grabieży. (...) Ich handel nad Bałtykiem zniszczyli północni Germanie; Duńczycy zburzyli Winetę, a słowiańskie niedobitki w Niemczech każą nam myśleć o tym, co Hiszpanie uczynili z Peruwiańczykami". Tajemnica słowiańskiej duszy przychodzi więc z przeszłości i szukać należy jej w miejscach, w których słowiańskość rodziła się i umacniała.

ZAGUBIONA PRAKOLEBKA

Narody jak ludzie mają swe okresy dziecięctwa i tak jak oni właśnie wówczas kształtują swe charaktery. Istotną rolę w tym procesie odgrywa zarówno środowisko, w którym zachodzi, jak i wpływ zaangażowanych nauczycieli. W przypadku narodów, które jak Słowianie późno pojawiły się na historycznej arenie, wpływ naturalnego środowiska na ich charakter jest szczególnie duży, przypuszczać bowiem można, że właśnie ono było najważniejszym partnerem i nauczycielem w trudnej szkole dojrzewania. To w jego wpływie na ludzi poszukiwać należy owej tajemnicy dwoistości słowiańskiej duszy. Gdzie więc kształtował się nasz niepowtarzalny, słowiański duch, gdzie sprężała się nasza moc przed wielkim skokiem w nieznane? Gdzie leżała owa prasłowiańska kolebka, ziemia surowa czy też mlekiem i miodem płynąca, Święta Matka i Wielka Nauczycielka?

Odpowiedź tylko pozornie wydaje się oczywista. Lud, który dziś zamieszkuje połowę Europy, nie mógł przecież przybyć z jakiegoś nieważnego zaścianka, nie mógł dojrzewać gdzieś w ostępach i na peryferiach. Ktoś ze starożytnych kupców, awanturników czy kronikarzy musiał go dostrzec, wspomnieć i opisać, powiedzieć współczesnym i tym, co nadejdą, o wielkim narodzie, który czeka

na swój czas. A jednak nic takiego się nie zdarzyło, starożytni pisarze nie wspominają kompetentnie i wiarygodnie o Słowianach. A oznacza to, że nie mieli na ich temat żadnej pewnej wiadomości, ani bezpośredniej, dostarczonej przez kupców, szpiegów, podróżników i wojskowych, ani nawet pośredniej, zasłyszanej, plotkarskiej, fantastycznej. Późniejsze badania językoznawcze wykazały również, że, w przeciwieństwie do języków germańskich, w językach Słowian przed przyjęciem przez nich chrześcijaństwa nie ma zapożyczeń z greki i łaciny, co oznacza brak wzajemnych, nawet sporadycznych, kontaktów. Również archaiczne nazwy geograficzne na terenie Europy Środkowej wymieniane przez starożytnych autorów mają wyłącznie charakter niesłowiański. Dotyczy to także najcenniejszej dla antycznych cywilizacji kopaliny pochodzącej z tych ziem – bursztynu. Słowianie nie mają bowiem jego własnej nazwy, słowo jantar jest pochodzenia bałtyckiego, a bursztyn – *bernstein*, czyli według zdroworozsądkowej etymologii „palący się kamień", to nazwa zapożyczona od Germanów. Obydwie wskazują, kto miał w starożytności dostęp do nadbałtyckich pokładów tego skarbu.

Świadczy to, że w owych czasach, aż do upadku zachodniego cesarstwa rzymskiego, Słowianie zamieszkiwali daleko od strefy wpływów i zainteresowań Rzymian. A wpływy te sięgały również nad Wisłę, gdzie za panowania Cezara dotarł, i to aż do jej ujścia, nieznany z imienia kupiec i szpieg, który dostarczył do Rzymu kilkaset kilogramów bursztynu, cenionego tam na równi ze złotem. Dwa stulecia później za panowania cesarza filozofa, Marka Aureliusza, rzymskie legiony stacjonowały na Morawach, a na górze zamkowej w Trenczynie do dziś widnieje inskrypcja potwierdzająca tę obecność. Z Trenczyna przez Bramę Morawską do Małopolski droga stała otworem, możliwości kontaktów były więc

nieograniczone. A jednak pośród licznych ludów zamieszkujących na północ od cesarstwa rzymskiego, które wymieniają rzymscy autorzy, poczynając od sławnego geografa Klaudiusza Ptolemeusza żyjącego w II wieku p.n.e., na Pliniuszu i Tacycie z I wieku p.n.e. kończąc, nie ma ludu, który można by bez wątpliwości i naukowych zastrzeżeń identyfikować ze Słowianami.

Dlatego pierwsi badacze słowiańskich starożytności, poszukiwacze zagubionej prakolebki z dużą ostrożnością zbliżali się do tego tematu, pamiętając, jak niewiele konkretnej wiedzy historycznej przekazali im starożytni pisarze. Jerzy Samuel Bandtkie, jeden z pierwszych w naszym kraju nowoczesnych i krytycznych dziejopisów, w wydanych w 1820 roku *Dziejach Królestwa Polskiego* dzieli się z czytelnikiem nadmiernym, jak miało się okazać, pesymizmem: „Niedocieczoną także jest i będzie rzeczą, jak dawno, kiedy, gdzie najpierwey Słowianie w Europie osiedli: bo że z początku i nawet w VI wieku błędne (wędrowne – Z.S.) prowadzili życie, na to zgadzają się powszechne powieści narodowe i obce podania (...), tak więc przyjęto za prawdę powszechną, że pod czas wędrówki powszechney narodów w roku 550 Słowianie do Europy weszli, a dawniey w Azyi gdzieś mieszkali". Ale przecież nauka powstała po to, aby badać nieznane, kołatać do zamkniętych drzwi, zgłębiać tajemnice nawet za cenę nieuchronnych błędów i potknięć. Dlatego już cztery lata po wyznaniu Bandtkiego jego kolega z warszawskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Wawrzyniec Surowiecki, w cytowanej już rozprawie podjął śmiałą próbę identyfikacji naszych przodków pośród ludów wymienianych przez starożytnych pisarzy. Uznał, że Słowianie skrywają się pod nazwą licznego i potężnego ludu, który po raz pierwszy wymienia w *Geografii* Klaudiusz Ptolemeusz. Lud ten to Wenedowie, których siedziby geograf ów umieścił na pograniczu starożytnej Germanii

i Scytii. Rzeką oddzielającą te krainy była według niego Vistula, identyfikowana z Wisłą. Dwa stulecia później liczny i silny lud Wenedów wymieniają także pisarze rzymscy – Pliniusz Starszy i Tacyt – i umieszczają go na południe od Bałtyku i na wschód od Germanów, czyli w przybliżeniu na terenie ziem obecnej Polski. Dlatego też autor pierwszego polskiego dzieła dotyczącego pochodzenia Słowian uznał się za upoważnionego do identyfikacji „Słowian Wenedyjskich" i podania ich pierwotnej lokalizacji: „Od wschodnich brzegów Wisły ku północy, aż do źródeł Dniepru i Wołgi, przypierając do części Bałtyku zwaney od jego imienia odnogą Wenedyiską". Równocześnie jednak zaznacza: „Ponieważ Wenedy naymniey znani byli dawnym pisarzom, przeto mało nam zostawili wiadomości o posadach i imionach osobnych ich pokoleń".

Pomimo tych zastrzeżeń identyfikacja Słowian z Wenedami i hipoteza słowiańskiej prakolebki nad Wisłą zakorzeniła się w polskiej, a także środkowoeuropejskiej nauce na ponad półtora stulecia. W tym czasie wątły przekaz autorów starożytnych obudowany został niezliczoną liczbą argumentów dostarczanych przez dynamicznie rozwijające się dyscypliny naukowe – archeologię, językoznawstwo i antropologię fizyczną. One to wspólnie wzniosły gmach słowiańskiej etnogenezy (gr. *ethnos* – lud, *genesis* – pochodzenie) na ziemiach Polski. Archeolodzy rozkopali setki osad, grodów i cmentarzysk, odnaleźli tysiące grobów, garnków i narzędzi, językoznawcy zebrali najstarsze zabytki onomastyczne: nazwy gór i rzek, antropolodzy zbadali kości dawnych mieszkańców naszych ziem pochodzące z wykopalisk i porównali je z budową anatomiczną współczesnych Słowian. Po zsumowaniu wyników tych badań doszli do wniosku, że ród słowiański powstał i kształtował się, przed swym wielkim rozejściem, właśnie pomiędzy Odrą i Wisłą. Nasi przodkowie

zamieszkiwać mieli tam już od początku II tysiąclecia p.n.e., kiedy to wyodrębnili się z wielkiej rodziny ludów indoeuropejskich. Za imponujący przykład cywilizacyjnego zaawansowania naszych prasłowiańskich przodków uznano doskonale zachowane w wilgotnym torfie relikty osiedla obronnego w Biskupinie, pochodzące z końcowej fazy (powstało w 737 r. p.n.e.) kultury łużyckiej. Ta ostatnia istniała blisko tysiąc lat (XIII–IV w. p.n.e.), zajmowała obszar od Łaby po Bug i ogłoszona została pramatką wszystkich późniejszych słowiańskich kultur. Według Józefa Kostrzewskiego (1885–1969), wybitnego archeologa i odkrywcy Biskupina, zrodzona w epoce brązu (1800–700 p.n.e.) kultura prasłowiańska trwała i nieprzerwanie rozwijała się na naszych ziemiach aż do czasów średniowiecza, a wraz z nią żyć mieli na tych terenach także nieprzerwanie jej słowiańscy twórcy.

Koncepcja ta, szczególnie popularna w okresie międzywojennym, napotkała jednak wówczas opór uczonych niemieckich, którzy dowodzili, że Słowianie przybyli na ziemie nad Odrą i Wisłą dopiero w drugiej połowie V wieku n.e., wcześniej zaś mieszkać mieli tam Illirowie, Celtowie, a przede wszystkim, od II wieku p.n.e., Germanie. Wyniknął więc spór i choć obydwie strony posługiwały się w nim tymi samymi argumentami archeologicznymi i tą samą metodą stawiającą znak równości pomiędzy zbiorami wykopanych z ziemi przedmiotów pochodzących ze zwartego obszaru i jednolitej sekwencji czasowej oraz konkretnymi historycznymi ludami, to nie tylko ich wnioski były przeciwstawne, ale też postawy obydwu środowisk stały się wrogie, sama dyskusja zaś rychło opuściła poziom naukowej bezstronności i nabrała cech zażartego sporu politycznego.

Przyczyną tego była nie tyle błędna, jak się miało później okazać, metoda badawcza – nazywana metodą archeologii osadniczej – ile

wnioski, do których doprowadziła. Według jej twórcy Gustafa Kossinny, niemieckiego prahistoryka, im dłuższa zasiedziałość jakiegoś ludu na określonym obszarze, tym większe historyczne prawa współczesnych jego spadkobierców do tego terytorium. Nawet gdyby w wyniku dziejowych przypadków zajmowali je obecnie przedstawiciele innych nacji. W sytuacji gdy z jednej strony odrodzone po stuletniej niewoli państwo słowiańskich Polaków z trudem odbudowywało tożsamość, a z drugiej pomniejszone o znaczne obszary kajzerowskie Niemcy dochodziły do siebie po klęsce I wojny światowej, ten rodzaj pseudonaukowych dowodów musiał stać się zarzewiem konfliktu, który rychło przysłonił naukową rzeczowość i bezstronność. Po dojściu do władzy Hitlera w myśl jego rasistowskiej ideologii Słowianie zaliczeni zostali do rasy niewolników. Rzeczowa dyskusja o zasiedleniu Europy Środkowej w starożytności stała się niemożliwa na gruncie nauki, rozgorzała natomiast na łamach prasy i w manifestach publicystycznych. Po polskiej stronie jej zwieńczeniem i zamknięciem tuż przed wybuchem wojny była obszerna praca Józefa Kisielewskiego *Ziemia gromadzi prochy*, wydana w lipcu 1939 roku, dedykowana – nomen omen – „żołnierzowi polskiemu".

Po zakończeniu wojny, gdy do Polski przyłączone zostały ziemie nad Odrą i Bałtykiem, dorobek przedwojennych sporów przydał się do zbudowania teorii o ich odwiecznej słowiańskości. Niemieccy polemiści poddani zostali denazyfikacji i zamilkli, ale nauki historyczne, szczególnie archeologia, rozwijały się nadal, aż przyszedł czas na rzeczową wymianę poglądów. W Polsce mogła w pełni nastąpić dopiero po zmianie ustroju w 1989 roku, gdyż do tego czasu obowiązywał zapis cenzury zakazujący publikacji poglądów kwestionujących „odwieczną" obecność Słowian nad

Odrą i Wisłą. Uczeni mogli co najwyżej spierać się na ten temat podczas naukowych spotkań lub publikować niskonakładowe broszury, przeznaczone dla wąskiego grona odbiorców. Jedno z takich wydawnictw ogłosił w 1979 roku nieżyjący już krakowski archeolog Kazimierz Godłowski. Była to rozprawa *Z badań nad rozprzestrzenieniem Słowian w V–VII wieku n.e.* dowodząca, że miejsce krystalizacji słowiańskiej kultury i języka znajdowało się w dorzeczu górnego i środkowego Dniepru, na obszarze leżącym dziś na pograniczu Białorusi i Ukrainy, skąd dopiero w okresie wędrówek ludów Słowianie wyruszyli na zachód i południe.

Jako prasłowiańską Godłowski zidentyfikował rozwijającą się na wymienionym obszarze, w okresie od II wieku p.n.e. do II wieku n.e., archeologiczną kulturę zarubiniecką, biorącą nazwę od osady w Zarubińcach nad środkowym Dnieprem. Zabytki tej kultury – domy, narzędzia, groby – wykazują wyraźne podobieństwo do wytworów kultur niewątpliwie już słowiańskich zajmujących, poczynając od VI wieku n.e., ogromny obszar aż po Łabę, Alpy i Peloponez. Równocześnie, jak twierdzi Godłowski, zabytki te różnią się zdecydowanie od zasadniczych składników kultury materialnej ludów zamieszkujących ziemie naszego kraju w okresie lateńskim (IV–I w. p.n.e.) i rzymskim (I–IV w. n.e.) epoki żelaza. Uderzająca jest też prostota i ubogość prasłowiańskiej kultury zarubinieckiej w porównaniu ze współczesnymi jej, występującymi na naszych ziemiach, kulturami przeworską i wielbarską. Pod względem produkcji garncarskiej czy metalurgicznej Słowianie osiągnąć mieli ich poziom zaawansowania dopiero w IX wieku i to głównie dzięki zetknięciu z wysoko cywilizowanymi ludami z terenów prowincji dawnego imperium rzymskiego. Według Godłowskiego o odmienności prasłowiańskiej kultury ukształtowanej nad górnym i środkowym

Dnieprem decydował zresztą nie tyle określony zestaw przewodnich typów zabytków ruchomych, ile ogólny model i funkcjonowanie tej kultury, określony typ stosunków gospodarczo-społecznych, osadnictwa, obyczajowości i wierzeń.

Hipoteza Godłowskiego jest obecnie najlepiej udokumentowaną teorią wyjaśniającą miejsce i okres kształtowania się Słowiańszczyzny. Pomimo to nadal nie brakuje koncepcji proponujących jej lokalizację w innych, często egzotycznych i nieprawdopodobnych miejscach. Celują w tym szczególnie badacze rosyjscy, jakby byli niezadowoleni z tego, że Wielkorusinom, twórcom wielkiego imperium rozciągającego się aż po Pacyfik, w procesie powstawania Słowiańszczyzny przypaść miała rola peryferyjna. Wprawdzie już pierwszy ruski kronikarz Nestor w kronice zwanej *Powieścią minionych lat* dowodził, powołując się na Biblię, że Słowianie jako potomkowie Jafeta, syna Noego, osiedli po potopie „nad Dunajem, gdzie teraz ziemia węgierska i bułgarska", tym samym akceptując peryferyczność słowiańskiej prakolebki, ale w późniejszych wiekach koncepcja ta podana została w wątpliwość. Swoistym natomiast powrotem do owej nadprzyrodzonej sankcji, wskazującej Słowianom miejsce pierwotnego osiedlenia i czyniącej ich narodem pod specjalną opieką sił wyższych, jest żywa obecnie wśród rosyjskich archeologów teoria północnego pochodzenia Wielkorusinów, czyli współczesnych Rosjan. Według niej Rosjanie, choć należą do Słowian, stanowią wśród nich najdoskonalszą, najbardziej przedsiębiorczą grupę. W istocie tylko oni są czystymi aryjczykami, którzy zachowali krew dawnych Ariów, czyli pierwotnych Indoeuropejczyków. Ponieważ wywodzą się z tego odłamu, który już w V tysiącleciu p.n.e. zawędrował aż w okolice bieguna północnego, a następnie przeniósł się w rejon północnego Uralu,

gdzie przetrwał aż do połowy 1 tysiąclecia n.e., rozwijając tam własną cywilizację i unikając mieszania się z innymi niżej rozwiniętymi fizycznie i kulturowo pobratymcami. Badacze ci dowodzą również, że to właśnie z tej wielkoruskiej, podbiegunowej cywilizacji wywodzi się cała kultura europejska ogarniająca dziś większość ziemskiego globu. I aby to udowodnić, organizują kolejne wyprawy na północ, do krainy Samojedów i Ewenków, w poszukiwaniu archeologicznych śladów zaginionej cywilizacji Rusosłowian. Jak dotąd przedmiotem ich odkryć są znane już od dawna tak zwane arktyczne labirynty, spiralne lub koncentryczne układy z kamieni, o przeciętnej średnicy 30–40 metrów, będące bez wątpienia konstrukcjami starożytnymi o przeznaczeniu rytualnym, służące duchowym wtajemniczeniom. Budowle te, położone zwykle w pobliżu morskich brzegów, występują od wybrzeży Szkocji aż po Nową Ziemię, ich dokładniejsze datowanie ani też pochodzenie nie są pewne. Stanowić mogą odprysk ogólnoświatowej cywilizacji megalitycznej rozprzestrzeniającej się właśnie wzdłuż morskich wybrzeży w okresie od V do II tysiąclecia p.n.e. O tym, że jednym z odważnych megalitycznych ludów mogli być Wielkorusini, brak jakichkolwiek informacji. Pełni narodowej dumy rosyjscy archeolodzy jednak nie rezygnują i choć na razie obok wspomnianych kamiennych układanek na arktycznych pustkowiach znajdują tylko nieliczne proste narzędzia łowieckie z kamienia i kości należące do mezolitycznych koczowników, to mogą się również powołać na antyczną sławę wspominanych już Hyperborejczyków, ludzi żyjących na najdalszej północy, skąd wieje mroźny boreasz. Według starogreckiego mitu to właśnie u Hyperborejczyków uczył się matematyki i astronomii sam Apollon, bóg nauki i sztuki. Przybywać miał też do nich

co dziewiętnaście lat, gdy gwiazdozbiór Plejad dokonuje na niebie pełnego cyklu wędrówki, powracając do pozycji wyjściowej. Pośrodku stolicy Hyperborejczyków znajdować miała się okrągła świątynia Apollona, w której przechowywać miał wielką, kamienną strzałę. Za jej pomocą zemścił się straszliwie na cyklopach za to, że wykuli dla Zeusa piorun, którym ten zabił syna Apollona – Asklepiosa, boga lekarzy. Strzała ta miała później ulecieć do nieba, ale zanim powstał z niej gwiazdozbiór Strzelca, Hyperborejczyk Abasis okrążył na niej całą ziemię. Z kraju Hyperborejczyków pochodzić miały też święte przedmioty czczone w świątyni Apollona na jego wyspie – Delos. W Delfach, najważniejszym ośrodku kultu Apollona w Grecji, sławną wyrocznię założyć miał również Hyperborejczyk o imieniu, jak najbardziej budzącym dziś północne skojarzenia, Olen. On także miał być pierwszym, jeszcze przed Pytią, wieszczem Apollona.

Pierre Grimal w *Słowniku mitologii greckiej i rzymskiej* dodaje również, że Hyperborejczycy „byli biegli w magii, mogli unosić się w powietrzu, odnajdować skarby". I ta ostatnia wzmianka zasługuje na szczególną uwagę, nawet gdyby ów „lud mieszkający pod Boreaszem" był równie fantastyczny, jak arktyczna prakolebka wielkoruskich aryjczyków poszukiwana przez rosyjskich archeologów. Przypuszczać można bowiem, że w tym archaicznym, utopijnym zgoła micie przechowywać się może jakiś niejasny okruch wiedzy o naszych autentycznych praprzodkach.

STRAŻNICY
BURSZTYNOWEGO
SZLAKU

Jeśli uznać, że zgodnie z aktualną wymową naukowych świadectw miejsce, w którym Słowianie wyodrębnili się ze wspólnoty ludów indoeuropejskich, znajdowało się na lesistych terenach dzisiejszej Białorusi i Ukrainy, skąd dopiero w V wieku zaczęli przenikać na zachód, to warto zadać pytanie, jakie ludy mogły w tym czasie zamieszkiwać nasze ziemie. Pytanie to jest tym bardziej zasadne, że, jak wskazują najnowsze odkrycia archeologiczne, słowiańscy przybysze początkowo zachowywali się raczej pokojowo, skromne osiedla zakładali w pobliżu osad tubylców, od których mogli się wiele nauczyć i z którymi nawiązywali bliskie związki, również małżeńskie. Jeśli tak było – a jest to bardzo prawdopodobne – to iw naszych żyłach, obok krwi Prasłowian, płynie również odrobina krwi starożytnych germańskich mieszkańców naszych ziem. Okazuje się bowiem, że od II wieku p.n.e. aż do V wieku n.e. nad Odrą i Wisłą zamieszkiwały ludy germańskie, sukcesywnie opuszczające skandynawską kolebkę i szukające lepszego życia na południu. Pośród nich zaś najdłużej na naszych ziemiach przebywali i największą rolę cywilizacyjną odegrali... Wandalowie, uznawani

od 455 roku, kiedy to zdobyli i złupili Rzym, za największych barbarzyńców, czyli „wandali", zajmujących się, jak głosi encyklopedia: „rozmyślnym niszczeniem jakichś dóbr i wartości, szczególnie kulturalnych". I choć ów kompromitujący epitet ukształtował się i wszedł do języka dopiero w XVIII wieku, to jednak dziś mało kto chciałby mieć w swym rodowodzie wandalskich przodków. Zresztą już samo przyjęcie możliwości dłuższego pobytu starożytnych Germanów na naszych ziemiach jeszcze do niedawna budziło sprzeciw w polskiej nauce. Co najwyżej dopuszczano ich chwilową, nieistotną pod względem kulturowym i osadniczym obecność, na przykład w trakcie przemarszu ze Skandynawii na południe Europy. Tak utrzymywał Józef Kostrzewski. We wspomnieniach, które ukazały się rok po jego śmierci, napisał: „Zwalczałem błędne poglądy archeologów niemieckich na rzekome odwieczne zasiedlenie Śląska przez Germanów i zaznaczałem, że o ile istotnie ludność germańska przebywała przelotnie na Śląsku, to nie ma ona większych praw do tej dzielnicy niż Cyganie, którzy również włóczą się po całej Europie". Prawda okazała się jednak różna od jego przekonań, a odrzucenie szowinistycznej idei archeologii zakładającej wykorzystywanie starożytnych układów etnicznych i kulturowych jako argumentów we współczesnych dążeniach politycznych sprawiło, że już bez uprzedzeń i ideologicznych celów archeolodzy mogli przystąpić do odkrywania zagadki Wandalów, a także innych plemion germańskich żyjących na naszych ziemiach w starożytności.

Najważniejszą, wręcz rewolucyjną zmianą, która w ostatnich latach nastąpiła w archeologicznym obrazie ziem naszego kraju w okresie przedrzymskim (II–I w. p.n.e.) i rzymskim (I–IV w. n.e.), jest nowa identyfikacja rozkwitającej wówczas na tym terenie (z wyjątkiem obszarów północnych zamieszkiwanych przez ludy

bałtyckie) kultury przeworskiej, wywodzącej swą nazwę od starożytnego cmentarzyska we wsi Gać koło Przeworska. Ten zespół zabytków wytworzonych przez zwarty, wyodrębniający się lud nazywany był też kulturą grobów jamowych lub kulturą wenedzką. W pierwszym przypadku chodziło o specyficzny obrządek pogrzebowy polegający na wsypywaniu wprost do grobowej jamy popiołów i szczątków stosu, na którym dokonywano ciałopalenia zmarłego. Druga nazwa nawiązuje do wspominanych już Wenetów (Wenedów) lokalizowanych przez autorów antycznych mniej więcej na naszych ziemiach i utożsamianych przez niektórych polskich archeologów ze Słowianami. Rewolucyjna zmiana polega zaś na tym, że Wenetami okazali się nie Słowianie, których wówczas nie było jeszcze nad Odrą i Wisłą, ale Wandalowie.

Świadectwem tej teorii są nie tylko odkrycia najwcześniejszych identyfikowanych niewątpliwie jako słowiańskie zabytków na obszarze Białorusi i Ukrainy przy równoczesnym ich braku na naszych ziemiach w okresie rzymskim, ale także oczywiste podobieństwo między kulturą przeworską i kulturą już bezsprzecznie wandalską, zarejestrowaną przez archeologów na terenie Słowacji i północnych Węgier, dokąd przenieśli się Wandalowie po klęskach zadanych im przez również germańskich Gotów. Fakt osiedlenia się Wandalów nad Cisą i jej dopływami potwierdza również gocki historyk Jordanes. Wandalowie toczyli wyniszczające walki z Gotami już wcześniej, zaraz po przybyciu tego wojowniczego plemienia ze skandynawskiego matecznika na teren środkowego i wschodniego Pomorza. Goci pojawili się tu w połowie II wieku n.e., a archeologicznym świadectwem ich pobytu na naszych ziemiach jest kultura wielbarska (nazwa pochodzi od ich cmentarzyska w Wielbarku leżącego

na przedmieściach Malborka) nazywana wcześniej gocką lub gocko-gepidzką. W połowie III wieku jej ekspansja objęła cały obszar naszego kraju położony na prawym brzegu Wisły, doprowadzając do wyparcia stamtąd, szczególnie z żyznych obszarów wschodniej Małopolski, kultury przeworskiej. Wnioskować więc można, że w konfrontacji tej Goci byli zwycięzcami, a Wandalowie zmuszeni zostali do poszukiwania innych ziem.

Zanim jednak większość tego ludu przeniosła się nad Cisę, Wandalowie, mieszkając przez kilka stuleci na naszych ziemiach, doprowadzili je do rozkwitu gospodarczego i kulturowego. Wbrew bowiem czarnej legendzie, wymyślonej o nich przez wrogów i stronniczych historyków, byli przede wszystkim ludźmi pokojowej pracy, a bogactwa zdobywali nie na wojnie, ale w warsztatach rzemieślniczych i na polach uprawnych. Paradoksalnie to właśnie oni byli najbardziej zamiłowanymi rolnikami pośród wielu innych ludów germańskich tamtych niespokojnych czasów. Ich wielkimi mistrzami w tym dziele byli Celtowie, pierwsi i najważniejsi cywilizatorzy barbarzyńskiej Europy, twórcy rozległej prowincji kulturowej od V do II wieku p.n.e. obejmującej Europę Zachodnią i Środkową poza granicami imperium rzymskiego. To od nich Wandalowie nauczyli się wytopu żelaza – najcenniejszego surowca tamtych czasów – oraz wytwarzania z niego o wiele doskonalszych, niż znali wcześniej, narzędzi również rolniczych, takich jak radlice, kroje podłużne, a nawet pługi. Celtowie nauczyli ich też produkcji wysokiej jakości naczyń ceramicznych formowanych na kole garncarskim, wypalanych w piecach utrzymujących wysoką temperaturę, pokazali, jak uzyskiwać sól z kujawskich solanek, zainteresowali pozyskiwaniem i obróbką bursztynu.

Właśnie umiejętność wytopu żelaza i bursztyniarstwo były, obok intensywnego rolnictwa, głównymi źródłami bogactwa

i politycznego znaczenia Wandalów pośród innych ludów zamieszkujących w sąsiedztwie granic imperium rzymskiego. Szczególnie ważną rolę odgrywało żelazo, metal budzący postrach i zazdrość wśród ludów wczesnej epoki żelaza (na naszych ziemiach VII–IV w. p.n.e.), które same, używając jeszcze narzędzi i broni wykonanej z brązu, doświadczały ostrości i twardości żelaznych mieczy w dłoniach celtyckich przybyszów. Jak można się domyślać, Celtowie niechętnie dzielili się z tubylcami, przedstawicielami kultury łużyckiej zamieszkującymi wówczas nasze ziemie, tajemnicą wytapiania metalu zapewniającego im nad nimi przewagę. Polegała ona zaś przede wszystkim na umiejętności osiągania w hutniczych piecach bardzo wysokiej, sięgającej 1350 stopni Celsjusza, temperatury, w której żelazo uzyskuje stan półpłynny. Umiejętność tę posiedli na naszych ziemiach dopiero Wandalowie i to oni pierwsi upowszechnili tu wyroby z żelaza, a także doprowadzili produkcję metalurgiczną do tak wielkiego rozkwitu, że – jak podejrzewają archeolodzy – stali się głównymi producentami i eksporterami wyrobów żelaznych w okresie rzymskim na terenie Europy Środkowej. Założone przez nich w I wieku p.n.e. dwa wielkie ośrodki metalurgiczne w rejonie Gór Świętokrzyskich i na Mazowszu Zachodnim dostarczały do schyłku III wieku n.e. tak wielką ilość żelaza, że, jak obliczono, przewyższała wielokrotnie zapotrzebowanie miejscowej ludności. Co działo się więc z nadwyżką?

Badacze przypuszczają, że wykuwano z niej przede wszystkim broń, na którą pośród plemion germańskich napierających bezustannie od początku nowej ery na granice Imperium Romanum było wielkie zapotrzebowanie. Wandalowie mieszkający z dala od głównego teatru wojen, ukryci za bezpiecznym wałem Karpat, mogli w spokoju oddawać się swym zajęciom w hutach i kuźniach,

nie obawiając się nadprodukcji. Ich pobratymcy napierający na rzymski limes nie mieli czasu ani też umiejętności, aby poświęcić się tym zajęciom. Dlatego przypuszczać można, że to właśnie na naszych ziemiach: w Małopolsce, na Śląsku i Mazowszu, znajdowały się zbrojownie barbarzyńców, magazyny i wytwórnie broni, dzięki której powalili oni w końcu cesarstwo zachodniorzymskie. I nie powstrzymał ich Marek Aureliusz, który z rzymskich cesarzy dotarł najdalej na mroczną, barbarzyńską północ, dochodząc prawie na przedpola Karpat. Po drugiej ich stronie dzień i noc pracowały szeregi dymarek – jednorazowych hutniczych pieców opalanych węglem drzewnym – i błyskały płomieniami kuźnie, mielerze i prażarnie rudy. W wojennych obozach tych kampanii pisał *Rozmyślania*, w których przewidywał też nieuchronny kres Imperium Romanum: „Popatrz wstecz na przeszłość, na tak olbrzymie przemiany mocarstw. Możesz i przyszłość przewidzieć. Będzie ona bowiem zupełnie taka sama co do formy i nie będzie mogła uwolnić się od rytmu widocznego w wypadkach teraźniejszych. Wiatr wiejący z nieba musi ścierpieć wśród trudów bez narzekania. Nie należy więc gniewać się na bieg wypadków, nic ich to bowiem nie obchodzi".

Dwa tysiąclecia później cezarowi filozofowi odpowiedział poeta z kraju barbarzyńców, potomek tych, którzy unicestwili imperium, ale też oddali się w całkowitą niewolę tysiącletniej kulturze antyku. Zbigniew Herbert w wierszu *Do Marka Aurelego* napisał:

Dobranoc Marku lampę zgaś
I zamknij książkę. Już nad głową
Wznosi się srebrne larum gwiazd
To niebo mówi obcą mową
To barbarzyński okrzyk trwogi
Którego nie zna twa łacina

To lęk odwieczny ciemny lęk
To kruchy ludzki ląd zaczyna
bić. I zwycięży. Słyszysz szum
to przypływ. Zburzy twe litery
żywiołów niewstrzymany nurt
aż runą świata ściany cztery...

Ale przecież nie tylko krwawe wojny łączyły śródziemnomorską cywilizację z ludami mrocznej północy. Wzajemne zaciekawienie i fascynacja wyrażały się przede wszystkim w relacjach handlowych i wyprawach poznawczych. A głównym towarem interesującym rzymskich uczonych, kupców i arystokratów był wspomniany już bursztyn, owa tajemnicza żywica eoceńskich drzew, którą starożytni Grecy nazywali elektronem, gdyż po potarciu przyciągała drobiny innych substancji, Rzymianie zaś określali jako *glaesum* – żywicę. Ta występująca obficie na południowych brzegach Bałtyku kopalina, której nadawano moc leczniczą i magiczną, znana była nad Morzem Śródziemnym już w epoce neolitu, zawsze jednak docierała w te rejony w wyniku handlu pośredniego, przekazywana z rąk do rąk przez wielu lokalnych kupców. W ten sam sposób docierał bursztyn do Rzymu i zachodnich prowincji cesarstwa. Już w okresie wpływów celtyckich (IV–I w. p.n.e.) w Europie Środkowej ukształtował się bursztynowy szlak handlowy prowadzący z Rzymu aż w okolice ujścia Wisły i Półwyspu Sambijskiego, gdzie do dziś znajdują się największe złoża bursztynu bałtyckiego. Szlak ten wykorzystywano szczególnie intensywnie w pierwszych wiekach nowej ery, kiedy imperium rzymskie było w szczytowej fazie rozwoju, a równocześnie ziemie naszego kraju zasiedlone przez federację plemion wandalskich przeżywały okres gospodarczego dobrobytu. Odkryty na początku XX wieku w Partynicach, stanowiących dziś dzielnicę Wrocławia, magazyn zawierający ponad

trzy tony bursztynu zapakowanego w worki i gotowego do transportu świadczy o rozmachu handlu tym towarem. Był on tak zyskowny, że ludy żyjące na trasie bursztynowego szlaku same dbały o bezpieczeństwo kupców, a często zapewniały również transport towarów przez swoje terytorium. Nie bez powodu więc Wandalowie zyskali nazwę strażników bursztynowego szlaku i głównych jego beneficjentów, choć naprawdę największe zyski z tej wymiany osiągali naczelnicy plemienni. Świadczą o tym pełne luksusowych wyrobów rzymskich rzemieślników (łącznie z wykwintnymi naczyniami do mieszania i spożywania wina) grobowce plemiennej starszyzny, tak zwane groby książęce, odkryte choćby we Wrocławiu Zakrzowie, Opolu Gosławicach i Łęgu Piekarskim koło Łęczycy.

Szczególne miejsce w tych kontaktach odgrywa opisana przez Pliniusza Starszego w *Historii naturalnej* wspominana już wyprawa rzymskiego szlachcica po bałtycki bursztyn zorganizowana z inicjatywy znanego z ekscentrycznych pomysłów cesarza Nerona (panował w latach 54–68 n. e). Jest to jedyna relacja informująca o tym, że obywatel rzymski dotarł bezpośrednio na nasze ziemie i na wybrzeża Bałtyku. Równocześnie sama wyprawa uważana jest za jeden z wielu przejawów gigantomanii tak charakterystycznej dla Nerona. Pliniusz powiada: „Niedawno się przekonano, że to wybrzeże Germanii, z którego jest przywożony bursztyn, znajduje się w odległości prawie sześciuset mil (889 km) od Carnuntum w Pannonii. Żyje jeszcze ekwita rzymski wysłany dla zdobycia bursztynu przez Julianusa zarządzającego igrzyskami gladiatorskimi cesarza Nerona. Odwiedził on miejsca handlowe i wybrzeża, przywożąc takie ilości bursztynu, że nawet siatka służąca do powstrzymywania zwierząt i osłaniania podium miała w każdym węzełku bursztyn. Broń zaś, mary i cały sprzęt używany

przez jeden dzień był z bursztynu dla urozmaicenia wystawy w poszczególnych dniach. (...) Najcięższa bryła bursztynu ważyła trzynaście funtów (4,26 kg)". Inny rzymski historyk tamtych czasów, Julius Solinus, dodaje: „Na igrzyskach wydanych przez Nerona cały sprzęt był ozdobiony bursztynem; nie było to trudne, ponieważ w tym właśnie czasie król Germanii posłał mu w darze trzynaście tysięcy funtów bursztynu (4257 kg)". Do tych wiadomości warto dodać informację zapisaną również w *Historii naturalnej* o wyprawie na daleką północ greckiego żeglarza Pyteasza z Marsylii. Dotarł on w połowie IV wieku p.n.e. do lądu, który rzymscy geografowie nazywali Ultima Thule, a który identyfikowany jest ze Szkocją albo Skandynawią. Być może też gościł na południowym wybrzeżu Bałtyku, gdzie starożytni lokalizowali bursztynonośną wyspę Abalus, która identyfikowana być może z Półwyspem Sambijskim, gdzie, jak pisze Plinusz, bursztyn „wyrzucany jest na brzeg. Mieszkańcy tych okolic zaś używają go zamiast drew do ognia i sprzedają swym sąsiadom".

Jedno nie ulega wątpliwości, Wandalowie, kontrolując bursztynowy szlak, nie tylko czerpali z niego pokaźne zyski ekonomiczne, ale też dzięki zainteresowaniu tą cenioną kopaliną skupiali uwagę rzymskich kupców, geografów, szpiegów i awanturników. To zaś owocowało dopływem na daleką północ ówczesnej barbarzyńskiej Europy nowych idei, wynalazków technicznych i form organizacji społecznej. Dzięki tym kontaktom Wandalowie stali się przodującym kulturowo ludem Europy Środkowej i kiedy otrzymali swoje „pięć minut" w dziejach świata, potrafili wykorzystać szansę. A ich kariera była równie krótka, co wspaniała.

W pierwszych latach V wieku porzucili tereny nad Cisą i rozpoczęli wielką, zdobywczą wędrówkę, która zaprowadziła ich

spod mrocznego nieba północy aż pod gorące słońce Afryki. Ostatniego dnia 406 roku wraz ze sprzymierzonymi Alanami i Swebami przekroczyli Ren, korzystając z surowej zimy, i wdarli się na teren zamożnej rzymskiej prowincji Galii. Rabowali w niej przez trzy lata, a gdy dokonali dzieła spustoszenia, przenieśli się do Hiszpanii, gdzie początkowo zamierzali się osiedlić, ale już w 416 roku zostali zaatakowani przez swych tradycyjnych zaciekłych wrogów – Wizygotów, którzy przybyli do Hiszpanii, aby odbić ją dla rzymskiego cesarstwa. Próba ta nie powiodła się; choć Wizygoci zdołali prawie całkowicie unicestwić Alanów oraz jedno z plemion wandalskich – Silingów, to jednak rychło zaprzestali wojny i powrócili do Galii. Do Hiszpanii, i to na długo, mieli powrócić w następnych dziesięcioleciach, tworząc tam własne państwo, które przetrwać miało do najazdu arabskiego. Hasdingowie – główna część wandalskiego ludu – przystąpili wówczas do realizacji planu, który fascynował ich od chwili przybycia do Hiszpanii, a może nawet zrodził się pod niebem północy: przedarcia się do urodzajnych prowincji afrykańskich i założenie tam własnego państwa. W 425 roku zdobyli ważny rzymski port w południowej Hiszpanii – Cartagenę (Carthago Spartaria), w ich ręce wpadły liczne okręty. Manewrując nimi, niespodziewanie odkryli ukryte dotąd talenty żeglarskie. Sprawdzili je, urządzając jeszcze w tym samym roku łupieską wyprawę na Baleary. Cztery lata później prowadzeni przez ich najwybitniejszego wodza, Gejzeryka, przepłynęli Cieśninę Gibraltarską, za sobą pozostawili swój jedyny zachowany do dziś ślad w geograficznym nazewnictwie Andaluzję – Krainę Wandalów (Wandalos – Andalos – Al-Andalus).

W Afryce opanowali jej najżyźniejszą część, prowincję Africa – utworzoną w 146 roku p.n.e. na gruzach państwa kartagińskiego. Byli już wtedy chrześcijanami, choć wyznania ariańskiego,

odrzucanego przez katolików. Gejzeryk stworzył tam silne i dobrze zorganizowane państwo, które istniało 105 lat, zapewniając przybyszom z nad odległej Wisły (jedna z jej starożytnych nazw to flumen Vandalus – rzeka Wandalów) życie dostatnie, nawet luksusowe i błogie. Bez trudu też i z wyraźnym entuzjazmem germańscy barbarzyńcy raz jeszcze ulegli urokowi rzymskiej kultury, gustując w jej wyrafinowanej sztuce i militarnej potędze. Dowodem tej ostatniej miała być łupieska wyprawa właśnie na Wieczne Miasto. Poprowadzona przez Gejzeryka flota wandalska wpłynęła do ujścia Tybru, piraci wdarli się do miasta i tylko dzięki mediacji papieża odstąpili od rzezi, poprzestając na trwającym dwa tygodnie systematycznym łupieniu Rzymu. I tak właśnie przez ten czyn stali się symbolem bezmyślnego „wandalizmu".

Kres państwu Wandalów położył wybitny bizantyjski wódz – Belizariusz. Jego wielką wyprawę do Afryki w 533 roku opisał szczegółowo Prokop z Cezarei. Przyczyną klęski Wandalów – jak wynika z dzieła Prokopiusza – nie była przede wszystkim ich słabość militarna, ale brak wiary w zwycięstwo i niechęć poddanych, od których, pomimo stu lat współżycia, przybysze oddzieleni byli barierą wrogości ujawniającej się szczególnie w momentach ku temu sprzyjających. Ostatni wandalski król Gelimer uprowadzony został do Konstantynopola, gdzie uczestniczyć musiał w triumfalnym orszaku Belizariusza. Według Prokopiusza: „Nie płakał ani nie krzyczał, lecz w koło powtarzał słowa hebrajskiego pisma: Marność nad marnościami – wszystko marność". Otrzymał później godność patrycjusza, ale jego współbracia albo zginęli w trakcie bitew z Bizantyjczykami, albo zostali przez nich deportowani i rozproszeni po odległych prowincjach cesarstwa. Już w VI wieku nie było śladu nie tylko

po kwitnącym, założonym w błyskotliwym stylu imperium wandalskim, ale nawet po samych Wandalach. Choć czy do końca?

Antropolodzy obserwujący wygląd dzisiejszych berberyjskich mieszkańców Tunezji zwracają uwagę na częste występowanie pośród nich ludzi długogłowych, jasnowłosych i niebieskookich. Idealnych Germanów w wyobrażeniu dzisiejszych Niemców i idealnych Słowian według wyobrażeń Polaków. Dlatego zapewne obydwie te nacje należą do najbardziej zagorzałych wielbicieli Tunezji jako wakacyjnego raju. Nic przecież nie dzieje się bez przyczyny, a tęsknota za własną odległą przeszłością nie musi mieć nawet konkretnego uzasadnienia, rządzi nią bowiem niezawodna intuicja i mroczna pamięć nieświadomości. I tak jak nieprawdziwy okazał się utrwalony przez bizantyjskich, a później staropolskich i romantycznych pisarzy, stereotyp Słowianina jako pracowitego rolnika zamiłowanego w sielankach i grze na instrumentach smyczkowych, tak również fałszywy był obraz germańskich plemion jako nieustannych łupieżców i bezwzględnych zdobywców. Obydwa ludy równie dobrze potrafiły pracować i walczyć, a czyniły to w miarę potrzeby, której najważniejszym kryterium było przetrwanie w czasach, gdy jedne narody robiły błyskotliwe kariery, a inne znikały na zawsze z historii świata. Wandalowie mieli szczęście, bo sukces był ich udziałem, a później, choć pokonani, nie zaginęli całkowicie, a jedynie dokonali udanej metamorfozy. Przekształcili się w Słowian i powrócili do swej ojczystej krainy, aby pod innym już imieniem wieść życie pracowite, a niekiedy burzliwe, ale zawsze twórcze.

ZASKAKUJĄCY RODOWÓD

Początki formowania się Słowian jako odrębnej grupy językowej i kulturowej, pomimo dwóch stuleci dociekań, nadal owiane są tajemnicą. Wiadomo, że proces ich wyodrębniania się dokonał się w Europie Wschodniej, na terenach obecnej Ukrainy i Białorusi, a jako najstarsze niewątpliwie już słowiańskie świadectwo archeologiczne uważana jest wspominana już kultura zarubiniecka ukształtowana w ostatnich wiekach przed narodzinami Chrystusa. Początki różnicowania się wspólnoty indoeuropejskiej datowane są jednak na drugą połowę II tysiąclecia p.n.e., zapewne więc już wtedy rodzić musiały się zaczątki słowiańskiej odrębności językowej. Brakuje jednak na ten temat jednoznacznych materiałów, dlatego językoznawcy byli w tej materii ostrożni i utworzyli teorię bałtosłowiańskiej wspólnoty językowej, która trwać miała od początku II do połowy I tysiąclecia p.n.e. Dowodem na jej istnienie jest obserwowane i dziś bliskie pokrewieństwo języków słowiańskich i bałtyckich. Potwierdzeniem tego jest fakt, że bez mała jedna trzecia najstarszej warstwy

słownictwa tych języków to wspólne innowacje, czyli słowa utworzone w obrębie bałtosłowiańskiej wspólnoty, niewystępujące w innych językach indoeuropejskich. Warto w tym miejscu zauważyć, że określenie język bałtycki i Bałtowie jest sztuczne, wymyślone przez XIX-wiecznych historyków i językoznawców dla odróżnienia odmiennych pod względem języka i kultury ludów indoeuropejskich mieszkających na południowych obrzeżach Bałtyku. Ludy te, niegdyś liczne, zamieszkiwały w epoce pradziejowej rozległy obszar obejmujący dzisiejszą północno-wschodnią Polskę, Litwę, Łotwę, całą Białoruś i przylegające do niej tereny Rosji. Archeologicznym świadectwem aktywności ludów bałtyckich na tym obszarze jest datowana na schyłek epoki neolitu i epokę brązu (kon. IV–pocz. I tys. p.n.e.) kultura ceramiki dołkowo-grzebykowej (nazwa pochodzi od sposobu ornamentowania glinianych naczyń). WI tysiącleciu p.n.e. rozpoczyna się proces powolnego wycofywania się ludów bałtyckich w kierunku brzegów Bałtyku. Jego przyczyną jest napór ludów słowiańskich, których ekspansja była jednak powolna, gdyż dopiero pod koniec I tysiąclecia n.e. Słowianie wkraczają na tereny północnej Białorusi. O wiele groźniejsze dla egzystencji ludów bałtyckich stało się natomiast kolejne tysiąclecie, szczególnie jego pierwsza połowa, a głównym zagrożeniem okazali się nie pobratymczy Słowianie, ale szukający nowych terenów kolonizacji feudałowie germańscy i to zarówno świeccy, jak i duchowni. To na skutek ich aktywności całkowicie zostały unicestwione takie bałtyckie ludy jak Prusowie, Jaćwingowie i Żmudzini. Wraz z nimi zaginęły też ich języki. Te, które do dziś przetrwały – litewski i łotewski – zawdzięczają to XIX-wiecznym patriotom i twórcom ideologii narodowych, którzy chłopskie gwary i dialekty podnieśli do rangi języków literackich, rozbudowując ich słowniki i rozszerzając gramatykę.

Jednolity język praindoeuropejski, choć zapewne istnieć musiał naprawdę, jest obecnie tworem jedynie hipotetycznym, zrekonstruowanym przez językoznawców przy użyciu metody historyczno-porównawczej. Polega ona na porównywaniu zarówno żywych, jak i martwych języków indoeuropejskich, przede wszystkim tych, które zawierają najstarsze zabytki pisane, takich jak sanskryt, greka czy łacina albo takich, które zachowały najwięcej cech archaicznych, aby wyodrębnić najstarsze, wspólne im słownictwo i struktury gramatyczne. Otóż najwięcej owych właściwości archaicznych związanych z językiem praidnoeuropejskim zachowały do dziś języki bałtyckie. Podczas gdy większość języków indoeuropejskich straciła końcówki odmiany czasowników i rzeczowników występujące jeszcze w martwej dziś łacinie, języki bałtyckie zachowały nie tylko skomplikowany system przypadków i archaicznych końcówek (dlatego ich brzmienie i dziś przypomina łacinę), ale też stosują archaiczny akcent melodyczny. Równie konserwatywne pod względem bogactwa odmiany są języki słowiańskie, gdzie, jak w języku polskim, rzeczownik występować może aż w siedmiu przypadkach, a czasowniki – co jest rzadkością w innych językach indoeuropejskich – dzielą się ze względu na aspekt użycia na dokonane i niedokonane. Obydwie więc grupy językowe, tworzące niegdyś ścisłą wspólnotę, nie tylko wzajemnie objaśniają swoją historię, ale stanowią też najważniejsze źródło do poznania prapoczątków indoeuropejskiej wspólnoty. Biorąc pod uwagę obserwowany jeszcze w średniowieczu rozległy zasięg osadnictwa ludów bałtyckich na terenie dzisiejszej Białorusi i Rosji, fakt istnienia językowej wspólnoty bałtosłowiańskiej jest również ważnym argumentem na rzecz tezy, że słowiańska prakolebka, a więc obszar, na którym Słowianie wyodrębnili się pod względem

językowym i kulturowym, znajdowała się na wschód od Bugu, w bezpośredniej bliskości Bałtów.

Wyruszając stamtąd na zachód, na największą przygodę w swych dziejach, Słowianie unosić musieli więc w swym języku, krwi i kulturze świadectwo tamtych pokrewieństw, ale też nieśli pragnienie nowym związków i wspólnot. Archeologiczne badania prowadzone w ostatnich dziesięcioleciach na ziemiach Polski pozwoliły nieco rozświetlić mroki najbardziej zagadkowego, a zarazem kluczowego w dziejach Słowiańszczyzny wieku V n.e. Okazało się, że jeszcze w tym czasie nad Odrą i Wisłą istniały nieliczne osady kultury przeworskiej (wandalskiej) i wielbarskiej (gockiej) i, co równie ważne, prowadził przez te tereny ożywiony szlak komunikacyjny łączący południową Europę ze Skandynawią, użytkowany przez ludy germańskie szukające swojego miejsca na południu, ale nadal utrzymujące związki z terenami rodzimymi na naszych ziemiach, a nawet z mityczną już wówczas dla nich skandynawską praojczyzną. Często tą właśnie drogą transportowane były na północ bogate łupy zrabowane na południu w bogatych prowincjach rzymskich. Świadectwem tego mogą być liczne skarby, czyli celowo umieszczone w ziemi depozyty złotych monet, bizantyjskich solidów pochodzących z V wieku, znajdowane na Pomorzu Środkowym. Równie bogato, także w wyroby jubilerskie pochodzące ze śródziemnomorskich pracowni, wyposażone były groby na cmentarzyskach pochodzących z tego samego okresu i obszaru. Cały ten zespół zabytków archeolodzy określają mianem kultury albo grupy dębczyńskiej i wiążą ją z plemieniem germańskich Bastarnów, którzy w burzliwym i niebezpiecznym okresie wędrówek ludów tu właśnie znaleźli bezpieczną przystań, nie rezygnując równocześnie z przynoszących zyski wypadów na bogate, choć niosące ryzyko południe.

Dowodem podobnych związków jest odkryte niedawno w Ulowie na Roztoczu cmentarzysko germańskich Herulów datowane na schyłek V, początek VI wieku. Herulowie to ostatni lud germański, który przybył ze Skandynawii na kontynent, w źródłach historycznych po raz pierwszy odnotowany dopiero w 267 roku. W połowie V wieku utworzyli własne państwo na terenie dzisiejszych Moraw, ale wielka klęska, którą ponieśli w walce z „długobrodymi" Longobardami w 508 roku, uczyniła z nich już tylko uciekinierów i najemników. Od tego czasu wysługiwali się Ostrogotom Teodoryka, Bizantyjczykom, z którymi pod wodzą Belizariusza gromili Wandalów. Odkrycia w Ulowie wskazują, że jakieś ich niedobitki szukały również schronienia i spokojnego życia z dala od ówczesnego teatru okrutnych wojen.

Jeszcze bardziej wymowne są odkrycia na stanowiskach w Bizorendzie na terenie Małopolski oraz w Konarzewie i Beznazwie w Wielkopolsce, gdzie stwierdzono sąsiedzkie współwystępowanie datowanych na V wiek osad kultury przeworskiej i osiedli wczesnosłowiańskich. Długie, wielorodzinne domy germańskie, a w nich fragmenty glinianych naczyń doskonałej jakości toczonych na kole garncarskim i liczne wyroby żelazne dobrej jakości, sąsiadują tam z kwadratowymi półziemiankami z paleniskiem w narożniku, ułamkami garnków lepionych ręcznie i kiepsko wypalanych oraz nielicznymi kawałkami wyrobów żelaznych złej jakości. Znaleziska te pozwalają sądzić, że właśnie na terenie naszego kraju nastąpiło pierwsze spotkanie ludów germańskich i słowiańskich – i co ważniejsze – że miało ono charakter pokojowy. Wnioskować można również, że obydwie strony miały sobie coś ważnego do zaoferowania, coś obopólnie korzystnego. Domyślać się można, że przybysze byli pilnymi uczniami w trudnej sztuce cywilizacji, zaś Wandalowie

szukający schronienia na dawnej ziemi przodków po przeżytych pogromach potrzebowali duchowego i fizycznego wsparcia, a zapewne też kobiet, gdyż, jak donosi Prokopiusz z Cezarei, ich żony i córki dostały się do bizantyjskiej niewoli po upadku ich państwa w Afryce. Jedni więc dysponowali zaawansowaną kulturą i światowym doświadczeniem, drudzy demograficznym potencjałem i pragnieniem szybkiego nadrabiania cywilizacyjnych zaległości. Zawarte wówczas pierwsze małżeństwa przypieczętowały wandalsko-słowiańskie związki krwi i sprawiły, że od tej pory Wenedowie-Wandalowie i Wenedowie-Słowianie złączą swe losy i będą wspólnie występować na kartach historii raz pod jednym, raz pod drugim imieniem, skutecznie wprowadzając w błąd współczesnych i przyszłych dziejopisów. Dlatego gdy średniowieczni kronikarze Polaków, tacy jak Wincenty Kadłubek, wskazywać będą na Wandalów jako naszych przodków, wzbudzać będą protest, a nawet lekceważenie późniejszych tak zwanych krytycznych i uczonych historyków uznających, nawet bez bliższego zbadania sprawy, niemożliwość takich koligacji.

Tymczasem nie ulega dziś wątpliwości, że nie wszyscy przedstawiciele wandalskiej kultury przeworskiej opuścili nasze ziemie w połowie IV wieku zagrożeni przez groźnych Gotów i skuszeni dobrodziejstwami południowych krain. Wielu z nich pozostało w kraju, który po około sześciuset latach obecności mieli prawo nazywać rodzinnym. I to oni witali przybyszów ze wschodu, którzy dziś tereny te nazywają swoją ojczyzną. Jest też wielce prawdopodobne, że, nawet robiąc wielką karierę w krajach śródziemnomorskich, Wandalowie utrzymywali związki z obszarami nad Wisłą, o czym świadczyć mogą liczne luksusowe przedmioty rzymskiego pochodzenia odkrywane w ich grobowcach pozostawionych na naszych ziemiach. A są wśród nich rzeczy tak

niezwykłe jak kompletne zestawy brązowych i srebrnych naczyń do mieszania i spożywania wina (według starożytnych Greków i Rzymian tylko barbarzyńcy pijali wino nierozcieńczone) czy złote zawieszki z IV wieku, odkryte w Ławkach na przedmieściach Skierniewic, ozdobione wyobrażeniami ryb, uznawane za najstarsze na naszych ziemiach zabytki chrześcijańskie. Wandalowie przyjęli chrześcijaństwo wyznania ariańskiego pod koniec IV wieku już w trakcie pobytu nad Cisą, być może pod wpływem wcześniej ochrzczonych Gotów. Chrześcijańskie zawieszki z Mazowsza również dowodzą, że nie zapomnieli porzuconej ojczyzny, że właśnie na tych ziemiach, ustronnych i oddalonych od ówczesnych teatrów wojennych, szukali schronienia i ratunku, a zdając sobie sprawę, że należą one już do innych, licznych i zdolnych do walki mieszkańców, przyjęli ich nazwę i przystąpili do plemiennej rodziny. Od tej pory nazywać będą się Słowianami, a w przyszłości, gdy w X wieku nastąpi rozpad słowiańskiej wspólnoty, staną się Polanami i Polakami. To od nich tubylcy nauczą się skutecznych sposobów wojowania, zwyciężania i to oni na ich czele pustoszyć będą bizantyjskie prowincje, szukając zemsty za okrucieństwa, których doznali z rąk Belizariusza w Afryce. A łączenie się różnorodnych pod względem pochodzenia grup rodowych i plemiennych w związek określany jedną nazwą było wówczas na porządku dziennym, w niespokojnych pełnych zagrożeń i gwałtownych zwrotów czasach stanowiło wręcz regułę. Najlepszym przykładem byli tu sami Wandalowie. Archeolodzy twierdzą, że twórcami kultury przeworskiej nie byli wyłącznie Wandalowie, ale raczej federacja różnorodnych germańskich grup i plemion, pośród których być może Wandalowie odgrywali wiodącą rolę jako strażnicy bursztynowego szlaku. Podobnie działo się, gdy wyruszyli na wędrówkę w poszukiwaniu nowych ziem,

co nieuchronnie wiązało się z podejmowaniem ryzykownych wojen. Poniesione w nich straty Wandalowie uzupełniali, wcielając do swej armii różnorodne grupy wojowników, w tym również niegermańskich jak zagadkowi Lugiowie mieszkający na naszych ziemiach w okresie wpływów rzymskich, którzy równie chętnie szukali szczęścia w nowych krajach. Inną grupą byli także germańscy Silingowie – pochodzi od nich nazwa Śląska – którzy wraz z Wandalami zawędrowali aż do Afryki.

Utworzenie więc federacji, a z czasem jednolitej wspólnoty języka i krwi, Wandalów i Słowian na naszych ziemiach w drugiej połowie V wieku i kolejnych stuleciach wydaje się prawdopodobne. Oczywiście pod względem ilościowym przewaga w tym związku należała do Słowian, dlatego to ich nazwa trafiła do kronik i roczników. Od tej pory wszyscy byli Słowianami i mówili po słowiańsku, a język wandalski poszedł w zapomnienie i dziś należy do wymarłych. Jednakże wandalski ślad nadal trwa w naszej krwi i genetycznym przekazie, gdyż, jak wykazują badania biologiczne, geny tubylców są bardziej żywotne niż geny najeźdźców i przybyszów, a Wandalowie byli na naszych ziemiach przed Słowianami. Wandalom, spokojnym rolnikom i zręcznym hutnikom, ale też odważnym wojownikom, należy się miejsce w naszym rodowodzie. Szczególnie, że nikt inny do swego rodowodu nie kwapi się ich wpisać. Byli naszymi przodkami i nauczyli nas wielu pożytecznych rzeczy, dlatego musimy pielęgnować o nich pamięć.

WIELCY ZDOBYWCY

Złączenie cywilizacyjnego doświadczenia i wojennych umiejętności Wandalów z fizycznym wigorem i pragnieniem cywilizacyjnego awansu Słowian zaowocowało już pod koniec V wieku ich wielką ekspansją militarną i kolonizacyjną. Tylko w ten sposób wyjaśnić można ów gwałtowny i trwający ponad dwa stulecia fenomen wojskowej i osadniczej aktywności ludu, który jeszcze do niedawna wegetował na całkowitym marginesie ówczesnej Europy, wiódł życie ubogie i proste, orężem dysponował marnym i do żadnych podbojów się nie sposobił, a starał się raczej uniknąć agresji potężniejszych sąsiadów. Tylko dzięki połączeniu doświadczenia Wandalów i fizycznej mocy, która u Słowian przejawiała się w wielkim potencjale demograficznym, jedna trzecia Europy zmieniła właściciela, a osiedla nowych mieszkańców sięgnęły lewego brzegu Łaby, wschodnich dolin alpejskich, Peloponezu i Wysp Greckich. Zdecydowaną większość tej ludności stanowili Słowianie, choć zapewne w wielu przypadkach funkcje wodzowskie pełnić mogli światowcy – Wandalowie. Zgodnie jednak z prawem większości w bizantyjskich i frankońskich kronikach wszyscy uchodzili za Słowian. Szybko zresztą, zapewne

w ciągu dwóch, trzech pokoleń, nastąpiła całkowita asymilacja nielicznej grupy wandalskiej przez górujących również nad nimi pod względem rozrodczości Słowian. Przypadek szybkiej asymilacji azjatyckich Bułgarów z dominującą w ich państwie ludnością słowiańską stanowić może wymowną analogię. Powołując się na ten przykład, przypuszczać również można, że Wandalowie tak jak koczowniczy Bułgarzy stanowili początkowo pośród Słowian elitę wojskową i przywódczą, szczególną grupę zawodową, której Słowianom brakowało i o której względy celowo zabiegali, zdając sobie sprawę, jak cenne w ówczesnych realiach są jej fachowe możliwości. Z tego też względu gotowi byli znosić oczywiste niedogodności tych związków, ekonomiczną i fizyczną podległość, nawet okrucieństwo zawodowych wojowników i wodzów. Przykładem tego rodzaju wyrzeczeń może być pierwsze znane historykom słowiańskie państwo, o którym donosi frankijski kronikarz Fredegar. Najeżdżani i wykorzystywani przez okrutnych Awarów Słowianie z Czech, Moraw i wschodniej Austrii wybrali na swego władcę frankijskiego kupca Samona zaprawionego w walkach z Awarami i znającego tajniki skutecznego sprawowania władzy politycznej. Samon panował przez trzydzieści pięć lat (623–658), miał dwanaście Słowianek za żony, z którymi spłodził dwudziestu dwóch synów i piętnaście córek, co z uznaniem podkreślał Fredegar. Po jego śmierci państwo jednak się rozpadło, żadne z dzieci nie objęło sukcesji, żadne nie uznało się Frankiem jak ojciec ani też nie przyjęło wyznawanego przez niego chrześcijaństwa. Przypuszczać można, że taki sam los spotkał Wandalów sprzymierzonych ze Słowianami. Po okresie początkowych rządów ich potomkowie spłodzeni ze Słowianek przyjęli nie tylko język matek i wujów, ale też porzucili wiarę ojców i uznali władzę pogańskich bogów.

Odkrycia archeologiczne na obszarze Czech, Moraw i wschodnich Niemiec wskazują zresztą, że, tak jak na terenach naszego kraju, słowiańscy przybysze pierwsze domy, charakterystyczne kwadratowe półziemianki z paleniskiem w narożniku, wznosili w sąsiedztwie nadal zamieszkanych, choć już nie tak licznie, osad germańskich. Najstarsze świadectwa tego rodzaju wspólnot słowiańsko-germańskich datowane są na tych ziemiach na przełom V i VI wieku i pochodzą ze stanowisk archeologicznych w miejscowości Brezno w zachodnich Czechach i Dessau-Mossigkau w Saksonii. „Witającymi" Słowian tubylcami byli tam najpierw germańscy Rugiowie, którzy po wielkiej klęsce zadanej im przez Gotów w 488 roku musieli szukać schronienia na północy, gdy ich domeny zajęli bitni Longobardowie przybywający z nad dolnej Łaby – wtedy jeszcze nazywali się Vinilami, potem ich wojowniczy bóg Wodan nadał im nazwę Długobrodych. Oni z kolei, zagrożeni przez ich najbardziej zaciekłych wrogów Gepidów, przenieśli się stamtąd w połowie VI wieku do bizantyjskiej prowincji Panonii, a następnie w 568 roku zajęli północną Italię, tworząc kwitnące państwo rozbite dopiero w 774 roku przez Karola Wielkiego. Słowianie więc rychło pozostawieni zostali sami sobie.

Sojusznikami Longobardów w ich zmaganiach z Gepidami okazali się przybyli właśnie w połowie VI wieku na Nizinę Panońską Awarowie, koczownicy azjatyckiego pochodzenia, sami także uchodzący przed swymi najbardziej zaciekłymi wrogami – Turkami. Sprzymierzeni z Longobardami nie tylko pokonali, ale też wyniszczyli Gepidów, zajmując ich tereny, czym tak przestraszyli walecznych skądinąd sojuszników, że ci dobrowolnie woleli oddalić się do Italii. W tym czasie Europa pełna była ludów wędrujących w poszukiwaniu nowych terenów na osiedlenie, ale też ludów, które przy niesprzyjających okolicznościach i nierozważnej polityce

mogły szybko stracić nie tylko swą niezależność, ale też przestać istnieć fizycznie. Los taki czekał również Słowian, szczególnie tych, którzy zapragnęli osiedlić się za Dunajem na terenach dawnych rzymskich prowincji należących wówczas do Bizancjum. Potęgi militarne, które tam napotkali, wielokrotnie przewyższały ich siły i wojskowe umiejętności. Mimo to, jak pokazała przyszłość, w tak trudnych okolicznościach nasi przodkowie radzili sobie dobrze i jak wskazuje dzisiejsze etniczne zasiedlenie Bałkanów, to oni okazali się ostatecznymi zwycięzcami w walce o te ziemie.

Już za czasów cesarza Justyna (518–527) Słowianie przekroczyli środkowy Dunaj i zaczęli zasiedlać tereny dzisiejszej Macedonii, Albanii i północnej Grecji. Cesarz Justynian Wielki (527–565), pogromca Wandalów, powstrzymał ich napór, ale też zezwolił im, głównie Antom, na osiedlenie się na terytorium bizantyjskim nad dolnym Dunajem w charakterze sprzymierzeńców cesarstwa. Pomimo to słowiańska ekspansja na południe trwała nadal, a jej charakter był daleki od pokojowego. Szczególnie nasila się w ostatnich dziesięcioleciach VI wieku, kiedy w rejonie dzisiejszych Węgier powstało agresywne, żądne łupów i złota państwo Awarów. A największe bogactwa znaleźć można było wówczas w miastach, kościołach i cesarskich skarbcach Bizancjum. Tam też Awarowie najczęściej organizowali krwawe wyprawy, tam też jako sprzymierzeńcy, a niekiedy jako poddani, podążali Słowianie. Wspólnie plądrowali i grabili napadnięte krainy, a słowiańska piechota użyteczna była szczególnie podczas zdobywania miast. Interesy obydwu stron były jednak różne. Awarowie pożądali łupów, a bogactwo ich zaginionego później skarbca do dziś fascynuje poszukiwaczy skarbów. Słowianom, którzy w wyprawach tych byli wprawdzie stroną, ale słabszą i gorzej zorganizowaną, łupów dostawało się niewiele, lecz za to, korzystając z osłabienia

lokalnej władzy, dysponując potencjałem demograficznym i zaradnością, zasiedlali coraz to nowe obszary dawnych rzymskich prowincji. Zajęli Dację, Mezję, Trację, Macedonię, Epir, a w 578 roku wtargnęli na Peloponez, wypierając miejscową ludność do miast i zajmując urodzajne ziemie. W 597 roku tylko dzięki cudowi przypisywanemu świętemu Demetriuszowi ocalały przed spustoszeniem Saloniki. Jednak Słowianie pozostali w tej okolicy i trzy wieki później Grecy z Salonik – Cyryl i Metody, zwani apostołami Słowian – mogli od nich uczyć się słowiańskiej mowy, by po słowiańsku głosić Dobrą Nowinę i stworzyć pierwsze słowiańskie pismo. W tym już czasie słowiańska kolonizacja Peloponezu została powstrzymana przez cesarza Nicefora I w bitwie pod Patras, ale słowiańskie plemiona Jezerytów i Milingów przetrwały na tym terenie aż do czasów przybycia Turków w XV wieku. Inaczej potoczyły się losy słowiańskiej ekspansji w zachodniej części Bałkanów. Momentem zwrotnym było tu zdobycie przez Awarów w 582 roku starożytnego Sirmium (obecnie Sremska Mitrovica), stolicy prowincji Panonia II, dzięki temu barbarzyńcy zyskali dogodną przeprawę przez Dunaj. Po raz kolejny okrutni i chciwi koczownicy otwierali drogę słowiańskim rolnikom i osadnikom. Zniknięcie w tym czasie z powierzchni ziemi licznych miast w Dalmacji i Epirze świadczy o tym, jak wielkich zniszczeń dokonały łupieskie najazdy awarsko-słowiańskie. A znaleziska ręcznie lepionych, będących „wizytówkami" ówczesnej kultury słowiańskiej, garnków typu Korczak i Penkowka (nazwy pochodzą od miejscowości, w których po raz pierwszy odkryto tego rodzaju zabytki) potwierdzają również ówczesną obecność stałego osadnictwa słowiańskiego na tym terenie.

W początkach VII wieku ostatecznie pęka północna granica cesarstwa na Dunaju, upada obóz warowny w Singidunum (dziś

Belgrad) i bezsilne Bizancjum stara się zahamować barbarzyńskie najazdy poprzez wypłacanie napastnikom wysokich sum w złocie. Trafiają one jednak wyłącznie do Awarów, a Słowianie zadowolić muszą się prawem zamieszkiwania na zdobywanych terytoriach. Od tej pory przez cały VII wiek będą się osiedlać w tej części Bałkanów, szczególnie w Macedonii, gdzie powstaje rozległa Sklavinia macedońska. I to właśnie Słowianie przyczynią się najbardziej do osłabienia potęgi imperium bizantyjskiego, zasiedlając jego terytorium, równocześnie odmawiając płacenia podatków i dostarczania żołnierzy cesarzowi, bezlitośnie łupiąc jego miasta i latyfundia.

Wtedy też z tak zwanej Białej Chorwacji położonej na terenie Małopolski przybyć mieli na Bałkany przodkowie dzisiejszych Chorwatów, a z terenów położonych jeszcze bardziej na wschód przodkowie Serbów. Do dziś są to najliczniejsze i najbardziej znaczące ludy słowiańskie na zachodnich Bałkanach, choć mało kto pamięta, że wywodzą się one z niezbyt licznych plemion, które pierwotnie zamieszkiwały na północ od Karpat, w południowej Polsce i na Rusi.

Serbowie, zanim udali się na Bałkany, mieszkali przez pewien czas w Czechach i tam nastąpiło ich rozdzielenie. Niektórzy z nich zamiast na południe powędrowali na zachód i osiedlili się nad górną Łabą, dlatego zwani byli Serbami połabskimi lub bardziej archaicznie Sorabami. Na północ zaś od nich w tym samym co oni czasie, w VI–VII wieku, osiedlili się słowiańscy przybysze z terenu Polski Wieleci (Lucice) i Obodryci, którzy później rozpadli się na wiele mniejszych plemion. Ekspansja Słowian na zachód, choć opóźniona względem innych jej kierunków i w przeciwieństwie do okrutnych wojen na Bałkanach, przebiegała prawie bezkonfliktowo. Już bowiem w V wieku tereny pomiędzy Odrą

i Łabą opustoszały całkowicie z wyjątkiem terenów nadmorskich. Anglowie i Brytowie przenieśli się do Brytanii, którą zdobyli na celtyckich Piktach, a Longobardowie i Burgundowie również wówczas wywędrowali w poszukiwaniu łupów i nowych ziem. W VIII wieku stałe osadnictwo słowiańskie sięgało po Turyngię i Szlezwik, przekraczało środkowy bieg Łaby i dochodziło do Soławy. I zapewne słowiański walec toczyłby się dalej na zachód, gdyby nie zatrzymał go, a następnie odwrócił jego bieg, największy ówczesny mocarz Europy, król Franków – Karol Wielki. Później dzieło jego przez kilka stuleci kontynuowali książęta sascy, królowie niemieccy i margrabiowie brandenburscy, aż do całkowitego prawie wyniszczenia słowiańskiego osadnictwa na zachód od Odry. Dziś o jego istnieniu świadczą jedynie kronikarskie zapiski oraz zabytki archeologiczne i językowe. Zarówno znaleziska ułamków wczesnośredniowiecznych słowiańskich naczyń, jak i istniejące do dziś, choć zgermanizowane, słowiańskie nazwy miejscowości i form krajobrazu mają w przybliżeniu taki sam zasięg, świadczą, że nasi przodkowie zaraz po przybyciu na nowe tereny zabierali się do lepienia garnków i ustalania nazw otaczającego świata. Budowali fundamenty nowej ojczyzny.

Równie zagadkowa i pozbawiona jakichkolwiek przekazów pisanych jest także wschodnia ekspansja Słowian w pierwszych wiekach po ich wielkim rozejściu się z rodowego gniazda nad górnym i środkowym Dnieprem oraz jego dopływami. Tak jak w przypadku kierunku zachodniego i tu głównym źródłem jej poznania są znaleziska archeologiczne. Świadczą one, że słowiańska ekspansja na wschód trwała najdłużej, bo aż do końca IX wieku, do czasu powstania państwa kijowskiego i zaangażowania się go w długotrwałe walki z potęgą ludów koczowniczych – Połowców,

Kipczaków, Chazarów. Równocześnie była to ekspansja najbardziej rozległa pod względem terytorialnym, a zarazem najbardziej owocna. Osadnictwo słowiańskie do dziś nie utraciło piędzi ziemi zdobytej wówczas na wschodzie, a podbój Syberii już w czasach historycznych pomnożył te zdobycze wielokrotnie. Przemieszczając się ze swego matecznika na wschód i północ, Słowianie nie wchodzili przy tym na tereny bezludne. Ziemie północne zamieszkiwali ich bliscy pod względem języka i kultury krewniacy, Bałtowie, których nazywali Czudź, czyli po prostu obcy (ros. *czużoj*). Na wschodzie napotkali obce językowo, a także kulturowo ludy ugrofińskie – Mordwinów, Muromorców, Czeremisów, Meriów, Weś. Stepy południowo-wschodnie kontrolowały różnorodne plemiona koczowników. Z tych powodów zdobywanie nowych terenów przez Słowian na wschodzie przebiegało odmiennie niż w innych kierunkach, gdzie nowi osadnicy trafiali na tereny bezludne lub rzadko zasiedlone przez ludność o kulturze wielokrotnie przewyższającej ich własną. W tym przypadku słowiańscy zdobywcy niewiele różnili się pod względem cywilizacyjnego zaawansowania od tubylców i dlatego pomiędzy obydwoma grupami szybko dochodziło do kulturowej i językowej asymilacji, a także nawiązania silnych więzów krwi. Po upływie kilkunastu pokoleń na zdobytych przez Słowian terenach wschodnich wykształcił się jednolity pod względem fizycznym typ antropologiczny, będący mieszaniną cech słowiańskich i ugrofińskich, z językiem słowiańskim o licznych naleciałościach ugrofińskich. Kultywowali gospodarkę korzystającą z najlepszych osiągnięć obydwu żywiołów. Archeologiczną wizytówką Słowian, tak jak na innych terenach, są tu kwadratowe półziemianki z piecami w narożnikach oraz przysadziste, ręcznie lepione garnki typu Korczak i Penkowka. Takie znaleziska występują również

w okolicach Starego Riazania położonego na ziemi Mordwinów, zdobytej i zasiedlonej w IX wieku przez ruskich Wiatyczów. Jednakże znalezione tam również ozdoby z brązu i kości odzwierciedlają już estetyczne upodobania zarówno Słowian, jak i Mordwinów. Badacze twierdzą, że mieszanina słowiańsko-ugrofińskich cech antropologicznych, językowych i kulturowych leży u podstaw narodowości staroruskiej, a następnie wielkoruskiej, tak jak podobna mieszanina cech słowiańskich i bałtyckich legła u podstaw kultury i narodowości białoruskiej.

Ale przecież na tych odległych od ówczesnego cywilizowanego świata obszarach europejskiego wschodu nie kończyły się kolonizacyjne szlaki Słowian w drugiej połowie 1 tysiąclecia. Za zgodą cesarza Justyniana osiedlili się jako *foederati* w okręgu Opsikion w Azji Mniejszej. Mieli bronić cesarstwa przed Arabami, ale przy nadarzającej się okazji zdradzili je i przeszli na stronę wroga, o czym z oburzeniem donosił bizantyjski kronikarz, nazywając wcześniej słowiańskich przybyszów „miłym ludem". On również, jak wielu innych mu współczesnych, wyraził zdumienie liczebnością i rozrodczością Słowian, których w samym okręgu Opsikion zamieszkiwać miało sto pięćdziesiąt tysięcy, a przecież w tym samym czasie (poł. VIII w.) za panowania Konstantyna V dwieście tysięcy Słowian wtargnąć miało do Tracji i, nie pytając o zgodę cesarza, osiedliło się nad rzeką Artanas.

Obok prostoty życia właśnie ogromna liczebność Słowian zadziwiała bizantyjskich pisarzy. Wandalowie przecież – lud, który pośród barbarzyńców epoki wędrówek ludów zrobił najbardziej olśniewającą karierę, przekraczając Cieśninę Gibraltarską – liczyli około stu tysięcy ludzi, z czego zdolnych do walki mężczyzn mogło być dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy. Jest zresztą prawdopodobne, że Słowianie również uczestniczyli wraz

z Wandalami w podboju i zasiedlaniu Afryki Północnej. Przetrwali też w tej okolicy dłużej niż ich pobratymcy i po sukcesach Bizantyjczyków dotrwali do panowania Arabów. Wspominają o nich arabscy kronikarze Maghrebu, choćby żyjący w X1 wieku al-Bakri, autor *Księgi dróg i królestw*, który donosi o złożonej ze Słowian gwardii marokańskiego sułtana Saida ibn Saliha. Pisze również, że gwardziści ci zbuntowali się i szukali schronienia w górach Atlasu, gdzie założyli istniejącą do dziś wieś Qariat as-Saqualiba. Arabskie słowo *saqualiba* językoznawcy wywodzą od łacińskiego *sclavus* – niewolnik, używanego przez Bizantyjczyków dla określenia Słowian. Tej samej nazwy używał arabski geograf ibn Hauqual żyjący w X wieku w kalifacie Kordoby na Półwyspie 1beryjskim. Twierdził, że już za panowania kalifa al-Hakima 1 (796–822) gwardia złożona ze słowiańskich niewolników doszła do tak wielkiego znaczenia, że jej dowódca sprawował rzeczywistą władzę w kalifacie, a jego podwładni zajmowali najważniejsze urzędy państwowe. Ten sam autor donosił, że Słowianie znani byli również na arabskiej podówczas Sycylii. Pisał, że w Palermo obok starego miasta chrześcijańskiego i nowej dzielnicy arabskiej „znajduje się część znana jako Dzielnica Słowian (...) obszerniejsza i ludniejsza aniżeli inne miasta".

Niedawne odkrycia warszawskiego archeologa Przemysława Urbańczyka wskazywać również mogą, że Słowianie brali czynny udział w kolonizacji Skandynawii, a nawet odległych północnych wysp, Islandii, a być może nawet Grenlandii. Przekonują go o tym znaleziska słowiańskiej, ręcznie lepionej ceramiki i pozostałości kwadratowych półziemianek oraz nieliczne wzmianki w skandynawskich sagach i kronikach. Zarówno *Księga Irlandczyków*, którą około 1130 roku napisał mnich Ari Thorgilsson, jak i XIII-wieczna *Księga zasiedlenia*, której autorem był poeta

i historyk Sturla Thordarson, zgodnie informują, że zanim w 870 roku przybył na Wyspę Gejzerów Ingolf Arnarson, oficjalny jej odkrywca i założyciel Rejkiawiku (dosł. Zatoka Dymów), kilka lat wcześniej wylądował tam kupiec i odkrywca Gardar Svafarsson, który jako pierwszy ze skandynawskich przybyszów zimował na Islandii. Towarzyszył mu człowiek zwany Natfarri, czyli Nocny Wędrowiec, oraz niewolnik i niewolnica. Podczas drogi powrotnej wszyscy troje znajdowali się na łodzi holowanej przez okręt Arnarsona, z nieznanych powodów lina łącząca obydwa statki uległa zerwaniu i pasażerowie łodzi zostali porzuceni na islandzkim brzegu. Wybudowali tam dom i osiedlili się na stałe. To oni zdaniem Urbańczyka byli pierwszymi stałymi mieszkańcami Islandii, a Natfarri był według niego Słowianinem noszącym inne imię, którego Skandynawowie nie potrafili wymówić, dlatego nazwali go Nocnym Wędrowcem. A jako potwierdzenie tej hipotezy warszawski archeolog prezentuje zarysy czworokątnych półziemianek, domniemanych słowiańskich domostw, odkryte w okolicach Zatoki Dymów. W całej Islandii znaleziono ponad dwadzieścia tego rodzaju obiektów, co świadczyć może, że w kolonizacji tej wyspy uczestniczyło wielu Słowian. O ile tylko owe konstrukcje są rzeczywistymi świadectwami obecności Słowian, a nie, jak chcą tego uczeni islandzcy, pozostałościami łaźni, spichlerzy czy tymczasowych budynków mieszkalnych wznoszonych przez skandynawskich przybyszów w pośpiechu tuż po wylądowaniu na wyspie.

Obok przedsiębiorczości i potencjału demograficznego o oszołamiającym sukcesie Słowian zadecydował – paradoksalnie – również ich prosty, prawie prymitywny sposób życia i gospodarowania. W czasach zamętu i okrutnych wojen, gdy waliły się w gruzy, odwieczne zdawałoby się, systemy polityczne, gdy

wszystko było do stracenia, ale i do zdobycia, ich strategia okazała się zwycięska. Zająć opuszczony teren; zbudować niewielkie domostwa; uprawiać proste, ale pożyteczne rośliny, nie winorośl, ale proso; ulepić garnki, które bez żalu można porzucić, gdy znów należało udać się w drogę. Mieć niewiele dobra kuszącego do rabunku; bogactw szukać u innych, wyczekując odpowiedniego momentu; wobec obcych i silnych stosować zasadę mimikry, nie ujawniać prawdziwych intencji, rozsiewać fałszywe informacje; z silnymi, mającymi dobrą passę, wchodzić w alianse nawet za cenę poniżeń i cierpień; trzeźwo oceniać własne możliwości, płodzić jak najwięcej dzieci i uczyć się nowego życia – taki był słowiański survival.

SUROWI NAUCZYCIELE

Pomimo późniejszych olśniewających sukcesów i wielkiej europejskiej kariery nasi przodkowie długo zwlekali z wkroczeniem na pełną zagrożeń, ale też i niezwykłych możliwości, europejską arenę. Bezpieczni w swej prakolebce oddalonej od wielkich teatrów wojennych, oddzielonej mrocznymi dębowymi lasami Wołynia i nieprzebytymi bagnami Polesia, ociągali się z wstąpieniem do surowej szkoły życia, jaką stała się Europa w okresie wędrówek ludów. Szkoły, która uczyła, że z powodu nieroztropności wodzów, gniewu bogów czy braku zwykłego szczęścia wojennego liczne i potężne ludy mogą całkowicie zniknąć z powierzchni ziemi. Szkoły, która zalecała nie tylko budowanie wojskowej potęgi i gospodarczej zasobności, ale też uczenie się politycznej przebiegłości, dyplomacji i umiejętności znoszenia cierpień i upokorzeń. Nie ominęło ich okrutne terminowanie w tym rzemiośle.

Pierwszych tego rodzaju lekcji zaczęli udzielać naszym przodkom germańscy Goci. Tak przynajmniej twierdził ich kronikarz – Jordanes, pisząc, że za panowania gockiego króla Hermanaryka Antowie i Sklawenowie posłuszni byli jego rozkazom. Wolność odzyskać mieli po 375 roku, kiedy azjatyccy Hunowie rozgromili królestwo Gotów nad Morzem Czarnym, Hermanaryk popełnił

samobójstwo, a jego lud uciekł pod opiekę cesarza Rzymu (tak uczynili Wizygoci) albo przyjął huńskie jarzmo (jak Ostrogoci). Zanim to nastąpiło, w wyniku bliskich kontaktów do języka Słowian przedostało się wiele słów gockich potrzebnych dla oznaczenia rzeczy i pojęć, z którymi nasi przodkowie nie mieli wcześniej do czynienia. Z języka gockiego pochodzą więc prasłowiańskie słowa ksiądz (psł. *kьnęgь), czyli książę, chleb (psł. *chlěbь), lek (psł. *lěkь), szkło (psł. *stьklo), cudzy (psł. *t'ud'ь – obcy). To ostatnie określenie jest szczególnie wymowne, wskazuje bowiem, że dopiero po opuszczeniu ustronnej praojczyzny nasi przodkowie w pełni uświadomili sobie istnienie obcych, odmiennych ludów. A w ślad za tym odkryciem pojawiła się potrzeba jego nazwania. Z braku własnego słowa, wszak dotychczas wszyscy byli swoi, posłużono się więc terminem zaczerpniętym z języka pierwszych napotkanych „obcych".

Kolejnymi nauczycielami Słowian pośród różnorodności świata okazali się Hunowie, przybysze z dalekiej Azji, okrutni mistrzowie kawaleryjskich walk. Byli pierwszymi w Europie wysłannikami Wielkiego Stepu, który od tego czasu przez ponad tysiąc lat wyrzucać będzie na zachód coraz to nowe fale najeźdźców, aż po mongolskich Tatarów i osmańskich Turków w późnym średniowieczu. Gdy pojawili się w Europie Wschodniej około roku 370, najpierw rozgromili indoirańskich Alanów, krewniaków Sarmatów i Jazygów, koczowników żyjących pomiędzy Dnieprem i Donem. Później starli z powierzchni ziemi nadczarnomorskie państwo Gotów. Zapewne to właśnie oni popchnęli też naszych przodków do wielkiej wędrówki na zachód, wytrącili ich z zasiedziałości i zarazili szaleństwem sprawdzania, jak wygląda świat za horyzontem. Nie ma jednak pewności, czy była to bezpośrednia konfrontacja, czy raczej tylko Słowianie otrzymali

czytelny impuls, zachętę wynikającą z ogólnego zamętu i zgrozy, którą zasiali Hunowie w okolicy. Należy bowiem wątpić, że Hunowie osobiście odwiedzali naszych przodków w ich puszczańskich matecznikach. Woleli osiedlić się w Panonii, będącej najdalszą zachodnią ekspozyturą ich rodzinnego Wielkiego Stepu. Tam założyli nową ruchomą ojczyznę, z której nieustannie urządzali krwawe i niszczycielskie najazdy przeciwko Bizancjum, Galii i Italii. Wszędzie tam wzbudzali przerażenie. Rzymski historyk Ammianus Marcellinus (ok. 330 – ok. 400), wyższy oficer rzymskiej armii i autor dzieła *Rerum gestarum* (*Historia*), pisał, że Hunowie „mają krępe i silne członki, masywne karki i są tak straszliwie pokraczni, że raczej można ich uważać za dwunożne bestie lub figury z bloków skalnych (...). Przy tak odrażającej powierzchowności są przez ich sposób życia tak zahartowani, że nie potrzebują ani ognia, ani przypraw do potraw, a żywią się korzeniami dzikich ziół i na wpół surowym mięsem, które kładą między grzbiet koński a swe uda i w ten sposób nieco podgrzewają (...). W walkach pociągają niekiedy przeciwników naprzód i bitwę rozpoczynają w zwartych oddziałach, przy czym głosy ich brzmią przeraźliwie. Można ich nazwać najstraszliwszymi z wszystkich wojowników, gdyż do walki na odległość używają nie strzał, ale bardzo przemyślnie sporządzonych grotów z zaostrzonych kości. (...) A w walce wręcz zadają ciosy, nie dbając o własne bezpieczeństwo. Unikając ryzykownych pchnięć mieczem, łowią nieprzyjaciół na spleciony arkan, który okręca ich członki i sprawia, że nie mogą ani jechać konno, ani chodzić".

Z kolei Jordanes, przedstawiciel ludu, który doznał najwięcej strat i upokorzeń ze strony Hunów, uważał, że są oni: „Niepozorni, brzydcy i mali, nieprzypominający zgoła istot ludzkich; języka ich nie można określić poza tym, że zaledwie przypomina mowę (...).

Mają wygląd straszliwy i czarniawy i, jeśli można tak to wyrazić, właściwie tylko bezkształtną bryłę zamiast twarzy, z punktami raczej niż oczami (...). Są niepozorni, ale zręczni i doskonali jako jeźdźcy. Pleczyści, przyzwyczajeni do łuku i strzał; karki mają silne i zawsze dumnie wyprostowane. W postaci ludzkiej żyją w zwierzęcej dzikości".

Gotów szczególnie przerażała u Hunów umiejętność, której sami nie potrafili posiąść: strzelanie z łuku podczas końskiego galopu. Wobec szarży tak uzbrojonych wojowników byli bezbronni, tym bardziej że huński łuk, tak zwany refleksyjny, mógł uchodzić wówczas za cudowną broń. Zbudowany z drewna, kości i ścięgien zwierzęcych, naciągany w kierunku odwrotnym do wygięcia naturalnego, co potęgowało jego moc, wyrzucał strzały na odległość dwustu i więcej metrów, podczas gdy łuk tradycyjny miał zasięg nieprzekraczający siedemdziesięciu metrów. Śmiercionośną bronią Hunów był również dwusieczny miecz o długości około metra często ozdobiony amuletem ze szkła lub bursztynu. Długotrwałe, krwawe walki Gotów i innych plemion germańskich z Hunami znalazły dramatyczne i literackie przedstawienie w sławnym eposie *Pieśń o Nibelungach*, a materialnym świadectwem tych traumatycznych doświadczeń, a także fascynacji okrutnymi, nieludzkimi najeźdźcami są odkrywane w środkowej Europie cmentarzyska germańskie – Longobardów, Turyngów i Burgundów, na których spoczywają zmarli z czaszkami celowo zdeformowanymi według obyczaju stosowanego przez Hunów. To oni bowiem, zanim jeszcze przybyli do Europy, krępowali czaszki swych dzieci, nadając im charakterystyczny wydłużony kształt. Germanie zaś zaczęli naśladować ich później, widząc zapewne w tym zabiegu magiczne działanie mające zapewnić moc.

Brak jest archeologicznych śladów obecności Hunów w pierwotnych siedzibach Słowian, w ich białorusko-ukraińskim zaścianku. Równocześnie istnieją ślady wskazujące, że Hunowie odwiedzali tereny południowej Polski. W 1911 roku we wsi Jakuszowice w pobliżu Wiślicy natrafiono na bogato wyposażony grobowiec zawierający szkielet młodego mężczyzny z czaszką zdeformowaną według huńskiego zwyczaju. Również przedmioty, które z nim pogrzebano, były takiego pochodzenia. Wyróżniał się wśród nich długi dwusieczny miecz, ozdobiony masywną bursztynową zawieszką-talizmanem, oraz łuk refleksyjny, którego łęczysko w stanie spoczynku mierzyło osiemdziesiąt centymetrów i całe pokryte było złotą blachą. Archeolodzy uznali, że ten „złoty łuk" nie był zwyczajnym narzędziem walki, ale raczej przedmiotem magicznym, łukiem niebiańskim, mającym służyć zmarłemu w zaświatach. Kim był ów młodzieniec pogrzebany z takim przepychem w nadnidziańskich Jakuszowicach, pozostaje zagadką. Na pewno pogrzebany został przed 453 rokiem, kiedy z powodu nadużycia mocnego wina zmarł największy huński władca, twórca wielkiego państwa, Attyla – zwany przez chrześcijan Biczem Bożym. To zapewne jego namiestnikiem był ów tajemniczy młody książę pochowany w Jakuszowicach. Czy jednak był Hunem czy też miejscowym arystokratą, który otrzymał huńskie insygnia uprawniające do sprawowania w ich imieniu lokalnej władzy? Na to pytanie brak jednoznacznej odpowiedzi.

Taką samą zagadkę stanowi również huński, pod względem znalezionych w nim przedmiotów, grób odkryty w Jędrzychowicach na Dolnym Śląsku. Wielki obrzędowy kocioł z brązu, podstawowy rekwizyt huńskiego szamana, świadczył, że w grobie tym pochowano plemiennego dostojnika, wodza albo kapłana, którego kości nie przetrwały jednak do naszych czasów. Zachowała się

natomiast zdeformowana zgodnie z huńskim zwyczajem czaszka osobnika pochowanego wraz z bogatym wyposażeniem w okolicach Przemęczan w powiecie miechowskim. Te trzy znaleziska dowodzić mają zdaniem wybitnego archeologa Tadeusza Sulimirskiego, że południowa część Polski za panowania Attyli, w pierwszej połowie V wieku, podlegała władzy Hunów, co jednak wcale nie musi oznaczać, że to etniczni Hunowie rezydowali na tych terenach. Attyla, twórca ogromnego państwa rozciągającego się od nadczarnomorskich stepów aż po Ren, opierał władzę i administrację na namiestnikach wywodzących się z rzeszy różnorodnych ludów podbitych i zamieszkujących jego królestwo. Byli wśród nich Ostrogoci, Gepidowie, a także Sarmaci, którzy, według Sulimirskiego, opanowali ziemie naszego kraju już w połowie IV wieku po wywędrowaniu Wandalów i przetrwali tam aż do pojawienia się Słowian na początku V wieku. To z nich, jego zdaniem, rekrutować mieli się namiestnicy Attyli w Małopolsce. I to oni pogrzebani zostali w owych bogato wyposażonych w huńskie przedmioty grobach. Być może zresztą na prawym brzegu Wisły Sarmaci mieszkali już wcześniej, jeszcze w czasach, gdy mieli tam siedziby germańscy Goci wędrujący z Pomorza Gdańskiego ku mitycznej krainie szczęśliwości nad Morzem Czarnym. Wszak już w II wieku n.e. Ptolemeusz właśnie na Wiśle wyznaczał granicę Germanii i Sarmacji, co w mniemaniu starożytnych oznaczało również granicę Europy i Azji.

Sarmaci byli też kolejnymi, kto wie czy nie najważniejszymi, nauczycielami Słowian, nie bez powodu przecież od średniowiecza aż po narodziny nowoczesnej, krytycznej historiografii uchodzili za bezpośrednich przodków nie tyle nawet wszystkich Słowian, ile Polaków. I tak jak my i większość ludów zamieszkujących dziś Europę byli Indoeuropejczykami, choć pochodzili z ich

południowego, irańskiego pnia. Pod względem językowym bliżej im było do Medów i indyjskich Ariów niż do Bałtów czy Słowian. Byli koczownikami, krewniakami Scytów, których w II wieku p.n.e. wyparli ze stepów nadczarnomorskich. Herodot, który nazywał Sarmatów Sauromatami, twierdził, że pochodzili ze związków Scytów z Amazonkami i dlatego mówili zepsutym językiem scytyjskim. Późniejsi pisarze antyczni zwracają również uwagę na plemienną różnorodność Sarmatów, zaliczając do nich indoirańskie ludy, z których kilka odegrało znaczącą rolę polityczną w ostatnich wiekach starożytności. Należeli do nich Jazygowie, Alanowie, którzy pierwsi stawili czoła huńskiej nawale, Roksolanowie, Massageci żyjący na wschód od Wołgi, a także Antowie, którzy w kronikach chińskich z II wieku p.n.e. występują jako sarmaccy Antsai, a w późniejszych źródłach greckich pod nazwą Aorsów mieszkających w pobliżu Morza Azowskiego. Według świadectwa Jordanesa plemię to przeniosło się na teren Mołdawii i podlegało władzy Ostrogotów rządzonych przez Hermanaryka. Po rozbiciu jego potęgi przez Hunów Antowie zapragnęli zrzucić gockie jarzmo, ale następca Hermanaryka, Winitar, miał jeszcze dość siły, aby pokonać buntowników i stracić ich wodza wraz z siedemdziesięcioma naczelnikami rodów. Dopiero po tym wydarzeniu, w pierwszej połowie V wieku, Antowie zmieniają w kronikarskich przekazach etniczną identyfikację, z Sarmatów przemieniają się w Słowian. Jak to możliwe?

Najbardziej prawdopodobna jest hipoteza głosząca, że słowiańska ludność nadciągająca wówczas w dużej masie z Ukrainy na tereny zakarpackie szybko wchłonęła, a po kilku pokoleniach zasymilowała stosunkowo nielicznych sarmackich Antów, równocześnie przejmując ich własną nazwę. Przemianowania tego nie dokonali jednak Słowianie, którzy sami siebie nigdy nie

nazywali Antami, ale uczynili to Bizantyjczycy z uwagą śledzący pojawienie się licznych i groźnych barbarzyńców u bram swego cesarstwa. Ponieważ nie znali ich rodzimej nazwy, nie wiemy nawet, czy taką Słowianie mieli przed wyruszeniem ze swych pieleszy (najważniejszą funkcją nazw etnicznych jest odróżnianie „swoich" od „obcych"), ponadto dostrzegli, że przybysze działają wspólnie z innymi barbarzyńcami mieszkającymi tam od dawna, uznali ich za jedno i rozciągnęli na nich dobrze im znaną nazwę tych ostatnich. Przypuszczać również można, że to Sarmaci lepiej zaprawieni w bojach z Gotami, Hunami i Bizantyjczykami tworzyli w tej wspólnocie grupę wodzowską, to oni uczyli Słowian wojennego rzemiosła i to zapewne oni jako wodzowie zostali ukrzyżowani przez Winitara po zadanej im klęsce.

Zapożyczenia widoczne były nawet w zakresie stroju. Według źródeł bizantyjskich Słowianie stawali do boju jedynie w spodniach, których nogawice podciągnięte były do pasa. O ubiorze Sarmatów pisał zaś Wawrzyniec Surowiecki, że „tem się różnił od innych barbarzyńców, że ich spodnie obszerne od bioder sięgały niżej kolan; zaś od szyi do pasa ciało zupełnie nagie okrywał długi płaszcz bez rękawów, spięty na ramieniu trzpieniem, a z przodu otwarty". W czasie walki płaszcz ten zrzucano, gdyż krępował ruchy, stawano więc do starcia jedynie w krótkich spodniach.

Przełomowym momentem w dziejach Sarmatów było pojawienie się na początku III wieku na zamieszkiwanych przez nich nadczarnomorskich stepach wojowniczych Gotów, którzy dotarli tam z polskiego Pomorza i Lubelszczyzny. Wyrzuceni ze swych siedzib Sarmaci szukali schronienia na zachodzie. Alanowie osiedlili się na Podolu, między Dniestrem i Prutem, Roksolanowie na lewym brzegu Dunaju, a Jazygowie na terenie Kotliny Węgierskiej, nad

Cisą. Dla słowiańskiego rodowodu szczególnie frapujące są losy Alanów. Wytrąceni przez Hunów ze spokojnego życia na Podolu wpadli w szał wojen, rabunków i nieustannej wędrówki. W roku 377 wraz z Hunami i Gotami przekroczyli Dunaj i spustoszyli rzymskie prowincje na Bałkanach. Dwa lata później już jako członkowie huńskiej federacji osiedlili się w Panonii. Później zerwali z Attylą i wstąpili na służbę Rzymu, walcząc w rzymskiej armii przeciwko Wizygotom. W 406 roku złączyli się z Wandalami i Swebami, w sylwestrową noc przekroczyli z nimi zamarznięty Ren i przez dwa lata pustoszyli Galię. W 408 roku z kolei Wizygoci zwerbowani przez cesarza rzymskiego zadali Alanom dotkliwą klęskę, po której ich niedobitki schroniły się w hiszpańskiej Galicji, gdzie znów dołączyły do Wandalów. Ich królowie przyjęli wówczas tytuł *Rex Vandalorum et Alanorum*, który nosili aż do upadku ich królestwa w 533 roku. Sarmaccy Alanowie towarzyszyli germańskim Wandalom w wyprawie do Afryki i budowie ich kartagińskiego państwa, zajęli w nim arystokratyczne stanowiska i z czasem wtopili się w wandalską społeczność. Ci z nich, którzy pozostali w Galii, wstąpili na służbę Rzymu, a później we Francji Merowingów weszli w skład rycerstwa.

W 405 roku Hunowie dotarli na Nizinę Panońską, a kilkanaście lat później stali się panami tego kraju, ujarzmiając ludność miejscową – w tym również zamieszkujących tam Alanów, którzy bez specjalnych oporów wstąpili na służbę do nowych panów. W ówczesnych i wcześniejszych źródłach rzymskich ci wschodni Alanowie występują pod nazwą Serbów. Jako poddani albo najemnicy Hunów używani byli, zdaniem Tadeusza Sulimirskiego, do sprawowania władzy nad terenami położonymi na północ od Karpat w okresie tuż przed pojawieniem tam Słowian oraz po ich przybyciu. Po śmierci Atylii Alanowie odzyskali

niepodległość, ale nadal mieszkali wśród Słowian, sprawując wśród nich funkcje wodzowskie i powoli asymilując się z nimi, przekazując im również swą nazwę. Dziś świadczą o ich obecności nazwy miejscowości typu Serbia, Sarbiewo, Sarbinowo, Sarbice rozproszone na tym obszarze, a także pochówki, jak ten znaleziony w Przemęczanach na północ od Krakowa.

Świadectwem związków słowiańsko-sarmackich, a szczególnie sarmacko-polskich są również według Sulimirskiego bliskie związki herbów polskiego rycerstwa z sarmackimi tamgami, znakami o charakterze magicznym, a być może też rodowym i własnościowym. Napotkać je można na wyrobach sarmackich rzemieślników, szczególnie na broni wkładanej sarmackim wojownikom do grobu. Znaleziska tych zabytków są stosunkowo liczne na naszych ziemiach i datowane na III i IV wiek n.e. Sulimirski twierdzi wręcz, że wiele rycerskich herbów, jak Nowina, Ogończyk czy Szeliga, wywodzi się wprost z sarmackich tamg, co świadczyć ma również o tym, że sarmaccy Alanowie, choć zeslawizowani, przetrwali na naszych ziemiach aż do początków II tysiąclecia, gdy rycerstwo polskie zaczęło się wyodrębniać wzorem zachodnioeuropejskiego w grupę społeczną z własnymi prawami i emblematami. Świadczy też, że w poprzednich stuleciach Sarmaci zachowali wśród Słowian uprzywilejowaną, przywódczą pozycję. Jest więc prawdopodobne, że w żyłach Polaków płynie też sarmacka krew, a rozprawy staropolskich apologetów wywodzących polską szlachtę od starożytnych dumnych, obytych z końmi Sarmatów niecałkowicie mijały się z prawdą. I choć nasi słowiańscy przodkowie, co zgodnie podkreślają bizantyjscy pisarze, pieszo stawali do boju, to jednak staropolskiej szlachcie bardziej odpowiadał sarmacki rodowód – ludu, o którym donosił Rzymianin Strabon, że „ich młodzieńcy wdrażają się do jazdy konnej

od najwcześniejszych lat chłopięcych i uważają chodzenie pieszo za godne pogardy". Zupełnie tak samo jak ich później wnukowie z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów pieczętujący się herbami z wyobrażeniami podków, strzał, trójzębów i półksiężyców nawiązujących do magicznych symboli legendarnego ludu, który w tym czasie należał już całkowicie do zamierzchłej przeszłości.

W połowie VI wieku wielki „pas transmisyjny", którym był euroazjatycki step, wyrzucił na przedpola cywilizowanego świata nową falę okrutnych, żądnych łupów wysłanników. Tym razem byli to Awarowie, tak jak Hunowie lud pochodzenia turko-ałtajskiego, w źródłach chińskich znani jako Żoużanie uciekający jak najdalej na zachód przed Turkami tworzącymi właśnie w VI wieku wielkie imperium rozciągające się na stepach od Morza Kaspijskiego po Mandżurię i uznającymi Awarów za swych poddanych. Teofilakt Simokattes, który jako pierwszy na Zachodzie opisał tych barbarzyńców, twierdził, że wywodzą się od mitycznego księcia Hyperborejczyków, Abarisa. Wśród mieszkańców Konstantynopola, którzy po raz pierwszy oglądali posłów awarskich w 558 roku, największą sensację wywołały długie, wijące się wężowato warkocze noszone przez przybyszów. Rychło przestali jednak zwracać uwagę na takie drobnostki, gdy posłowie ogłosili żądania. Domagali się ziemi na osiedlenie i okupu za rezygnację z najazdów i rabunków. Groźni barbarzyńcy szybko zresztą potwierdzili umiejętności polityczne i wojenne. Potęga ich wzrosła szczególnie po roku 567, kiedy wmieszali się w konflikt gepidzko-longobardzki i po zwycięstwie nad Gepidami zajęli ich ziemie nad Cisą i we wschodniej Panonii.

Cesarze wschodniorzymscy starali się za wszelką cenę powstrzymać niebezpieczeństwo, dlatego już w 575 roku cesarz Tyberiusz zawarł porozumienie z kaganem Bajanem, akceptując

pobyt Awarów w Panonii i zobowiązując się do wypłaty trybutu w wysokości osiemdziesięciu tysięcy sztuk złota rocznie. Wtedy też, zapewne w 578 roku, Awarowie po raz pierwszy zetknęli się z łupieską i kolonizacyjną działalnością Słowian, konkretnie z ich zachodnim odłamem, Sklawinami. Na prośbę cesarza poskromić mieli ich rabunki na prawym brzegu Dunaju, a również pomścić obrazę, której dopuścił się słowiański książę Dauritas (Dobręta), odmawiając płacenia trybutu i mordując wysłanych do niego w tym celu awarskich posłów. Nieoficjalnym celem tej wyprawy, w trakcie której Awarowie przeprawiali się na drugi brzeg rzeki na statkach dostarczonych przez Bizantyjczyków, było odebranie Słowianom wielkich łupów, ponieważ, jak pisał żyjący w tym właśnie czasie Menander, „Sklawinowie od dawna już pustoszyli ziemie romajskie (bizantyjski – Z.S.), których żaden jeszcze lud obcy nie dotknął". Wyprawa ta nie zakończyła się sukcesem, a dodatkowo kolejny awarski poseł wracający z Bizancjum zamordowany został przez grasujących w 1llirii Sklawinów.

Podporządkowanie Sklawinów kaganowi awarskiemu nastąpiło dopiero po upadku Sirmium, ale wtedy już Awarowie przestali być nawet deklaratywnymi sojusznikami Bizancjum i mimo że nadal pobierali trybuty, pod lada pozorem gwałcili traktaty i urządzali łupieskie wyprawy na teren cesarstwa. A głównymi ich towarzyszami, sprzymierzeńcami i przewodnikami w tych krwawych akcjach byli właśnie od dawna w nich zaprawieni Sklawinowie. W 586 roku Awarowie i Słowianie omal nie zdobyli Salonik, jedynie zaraza dżumy skłoniła ich do odstąpienia.

W 591 roku, jak donosił Teofylaktos Simokattes, „Awarowie nasłali szczep Sklawinów i zniszczyli znaczną część romajskiego terytorium i aż po Wielkie Mury (zewnętrzny pierścień obwarowań Konstantynopola – Z.S.) wyprawili wielką rzeź". W ostatnich latach

VI stulecia Awarowie operujący z naddunajskiego Sirmium opanowali Dalmację, na stałe wydzierając ją spod władzy cesarza Bizancjum Herakliusza. Ten jednak pragnąc za wszelką cenę poskromić wiarołomnych sojuszników, którzy w tym czasie otrzymywali już dwieście tysięcy sztuk złota rocznie, zachęcił do osiedlenia się na tych terenach poszukujących właśnie nowych ziem słowiańskich Chorwatów. Lud ten, wywodzący się z naszej Małopolski, nie tylko wyparł budzących grozę „nosicieli warkoczy", ale tak skutecznie umocnił się w Dalmacji, że żyje tam do dziś.

Sklawinowie nadal jednak współpracowali z Awarami, uchodzili za ich poddanych i sojuszników, choć w praktyce byli przez nich bez skrupułów wykorzystywani, a w sytuacjach zagrożeń porzucani na łaskę wrogów. Tak jak podczas walk w 596 roku, kiedy Bizantyjczycy operujący na lewym brzegu Dunaju gromili Sklawinów, a przebywający w pobliżu Awarowie nie dość, że nie interweniowali w obronie swych „poddanych", ale zażądali części łupów zdobytych przez wojska cesarza na Słowianach. Pomimo to współpraca awarsko-słowiańska w zakresie rabunkowych wypraw na bizantyjskie prowincje trwała nadal. Widać, że obydwie strony były tym zainteresowane i odnosiły konkretne korzyści. Sojusz trwał aż do 626 roku, kiedy nastąpił początek końca awarskiej potęgi. W roku tym Awarowie wraz ze słowiańskimi, bułgarskimi i gockimi oddziałami posiłkowymi stanęli pod murami Konstantynopola z zamiarem ostatecznego zdobycia tego najbogatszego wówczas w świecie miasta. Ich szansę zwiększał pakt z Persami, którzy okupowali część azjatyckich prowincji Bizancjum i wysłali wojska nad Bosfor dla wsparcia akcji awarskiej. Nie mogli jednak bezpośrednio włączyć się do oblężenia z powodu braku statków transportowych i zagrożenia ze strony floty bizantyjskiej blokującej Dardanele. Zacięte walki na murach otaczających

Konstantynopol trwały ponad tydzień i nie przyniosły sukcesu Awarom. O ich klęsce zdecydowało zniszczenie przez flotę bizantyjską flotylli słowiańskich monoksylów, dłubanek z jednego pnia drzewa, która miała zaatakować twierdzę od strony morza. Bizantyjczycy wykorzystali do tego celu cudowną broń wzbudzającą przerażenie wśród barbarzyńców – wykonane z gliny miotacze mieszaniny ropy naftowej i siarki, zwanej ogniem greckim. Rozwścieczony kagan nakazał wymordować tych Sklawinów, którzy uratowali się z pogromu, a następnie po spaleniu machin oblężniczych wycofał się. Wydarzenia te były przełomowe nie tylko dla stosunków awarsko-bizantyjskich, ale też awarsko-słowiańskich. Od tej pory nie słychać już o najazdach Awarów na prowincje zadunajskie, a od połowy VII wieku nie ma też mowy o wypłacaniu na ich rzecz trybutu przez Bizantyjczyków. Osłabienie awarskiej potęgi ośmieliło też do buntu Sklawinów dotychczas znoszących cierpliwie rządy azjatyckich przybyszów.

A było to, jak donoszą – zapewne z przesadą – bizantyjscy, frankońscy, a także późniejsi ruscy kronikarze, poddaństwo bardzo ciężkie, niekiedy upokarzające. Sklawinowie byli u Awarów pasterzami bydła, a podczas wojennych wypraw pełnili funkcję wojska pierwszego rzutu, często skazywanego na zagładę, gdy wynik starcia zapowiadał się niekorzystne dla Awarów. Wreszcie zobowiązani byli do dostarczania swym panom żywności, płacenia danin i świadczenia hiberny, czyli zimowego leża. Ta ostatnia należność była szczególnie dotkliwa. Frankijski kronikarz Fredegar donosił wówczas, że „co roku Awarowie przychodzili zimować u Sklawów, brali do łoża ich żony i córki, a ci jeszcze na odchodne musieli im płacić daninę". Nestor nazywał Awarów Obrami, czyli „olbrzymami", co pośrednio świadczy, jak wielkie wrażenie wywarł ów koczowniczy lud na naszych przodkach. Donosił też: „Ci

Obrowie zawojowali Słowian i uciemiężyli Dulebów będących również Słowianami, i gwałty czynili kobietom dulebskim. Jeśli Obrzyn miał jechać, nie pozwalał wprzęgać konia ani wołu, jeno kazał zakładać do wozu trzy, cztery lub pięć niewiast, by go wiozły, tak męczyli Dulebów. Byli zaś ci Obrzy wielcy ciałem, a umysłem hardzi, i Bóg ich wytrzebił i wymarli wszyscy, i nie pozostał ani jeden Obrzyn". Historycy sprzeczają się, czy chodzi tu o Dulebów mieszkających na terenie dzisiejszych Czech czy też na Wołyniu, nie są pewni również, czy opisywany przez Nestora po kilkuset latach epizod nie jest jedynie kronikarską fantazją mającą jednak ilustrować rzeczywiście dramatyczne, choć jedynie zasłyszane lub przeczytane u dawnych historyków zdarzenia. Nie ulega natomiast wątpliwości, że wzmianki te stały się zaczynem późniejszych przesadnych i niesprawiedliwych ocen relacji słowiańsko-awarskich. Wybitny historyk brytyjski XX wieku Arnold Toynbee pisał w *Studium historii*, że Awarowie traktowali Słowian na podobieństwo zwierząt. Ponieważ byli koczownikami obeznanymi z hodowlą bydła, tak właśnie obchodzili się z poddaną ich przemocy ludnością słowiańską. Sami zajmowali stepowy, strategiczny w tej części Europy, obszar Niziny Panońskiej, a na jej obrzeżach „wypasali" na podobieństwo stad bydła Słowian, eksploatując ich bezlitośnie i wykorzystując jako „żywe tarcze" w wojennych wyprawach. „Spędzili ich w stada – pisze Anglik – i rozmieścili szerokim łukiem wokół Niziny Węgierskiej, na której rozbili własny obóz. Tak wyglądał proces, na mocy którego słowiańska masa zadebiutowała w spóźniony i upodlający sposób w dziejach".

W ostatecznym rachunku to Słowianie odnieśli największe korzyści ze współpracy z Awarami. Dzięki nim bowiem po raz pierwszy w swej historii mogli zaistnieć na europejskiej arenie

politycznej jako ważna militarna potęga. To właśnie owi azjatyccy koczownicy – obyci z wojennym rzemiosłem, znający wartość wojskowej organizacji – potrafili zorganizować słowiańskie masy w bojowe oddziały i poprowadzić do obopólnie korzystnych zwycięstw. Przemysław Urbańczyk uważa wręcz, że: „właśnie potrzeba zorganizowania bezpiecznego zaplecza gospodarczego i wypełnienia podległych terenów uległą ludnością, bez której nie może istnieć żadne państwo, mogła zdecydować o gwałtownym awansie Słowian, którzy mogli współpracować z Awarami już w trakcie ich pobytu nad Morzem Czarnym. (...) W tym świetle niespodziewana ekspansja Słowiańszczyzny (rozumiana raczej kulturowo, choć też demograficznie) da się uzasadnić tylko wyraźnym poparciem awarskim. (...) Można powiedzieć, że obydwa te żywioły etniczne były od siebie ściśle uzależnione, wzajemnie warunkując swoje sukcesy. Wspólnota awarsko-słowiańska, choć politycznie zdominowana przez Awarów, przynosiła wymierne korzyści obu stronom". Faktem jest też, że konsekwencją osłabienia awarskiej potęgi po nieudanej wyprawie na Konstantynopol w 626 roku był słowiański bunt przeciwko dotychczasowym zwierzchnikom i powstanie pierwszego, choć jeszcze efemerycznego, słowiańskiego państwa zorganizowanego przez wspominanego już wcześniej frankijskiego kupca Samona.

Uświadomienie Słowianom wymogów politycznego myślenia uznać należy za największą zasługę Awarów we wzajemnych relacjach obydwu ludów. I choć lekcja ta była okrutna i brutalna, to pożytki z niej wyciągnęli tylko Słowianie, unikając w ten sposób losu swych nauczycieli, którzy pobici przez Karola Wielkiego, a później przez Bułgarów znikają całkowicie z kart historii w pierwszej połowie IX wieku. Wcześniej, w okresie największego rozkwitu ich potęgi, jeden z ich namiestników rezydował zapewne

w Krakowie, sprawując władzę na terenie Małopolski. Świadczą o tym zabytki pochodzenia awarskiego znalezione w kilkunastu miejscach na tym obszarze, między innymi na wielkim grodzisku w Naszacowicach nad Dunajcem. Zabytkiem szczególnym jest awarska zapinka z brązu odnaleziona podczas wykopalisk w głębi prahistorycznego kurhanu noszącego dziś nazwę kopca Krakusa (o którym jeszcze będzie mowa) i otoczonego legendami opowiadającymi o założycielu lokalnej dynastii książęcej. Czas usypania tego kopca jest nieznany i owa pochodząca z VII wieku zapinka jest jedynym zabytkiem umożliwiającym ustalenie jakiejkolwiek chronologii tego obiektu. O tym, że inicjatorem jego usypania mógł być awarski namiestnik, świadczyć może również inna z ważnych krakowskich legend opowiadająca o smoku żyjącym w podziemiach pobliskiego Wawelu, siejącym spustoszenie, domagającym się krwawych ofiar. Smok bowiem w słowiańskiej mitologii symbolizował to, co najbardziej dzikie i okrutne, a co Słowianom przez wiele stuleci objawiało się pod postacią dzikich, przerażających nomadów nadciągających ze wschodnich stepów – Hunów, Awarów, Połowców, Tatarów. Smok pod Wawelem może być więc daleką, legendarną reminiscencją okrutnego awarskiego namiestnika sprawującego władzę z grodu na Wawelu. Tym bardziej że wawelski smok, czyli prasłowiański żmij, miał licznych pobratymców rozrzuconych w wielu miejscach Małopolski. Pozostały po nich grodziska nazwane Żmigrodami w Sandomierzu, Opatowie, Lublinie, Żmigrodzie koło Dukli. W grodach tych rezydować mogli również awarscy namiestnicy lub awarskie drużyny w bezwzględny i okrutny sposób egzekwujące daniny od miejscowej słowiańskiej ludności. Ich postępowanie musiało być tak dotkliwe i przerażające, że sami zyskali miano Żmijów, a miejsca ich pobytu Żmigrodów. To

dzięki tym azjatyckim „promotorom" Słowianie wyszli ze stanu politycznego dziecięctwa i wstąpili na drogę historycznej dojrzałości, dzięki której ocalili swój byt w burzliwych czasach średniowiecznej Europy i stali się jednym z najważniejszych i najliczniejszych jej przedstawicieli. Nie bez powodu przecież zarówno w systemach gnostyckich, jak i w teorii archetypów Carla Gustava Junga smok jest uosobieniem sił negatywnych, zmysłowych, hamujących rozwój wartości duchowych i społecznych. Aby więc w procesie indywidualizacji móc rozwinąć ukryty potencjał i aby osiągnąć pełną dojrzałość, należy pokonać smoka, czyli poskromić negatywną część naszej osobowości. Dotyczy to zarówno jednostek, jak i zbiorowości. W chrześcijaństwie proces taki symbolizuje święty Jerzy zabijający smoka, a malowidła jaskiniowe, na których dostrzec można również smoka pod postacią skrzydlatego węża, wskazują, że ten sam archetypowy, wynikający ze zrębów ludzkiej psychiki problem duchowego rozwoju, zaprzątał już uwagę ludzi przed wieloma tysiącleciami.

POBRATYMCY Z PÓŁNOCY

Co się działo na naszych ziemiach w V wieku n.e., do niedawna pozostawało zagadką. Czy były to wówczas tereny bezludne, opuszczone przez plemiona germańskie i niezasiedlone jeszcze przez nadciągających od wschodu Słowian? Czy też właśnie wówczas mogło dojść do pierwszych doniosłych spotkań nielicznych tubylców z coraz liczniejszą rzeszą przybyszów? Dlatego V stulecie archeolodzy nazwali „wiekiem ciemnym" i dopiero najnowsze odkrycia, z których wiele dokonano przy okazji wielkich inwestycji przemysłowych i drogowych, doprowadziły do pewnego rozjaśnienia tych mroków. Najważniejszymi były znaleziska na wspomnianych już stanowiskach w Bizorendzie (Świętokrzyskie), Konarzewie i Beznazwie (Wielkopolska), gdzie w obrębie osad datowanych na V wiek stwierdzono współwystępowanie zabytków charakterystycznych dla kultury Germanów i Słowian. Obok siebie, w obrębie tej samej osady, znajdowały się długie domy germańskie i kwadratowe półziemianki słowiańskie, a toczone na kole i wypalane w dwukomorowych piecach garncarskich naczynia występowały

w towarzystwie lepionych ręcznie, wyprażanych w ogniskach, wczesnosłowiańskich garnków. Szczególnych zaś rewelacji w tym zakresie dostarczyli archeolodzy z Pomorza Środkowego, którzy znaleźli na tym terenie kilka cennych skarbów zawierających liczne złote solidy bizantyjskie pochodzące z V wieku, ukryte tam w pobliżu szlaków prowadzących z południa na brzeg Bałtyku.

Skąd wzięły się te drogocenne złote depozyty nad brzegami Morza Barbarzyńców – jak w starożytności nazywano Bałtyk – na obszarze wówczas prawie bezludnym, czego dowodzą badania archeologiczne, w epoce cywilizacyjnych mroków – okresie wędrówek ludów?

Złote monety pochodziły z południa, z obszaru imperium będącego największą potęgą owych czasów. Jest prawie pewne, że zostały zdobyte przemocą, podczas rabunku lub wojennego starcia, a następnie jako najcenniejszy, najszlachetniejszy łup odesłane do kraju ojczystego, aby tam spocząć w skarbcach rodzimych bogów jako ofiara dziękczynna, zapewniająca ofiarodawcom pomyślny żywot w zaświatach. Wysłannicy wiozący te dary doświadczyć musieli wielu niebezpieczeństw, przebyli terytoria wrogie albo pozbawione mieszkańców, przedzierali się przez nieprzebyte puszcze albo spływali zdradliwymi rzekami. W końcu jednak docierali na tereny nadmorskie, gdzie w sosnowych lasach drzemały oznakowane wielkimi głazami cmentarzyska przodków założone przed wieloma stuleciami i gdzie nadal istniały osady i faktorie ich pobratymców. A jednak tam, prawie u kresu podróży, następowały wydarzenia, które zmuszały ich do ukrycia, zakopania w ziemi cennego ładunku.

Wskazać można dwa powody tego rodzaju zabiegów. Pierwszy – religijny, wynikający z przeświadczenia pogańskich Germanów, również późniejszych wikingów, że najlepszą inwestycją

śmiertelnych na życie pośmiertne jest złożenie w ziemi skarbów, kruszców, kosztowności zdobytych na tym świecie. Powierzenie ich ziemi ojczystej, której strzegły duchy przodków, podnosiło rangę tego obrzędu. Drugi powód dotyczył ekonomii i polityki tego świata, wynikał z obawy przed rabunkiem. Kto jednak mógł ośmielić się na tym bezludziu na atak na liczną zapewne i dobrze uzbrojoną drużynę Gotów lub Gepidów przemierzających dawny kraj przodków, a więc będących również pod ich ochroną?

Niedawne odkrycia archeologiczne pozwalają wyjaśnić tę zagadkę. Okazuje się bowiem, że po wywędrowaniu z Pomorza ludności gocko-gepidzkiej tereny te niezbyt długo były pustkowiem. Już w połowie V wieku od wschodu zaczynają tam nadciągać ludy bałtyckie, w ówczesnych źródłach nazywane Estami. Pod koniec tego wieku bałtyckie osadnictwo dotarło już do ujścia Wisły, czego świadectwem są charakterystyczne dla Estów cmentarzyska zawierające obok ludzi również pochówki koni. To zapewne zagrożenie ze strony wschodnich sąsiadów powodowało, że wielcy wojownicy, którzy ze swymi trzosami pełnymi bizantyjskiego złota docierali aż na Pomorze, ratując się przed ich utratą, powierzali swe bogactwo ziemi – najpewniejszemu podówczas skarbcowi. Wielu z nich jednak wędrowało dalej na północ, przepływając morze i powracając znów na południe. Ich głównym zajęciem był handel nie tylko z Estami, ale też ze Słowianami, którzy dopiero w VI wieku zaczęli nadciągać na Pomorze od południa i zachodu. Ich osadnictwo zatrzymało się na zachodnim brzegu Wisły, która w ten sposób w swym dolnym biegu stała się rzeką graniczną, rubieżą oddzielającą osadnictwo bałtyckie i słowiańskie. Skandynawowie, przybysze z Gotlandii, Skanii i Danii, również znaleźli tu odpowiednie dla siebie miejsce. Usadowili się w wąskiej strefie pogranicznej rozciągającej się

na południe od Zalewu Wiślanego, obejmującej okolice jeziora Drużno oraz tereny nad rzekami Dzierzgoń i Elbląg. W tym rejonie archeolodzy odkryli pozostałości skandynawskiej kolonii. Cmentarzyska grobów ciałopalnych zawierających broń i ozdoby skandynawskie szczególnie licznie występowały nad jeziorem Drużno i na terenie dzisiejszego Elbląga.

Świadectwem istnienia skandynawskiej faktorii są również sensacyjne odkrycia osad portowo-handlowych w rejonie ujścia Wisły. Najpierw w 1977 roku płetwonurkowie natrafili w wodach Zatoki Puckiej, niedaleko ujścia rzeczki Płutnicy, na pozostałości nabrzeży i zabudowań portowych oraz wraki pełnomorskich wczesnośredniowiecznych statków. Podwodne prace archeologiczne na tej liczącej ponad dziesięć hektarów osadzie prowadzono kilka lat, przerywając je bez ostatecznych rezultatów. Jednakże i one pozwoliły stwierdzić związki tych konstrukcji z działalnością skandynawskich żeglarzy i kupców oraz datować je na VIII–X wiek. Szczególnie wymowne w tym zakresie były odnalezione w wodach zatoki wraki statków, których konstrukcja jednoznacznie nawiązywała do jednostek skandynawskich wikingów. Były to masywne, dzielne w pełnomorskiej żegludze statki żaglowo-wiosłowe przeznaczone do przewozu ludzi i towarów. Największą sensację wywołało oparte na analizie próbki radiowęgla 14C datowanie jednej z tych jednostek na połowę VI wieku!

Czyżby już wówczas portowa osada w Pucku przyjmowała skandynawskich żeglarzy?

Wiele wyjaśnić mogłaby w tej sprawie analiza dendrologiczna próbek bierwion, z których wybudowano nabrzeża i chaty, jednakże przerwane przed dwudziestu laty prace archeologiczne jak dotąd nie zostały wznowione. Wielkim sukcesem ostatnich lat okazało się natomiast rozwikłanie innej zagadki, która od czterech co najmniej

wieków intrygowała historyków i archeologów Europy Północnej. Jej źródłem stała się kronikarska wzmianka o anglosaskim żeglarzu Wulfstanie, który około roku 890 odbył morską podróż pomiędzy duńskim portem Hedeby (dziś Haithabu) a położoną dalej na wschodzie wielką i bogatą osadą portową o nazwie Truso. Sprawozdanie Wulfstana z tej wyprawy zamieścił król Wesseksu Alfred Wielki (872–899) jako załącznik do własnego przekładu dzieła starożytnego geografa Orozjusza (zm. ok. 423 r. n.e.) zatytułowanego *Historiarum adversus paganos libri VII* (*Siedem ksiąg historii przeciw poganom*), będącego chorografią, czyli krótkim opisem znanego ówcześnie świata. Relacja ta zafrapowała uczonych Renesansu, szczególnie wielkiego historyka morskich odkryć Anglików, Richarda Hakluyta (1552–1616), który załączył ją do swego obszernego dzieła *The Principall Navigations, Voiages and Discoveries of the English Nation...* (*Wyprawy morskie, podróże i odkrycia Anglików...*).

W czasach Hakluyta było już oczywiste, że tajemnicze Truso znajdowało się u ujścia Wisły i dlatego poświęcony tej osadzie fragment zatytułowany został następująco: *Żegluga Wulfstana na Morze Wschodnie, z Hedeby do Truso, które w pobliżu Gdańska leży*. I już pierwsze zdanie relacji Wulfstana nie pozostawia co do tego wątpliwości: „Wulfstan – pisał król Alfred – opowiadał, że przybył do Truso w siedem dni i nocy, że okręt szedł przez całą drogę pod żaglami. Słowiańszczyznę miał po prawej ręce, po lewej zaś Langeland, Laeland, Falster i Skonię. (...) A Słowiańszczyznę mieliśmy aż do ujścia Wisły, która jest wielką rzeką i przez to dzieli Witland i kraj Słowian. A Witland należy do Estów. A taż Wisła wypływa z ziemi Słowian i spływa do Zalewu Estyjskiego, a ten Zalew Estyjski ma piętnaście mil szerokości. Od wschodu wpływa tutaj do Zalewu Estyjskiego rzeka Ilfing – z tego jeziora, nad którego

brzegiem stoi Truso. (...) Kraj Estów jest bardzo duży i jest tam dużo miast, a w każdym mieście jest król. A jest tam bardzo dużo miodu i ryb. A król i najzamożniejsi piją kobyle mleko, ubodzy zaś i niewolni piją miód. Jest tam między nimi dużo wojen. A u Estów nie warzy się żadnego piwa, lecz miodu jest tam dużo. Estowie mają taki zwyczaj: gdy umrze tam jakiś człowiek, niespalony leży on w swoim domu u rodziny i przyjaciół jeden miesiąc lub niekiedy dwa; królowie zaś i inni wysoko postawieni ludzie tyle dłużej, ile więcej mają bogactw; niekiedy przez pół roku nie są spaleni i leżą na wierzchu w swoich domach. A przez cały ten czas, kiedy nieboszczyk jest w domu, piją tam i bawią się aż do dnia, w którym go spalą. (...) A jest u Estów zwyczaj, że każdy człowiek, obojętnie jakiego stanu, zostaje spalony. Jeśli zaś znajdzie się jakiś członek niespalony, wtedy muszą o to znosić wielkie przebłagania. A Estowie posiadają taką umiejętność, że potrafią wytwarzać zimno. I dlatego nieboszczyk leży tam tak długo i nie rozkłada się, ponieważ działają na niego zimnem. A jeśli postawi się dwa naczynia pełne piwa lub wody, potrafią oba zamrozić, obojętnie czy jest lato, czy zima".

Historycy dosyć szybko zgodzili się, że opisane przez Wulfstana Truso to osada portowo-handlowa bałtyckich Estów-Prusów położona w rejonie ujścia Wisły. Co do konkretnej lokalizacji spór, do którego włączyli się w XIX wieku archeolodzy, geografowie i językoznawcy, toczony był przez trzy stulecia. Poszukiwania szczególnie utrudniał fakt, że w wyniku zarówno procesów naturalnych, jak i działalności człowieka w ostatnich dziesięcioleciach (melioracja i osuszanie bagien, zmiana koryt rzecznych) uległ radykalnej zmianie układ topograficzny ujścia Wisły. Wraz z postępem odkryć archeologicznych w XX wieku najwięcej zwolenników zyskał pogląd lokalizujący Truso na terenie

dzisiejszego Elbląga, gdyż tam właśnie podczas prac budowlanych i instalatorskich odkryto szereg osad i cmentarzysk wczesnośredniowiecznych. Równocześnie nie wykluczano innych lokalizacji, przez pewien czas sądzono nawet, iż poszukiwaną osadę identyfikować należy z reliktami urządzeń portowych odkrytymi w Zatoce Puckiej. Brano też pod uwagę tereny położone nad południowym i wschodnim brzegiem jeziora Drużno, gdyż opis podróży Wulfstana w sposób najbardziej prawdopodobny do tych właśnie terenów się odnosił.

Tam też w końcu na trop zaginionego portu natrafił na początku lat osiemdziesiątych XX wieku elbląski archeolog Marek Jagodziński. Na wschodnim brzegu jeziora, na gruntach wsi Janów Pomorski odnalazł pozostałości wczesnośredniowiecznej osady zajmującej obszar dwudziestu hektarów. Po kilkunastu latach wykopalisk Jagodziński ogłosił, że zebrał dość argumentów świadczących o tym, że odnalazł pozostałości Truso, takie jak opisywał Wulfstan. A więc obszerną i zamożną osadę portowo-handlową zamieszkiwaną przez ludność różnoetniczną – prusko-słowiańsko-normańską, której ton nadawali jednak i w której najprawdopodobniej rządzili przybysze z północy, głównie z Danii. Wskazywała na to zarówno charakterystyczna dla normańskich osad lokalizacja Truso – taka sama jak w przypadku Ribe, Hedeby czy Birki – z dala od otwartego morza, ale przy najważniejszych wodnych szlakach wiodących w głąb lądu, oraz samo rozplanowanie osady i charakter jej budownictwa. Układ przestrzenny osady z Janowa w sposób bezpośredni nawiązywał bowiem do rozplanowania wielkich emporiów handlowych północy, tak jak wzniesione tam długie domy były takie same jak budowle z tamtych ośrodków. O bliskich związkach ze Skandynawią świadczyły wreszcie wraki klepkowych, spajanych

metalowymi nitami pełnomorskich łodzi żaglowych typu *knorr* odkryte w portowych basenach wykopanych u stóp osady (drewniane kadłuby nie zachowały się, ale żelazne nity i zaciemnienia w ziemi pozwoliły odtworzyć ich kształt). O szczególnych związkach z Danią informowały też znajdowane w fosie otaczającej osadę oraz w rowach oddzielających poszczególne działki srebrne monety bite w VIII wieku w Hedeby i Ribe. Jagodziński ustalił również, że normańska osada handlowa nad jeziorem Drużno powstała w drugiej połowie VIII wieku, początkowo jako osada sezonowa, funkcjonująca jedynie latem. Dopiero sto lat później po wybudowaniu trwałych długich domów i wykopaniu basenów portowych ułatwiających rozładunek większych statków wikingowie zamieszkali w Truso na stałe. Wówczas to osada ta wyrosła na jeden z największych i najbogatszych ośrodków handlowych na południowych wybrzeżach Bałtyku. Wikingowie bowiem, którym później zachodnioeuropejscy i bizantyjscy pisarze urobili fatalną, zbójecką opinię, byli doskonałymi, przodującymi w ówczesnej Europie rzemieślnikami (szczególnie w zakresie obróbki metali) oraz zdolnymi kupcami, i w tych dwóch dziedzinach odnosili wiele sukcesów. Teren na pograniczu Słowian i Prusów nadawał się szczególnie do tego rodzaju działalności, był wręcz wymarzony do handlu, bo otwierał nieograniczony rynek zbytu na wysokiej jakości wyroby rzemiosła – głównie broń i ozdoby – był też prawie niewyczerpanym źródłem towaru budzącego największe zainteresowanie Normanów, bo przynoszącego na rynkach ówczesnego świata największe zyski – niewolników. A dostarczali ich pospołu przywódcy plemienni Słowian i Prusów-Estów, walczący i konkurujący pomiędzy sobą. Zapewne też do Słowian odnosi się wzmianka o miodzie, którego duże ilości spożywano

w Truso, a który, jak donoszą kronikarze bizantyjscy, był najważniejszym napojem alkoholowym naszych przodków już w czasach Attyli. Konie z kolei, jak wskazują ich rytualne pochówki towarzyszące grobom jeźdźców na cmentarzyskach jaćwieskich z okresu wpływów rzymskich i wczesnego średniowiecza, były domeną Estów specjalizujących się w ich hodowli. Zagadkowe „zimno", które podczas lata wytwarzali mieszkańcy portu dla zamrażania ciał zmarłych i konserwacji żywności, to najprawdopodobniej bryły lodu wyrąbane zimą z jeziora i przechowywane w głębokich dołach okrytych słomą, który to zabieg jeszcze w okresie międzywojennym powszechnie był stosowany na Mazurach.

Upadek międzynarodowej działalności Truso nastąpił w połowie X wieku, a jego przyczyną był piracki napad sprowokowany zapewne szeroko znanymi w świecie bogactwami tej kupieckiej faktorii. O zniszczeniach świadczy datowana właśnie na ten okres intensywna warstwa pożarowa pokrywająca zgliszcza osady oraz liczne fragmenty ówczesnego uzbrojenia, głównie groty strzał oraz cenne ozdoby z brązu, szkła i srebra porzucone zapewne lub zgubione podczas walki. Osadę wprawdzie wkrótce odbudowano i dotrwała ona aż do XI wieku, kiedy u ujścia Wisły zapanowali Piastowie, ale nigdy już nie odzyskała dawnej świetności, zaś rolę głównego portu tego rejonu przejął słowiański Gdańsk.

Nie wiadomo też, kto był sprawcą owego niszczycielskiego najazdu, choć jako najbardziej prawdopodobni wydają się skandynawscy pobratymcy założycieli Truso. W X wieku na Bałtyku i w całej Europie Północnej byli nadal żywiołem najbardziej wojowniczym i przedsiębiorczym oraz chętnie walczącym pomiędzy sobą. Ich najbliższe ślady z tego okresu odkryto u ujścia Parsęty na cmentarzysku w Świelubiu. Faktoria,

pełniąca również rolę portu, funkcjonowała tam już od V wieku, o czym świadczą znajdowane w grobach złote solidy przywożone z Bizancjum. Przybyszów interesował przede wszystkim dostęp do położonych w tej okolicy solanek przynoszących wówczas wielkie zyski handlowe. Sól z nich eksploatowano później przez całe średniowiecze, o czym świadczyć może również najstarsza nazwa Kołobrzegu – Solec Kołobrzeski (Salsa Chalbergiensis). Trudno jednak przypuszczać, aby właśnie pogrzebani w Świelubiu wikingowie mogli zagrozić potędze Truso, było ich za mało i ich głównym zajęciem był, jak się wydaje, przede wszystkim zyskowny handel. Najbardziej prawdopodobni mogli być przybysze z Wolina, wyspy położonej u ujścia Odry, gdzie, jak donosili średniowieczni kronikarze, istnieć miało jedno z największych na południowym wybrzeżu Bałtyku łupiesko-handlowe emporium wikińskie nazywane Winetą, Wolinem, Julinem lub Jomsborgiem. Jako pierwszy (2 poł. X w.) wspomina o nim Ibrahim ibn Jakub – żydowski podróżnik z hiszpańskiej Tortosy – opisując plemię Weletaba identyfikowane z Wolinianami: „Posiadają oni potężne miasto nad oceanem (Bałtykiem) mające dwanaście bram. Ma ono przystań zbudowaną z przepołowionych pni. Wojują oni z Mieszkiem, księciem Polan, a ich potęga bojowa jest wielka. Nie mają króla i nie dają się prowadzić jednemu władcy". Żyjący w XI wieku Adam z Bremy, autor kroniki *Descriptio insularis Aquilonis*, twierdził, iż Wineta była największym z miast, jakie znała Europa. „Zamieszkiwali je Słowianie z innymi narodami, Grekami (zapewne Waregami wyznania prawosławnego, czyli greckiego – Z.S.) i Sasami (Niemcami). Wszyscy otrzymywali tam prawo zamieszkiwania pod warunkiem, by publicznie nie występowali z oznakami swego chrześcijaństwa. Wszyscy bowiem mieszkańcy tego miasta jeszcze do dzisiaj podlegają błędom pogaństwa. Ale pod

względem obyczajów i gościnności nie znajdzie się lud bardziej uczciwszy i przychylny przybyszom. Jest tam też latarnia morska, którą mieszkańcy nazywają garnkiem Wulkana (*olla vulcani*)". Sto lat później w podobnie patetycznym tonie w rozdziale *Kroniki Słowian* zatytułowanym *O mieście Wineta* wypowiadał się Helmold, kanonik lubecki, niemiecki kronikarz: „Ponieważ o tym mieście mówi się rzeczy nadzwyczajne i zgoła niewiarygodne, na jego pochwałę z chęcią powiemy coś godnego wzmianki. (...) Obfitowało ono w produkty wszystkich krajów, nie zbywało mu też wyszukanych rozrywek. To arcybogate miasto któryś z duńskich królów otoczył wielką flotą i doszczętnie zniszczył. Dotąd zachowały się jeszcze pozostałości po owym starym mieście. Żywioł Neptuna występuje tam w trzech odmianach. Wyspę bowiem opływają trzy prądy, jeden z nich ma być całkiem zielony, drugi białawy, trzeci zaś sroży się wiecznie w szalonym ruchu burzliwych fal".

Najbardziej jednak fantastyczne wiadomości o wikińskim grodzie położonym u ujścia Odry podaje islandzka saga o Jomswikingach, bractwie nieustraszonych wojowników. Jak podaje saga, Jomsborczycy nikomu nie byli podporządkowani, sami się rządzili i często zaciągali się na służbę do królów. Prowadzili życie proste i surowe, gardzili śmiercią i podczas bitwy dokonywali niezwykle odważnych czynów. Trudnili się też kupiectwem, które obok wojennych łupów stało się źródłem ich wielkich bogactw. Późniejsze legendy powiadają, że bogactwa te, pycha a także zatwardziałe pogaństwo mieszkańców Jomsborga-Winety sprowadziły w końcu na nich gniew Boga, i ich wielkie, bogate miasto zalane zostało przez morze i po dziś dzień pozostaje pod wodą. Inna wersja tej legendy powiada, iż to właśnie morze zapewniło schronienie miastu zagrożonemu najazdem przez króla

Danii, a Bóg wysłuchał modlitwy jego mieszkańców i przeniósł je na dno morskie, stawiając na jego straży rusałkę Diwę. Co ciekawe, wersję o zatopieniu Jomsborga potwierdzać zdają się również ustalenia nauki. Gerard Labuda, wybitny mediewista, ustalił, że tworzące pierwszy człon tej nazwy słowo *jom* lub *juma* oznacza po fińsku i estońsku piaszczystą mierzeję lub zatokę, świadczy więc, że miasto to położone było na samym brzegu morza. Szczeciński archeolog Władysław Filipowiak od dziesięcioleci prowadzący wykopaliska w Wolinie identyfikuje to miasto z Winetą-Jomsborgiem. Odnalazł kilka warstw powodziowych, z których najstarsza pochodziła z początku IX, a najmłodsza z połowy wieku X, kiedy ze względu na ocieplenie klimatu i związane z tym podniesienie poziomu wód gruntowych powodzie stały się szczególnie częste i dotkliwe. Świadczyć to może, że wprawdzie nie tak gwałtownie jak w legendzie, ale jednak dawna osada jomsborskich wikingów zalewana była stopniowo przez morze, aż do jej całkowitego pochłonięcia. Jeśli jednak wziąć pod uwagę, iż miasto Wolin leży po południowo-zachodniej stronie wyspy Wolin i oddalone jest od morza o całą jej szerokość, to zaproponowana przez Filipowiaka lokalizacja budzić może wątpliwość. Jeśli Wineta położona była na północnym brzegu, gdzie narażona była na bezpośrednie uderzenia morskich fal, to legendarna opowieść o jej nagłym zniknięciu w odmętach również może być brana pod uwagę. Jedno wydaje się prawdopodobne: zarówno zagrożenia od nieustannie podnoszących się w wyniku ocieplenia klimatu wód Bałtyku, jak i ze strony króla Danii i rosnącej potęgi księcia wielkopolskich Polan rozpoczynającego swą ekspansję na Pomorze mogły dostarczyć mieszkańcom Winety wystarczającej liczby powodów do poszukiwań miejsc bardziej bezpiecznych dla życia. Niektórzy uczeni twierdzą, że Jomsborg-

Wineta był warownym obozem wikingów, podobnym do tych, których pozostałości w postaci imponujących wałów przetrwały na terenie Danii: w Trelleborgu położonym w zachodniej części wyspy Zelandii, Frykat we wschodniej Jutlandii, Nonneberg na wyspie Fyn i – największy – w Aggersburgu w północnej Jutlandii. Są to założenia ogromne (obóz w Trelleborgu ma 136 metrów średnicy, a w Aggersburgu – 240) i precyzyjnie rozplanowane. Wszystkie położone są w pobliżu morza i dogodnych przystani, ich wnętrze podzielone zostało na regularne kwartały wytyczone wzdłuż linii przecinających się pod kątem prostym. Świadectwem sztuki inżynierskiej, ale też nierozwiązaną do dziś zagadką jest ustalony przez archeologów fakt, że budowniczowie tych fortyfikacji przy ich rozplanowaniu jako jednostką miary posługiwali się stopą rzymską mierzącą trzydzieści centymetrów. Dlaczego zastosowali taką właśnie miarę? Czy zapożyczyli ją podczas najazdów na tereny państwa Karola Wielkiego, gdzie nadal po upadku cesarstwa zachodniorzymskiego była w użyciu, czy też znali i stosowali ją wcześniej, być może jeszcze w starożytności lub w burzliwym okresie wędrówek ludów, kiedy mieszkańcy Skandynawii często kierowali się na południe i z bagażem łupów, a także nowych umiejętności cywilizacyjnych powracali do ojczyzny. Niedawno ogłoszona hipoteza, że wynalazcą staroskandynawskiego pisma runicznego był Germanin wykształcony wśród Rzymian, być może oficer cudzoziemskiego legionu, świadomie wzorujący się na alfabecie łacińskim, może potwierdzać to przypuszczenie.

Dla ludzi przedsiębiorczych i odważnych, tak wówczas, jak i w X wieku, największe możliwości otwierały się na Wschodzie, tam gdzie nie sięgała jeszcze władza feudalnych państw, z których potęgą nie mogły się równać bractwa nawet najodważniejszych

wojowników. Tam też zapewne skierowali swe smukłe drakkary Jomswikingowie, a następnie przez kilka dni żeglowali niestrudzenie, ciągle mając po prawej burcie piaszczystozłote plaże okolone zielenią lasów. Być może odwiedzili swych pobratymców mających dwa grody u ujścia Parsęty na Pomorzu Środkowym, w Bardach i Świelubiu, warzących sól i handlujących z tubylcami mieszkającymi w głębi lądu, grzebiących swych zmarłych na pobliskim cmentarzysku w grobach ciałopalnych – wyposażonych na drogę pośmiertną w ozdoby produkowane w Skandynawii i Nadrenii. Ale jeśli tam nawet dotarli, płynąc w górę wartkiej rzeki, to napotkać mogli jedynie nieliczne resztki dawnej świetności tego ośrodka, którego najlepszy okres przypadł na wiek VIII i początek IX stulecia. Przewodnik, bywały w tych okolicach, poprowadził więc dalej flotyllę pośród rozlewisk i rzecznych odnóg wprost do portu nad jeziorem Drużno. Zaatakowali zapewne nad ranem, gdy nawet straże zapominały o czujności. Walka była długa i zacięta, bo i mieszkańcy Truso nosili miecze nie od parady i dopiero wzniecony przez najeźdźców pożar skłonił ich do ucieczki. Dokąd wywędrowali, można się tylko domyślać, ale najprawdopodobniej i im nie pozostało nic innego, jak tylko udać się jeszcze dalej na wschód albo na południe, aby tam szukać szczęścia i zarobku. Zdobywcy zaś, gdy wystygło pogorzelisko, rozgarnęli zgliszcza i od nowa wznieśli takie same jak te spalone, długie, prostokątne domy z trójdzielnym podziałem wnętrza i stromym, dwuspadowym dachem. I choć handlowa osada w Truso nigdy już nie miała odzyskać dawnej świetności, to jednak nadal pozostawała ważnym ośrodkiem portowym. Wykopaliska Marka Jagodzińskiego sugerują nawet, że przybysze, pomni złych doświadczeń, wznieśli tam taką samą budowlę, jaka zapewniała im bezpieczeństwo w rodzinnym Jomsborgu. Archeolog trafił

mianowicie na pozostałości masywnego fundamentu w formie kwadratu, dźwigającego zapewne drewnianą wieżę obserwacyjną, która pełnić mogła również funkcję latarni morskiej, owego „garnka Wulkana", o którym wspomina Adam z Bremy, opisując „dwunastobramną Winetę", „bałtycką Atlantydę" zatopioną przez gniewnych bogów. Według rekonstrukcji Władysława Filipowiaka wolińska latarnia morska, najstarsza zapewne na Bałtyku, położona była na Wzgórzu Wisielców w miejscu, skąd Dziwna wypływa z Zalewu Szczecińskiego i kieruje się do morza. Na jej szczycie znajdowała się wylepiona gliną platforma, na której urządzone było palenisko. Od strony przepływających statków wieża ta – widoczna z daleka, kipiąca ogniem i dymem – przypominała rzeczywiście wielki garnek. Wskazywała żeglarzom drogę do portu, z jej szczytu już z oddali można było dostrzec obce lub wrogie jednostki. Górując nad okolicą i błyskając ogniem, była też oznaką władzy sprawowanej nad otaczającym ją terytorium.

W STRONĘ RUSI

Już w 1973 roku Wojciech Szymański, jeden z najwybitniejszych w Polsce znawców wschodniej Słowiańszczyzny, napisał: „Nazwa «Ruś» była już w samym swym zaraniu określeniem kulturowym, nie zaś precyzyjnym terminem etnicznym. Było to miano kupiecko-rozbójniczej korporacji wyspecjalizowanej w działalności wzdłuż szlaku wołżańskiego wiodącego do krajów muzułmańskich, złożonej w przewadze z żywiołu nordyjskiego, szybko obrastającego jednak w miejscowy element fiński i słowiański. (...) Od samych początków istnienia państwa kijowskiego nazwa «Ruś» przybrała sens społeczno-polityczny i terytorialny jako miano rządzącej dynastii, jej najbliższego otoczenia i różnoetnicznej drużyny oraz ziem na trwałe im podporządkowanych. Nordyjscy przybysze wyrwani z własnego środowiska plemiennego, zmajoryzowani przez ludność miejscową, szybko się asymilowali. W sferze kultury materialnej ich wkład wyrażał się przede wszystkim w upowszechnieniu pewnych typów wysokosprawnego oręża, głównie frankońskich mieczy, podniesieniu poziomu korabnictwa i żeglowania, udoskonaleniu taktyki pieszego boju, wzbogaceniu ubioru o specyficzne ozdoby". Szymański podkreśla też szybkość i sprawność, z którą nasi przodkowie asymilowali samych normańskich przybyszów, oraz ich cywilizacyjne osiągnięcia.

Pochodzących ze Skandynawii Nordmanów, czyli Normanów, zwano też powszechnie, z racji ich wojenno-kupieckiego zajęcia, wikingami – w Europie Zachodniej – i Waregami (Wariagami) – w Europie Wschodniej. W IX–XI wieku byli to najbardziej odważni i przedsiębiorczy wojownicy, kupcy i żeglarze w całym ówcześnie znanym świecie. „Chodzenie na wiking" oznaczało wyprawę równocześnie: handlową, łupieską i nastawioną na podbój nowych ziem. W *Powieści minionych lat* Nestora znajdujemy informację, że już w roku 859 Waregowie ściągali daninę od Słowienów i Krywiczów – słowiańskich plemion zamieszkujących nad górnym Dnieprem i Dźwiną. Kronikarz ten donosi również, że w 862 roku ludzie ci „wygnali Waregów za morze i nie dali im dani i poczęli sami władać sobą. I nie było u nich sprawiedliwości i powstał ród przeciwko rodowi, i były u nich zwady, i poczęli wojować sami ze sobą. I rzekli sobie: poszukajmy sobie kniazia, który by władał nami i sądził wedle prawa. I poszli za morze ku Waregom, ku Rusi. Bowiem tak się zwali ci Waregowie – Rusią, jako się drudzy zowią Szwedami, inni Normanami i Anglami, a jeszcze inni Gotami – tako i ci. Rzekli: Ziemia nasza wielka jest i obfita, a ładu w niej nie ma. Przychodźcie więc rządzić i władać nami. I wybrali się trzej bracia z rodami swoimi, i wzięli ze sobą wszystką Ruś i przyszli do Słowienów najprzód, i siadł najstarszy Ruryk w Nowogrodzie, a drugi Sienus, na Białym Jeziorze, a trzeci Truwor, w Izborsku. I od tych Waregów przezwała się ziemia ruska". Rok później towarzysze Ruryka, Askold i Dir, płynąc Dnieprem na łupieską wyprawę przeciwko Bizancjum, zdobyli niewielki podówczas gród założony przez mitycznego Kija – Kijów, i wybrali go na swą siedzibę. W ten sposób powstały i umocniły się dwa najważniejsze na wczesnośredniowiecznej Rusi ośrodki polityczne: północny ze stolicą w Nowogrodzie i południowy w Kijowie.

Nestor, pierwszy kronikarz i piewca Rusi, zapewne żyjący w XI wieku mnich z kijowskiej Ławry Peczerskiej, którego wiarygodności nie ośmielano się negować nawet w okresie stalinowskim, opowiada nie tylko o wiadomym jemu początku organizacji politycznej w jego kraju, ale też, podając tego okoliczności, w nieświadomy zapewne dla siebie sposób uwiarygodnia swój przekaz. Okoliczności powstania pierwszego państwa na Rusi są bowiem identyczne z tymi, które towarzyszyły powstaniu podobnych organizmów za panowania Samona na Morawach czy w Tracji pod panowaniem Bułgarów. Żyjący w gminowładztwie, nieskorzy do uznawania władzy współplemieńców, często skłóceni Słowianie potrzebowali zewnętrznego impulsu, aby dołączyć do politycznego standardu swoich czasów. Nestor informuje nas również, że doskonale zdawali sobie sprawę z palącej tego potrzeby, ich rodowi przywódcy wiedzieli, że od tego zależy przyszła egzystencja ich wspólnot. Bez wahania więc i bez kompleksów zapraszali do siebie najlepszych podówczas w tej sprawie specjalistów.

Nie odbywało się to – co oczywiste – w formie towarzyskiej sielanki. Wczesne średniowiecze i poprzedzający je okres wędrówek ludów, czasy, gdy ludy Europy naciskane przez przybyszów z Azji zajadle walczyły o swe miejsce na ziemi, ryzykując, jak w przypadku Gepidów czy Awarów, całkowite wyniszczenie, należały do najbardziej okrutnych. Zaś pośród ludów, które w ujęciu późniejszych historyków ubiegać się mogą o miano największych okrutników tamtych czasów, obok Hunów, Awarów, właśnie skandynawscy wikingowie mają największe szanse na ten wątpliwy zaszczyt. W 1X i X wieku to oni siali okrutne spustoszenie w Europie Zachodniej, nie tylko na morskich wybrzeżach, ale też w głębi krajów, dokąd docierali korytami rzek. Wielkie rzeki Europy

– Sekwana, Rodan, Ren, Wisła stanowiły też najważniejsze magistrale ich ekspansji, zaś na wschodzie Dniepr i Wołga tworzyły sławny szlak od Waregów do Greków, który łączył Skandynawię, przez ówczesnych geografów uważaną za wyspę, z państwem nadwołżańskich Bułgarów, Chorezmem położonym w międzyrzeczu dzisiejszej Amu-darii i Syr-darii, kalifatem bagdadzkim obejmującym tereny dzisiejszego 1raku i 1ranu oraz z cesarstwem bizantyjskim. A we wszystkich tych krajach, przeżywających w tamtym okresie gospodarczy rozkwit, istniało wielkie zapotrzebowanie na siłę roboczą, na niewolników, których ceny były z tego powodu astronomiczne na tamtejszych rynkach. Historycy obliczyli, że niewolnik, za którego na Słowiańszczyźnie płacono dwadzieścia srebrnych arabskich dirhemów, na rynku w Bagdadzie sprzedawany był za dwieście takich samych monet. Wikingowie, którzy byli równocześnie – zależnie od okoliczności – rabusiami, kupcami i rzemieślnikami, z tego właśnie handlu ciągnęli największe zyski. Potwierdza to również jeden z pisarzy arabskich, ibn Rosteh, cytujący anonimową relację ze schyłku 1X wieku: „Rusowie mieszkają na wyspie, która otoczona jest morzem. Ta wyspa (Skandynawia) rozciąga się na trzy dni drogi i pełna jest lasów i bagien (...). Wyspa ta służy im za osłonę przeciw tym, którzy ich chcą zaatakować. Ogólną ich liczbę ocenia się na sto tysięcy osób. Zwalczają oni Słowian w ten sposób, że wsiadają na statki, a gdy do nich dotrą, biorą ich w niewolę, zawożą do Chazarów i Bułgarów i tam ich sprzedają".

Skandynawowie, będąc założycielami klasy politycznej na Rusi, jak wcześniej Frankowie w państwie Samona i Bułgarzy pośród Słowian bałkańskich, szybko ulegli asymilacji. Już w trzecim pokoleniu stali się Słowianami, szczególnie gdy zaczęli wstępować w związki małżeńskie ze Słowiankami. Świadczą o tym wymownie

chociażby ich imiona. Założyciele pierwszych politycznych ośrodków na Rusi: Ruryk (Rerik) w Nowogrodzie i Askold oraz Dira w Kijowie, noszą imiona skandynawskie. Tak samo jak ich następca, zjednoczyciel „Rusi Górnej i Dolnej", Oleg (Helgi), oraz jak jego syn Igor (Ingvar), zacięty wróg Bizancjum, podstępnie zabity przez słowiańskich Drewlan. Jednakże jego syn, który zniszczył państwo Chazarów, a także nadwołżańskich Bułgarów i padł w boju z koczowniczymi Pieczyngami, nosił już imię słowiańskie – Światosław. Tak samo jak jego syn i następca Włodzimierz zwany Wielkim, który wprowadził chrześcijaństwo na Ruś i przesunął jej granicę na zachód aż po San.

Tymczasem, jak zauważył wybitny przedwcześnie zmarły mediewista Benedykt Zientara: „Już w XVIII wieku, od początku naukowej historiografii, problem genezy państwa ruskiego pozostaje przedmiotem ostrych polemik, przeważnie dalekich od naukowego dociekania prawdy. Patriotyczni i nacjonalistyczni historycy rosyjscy, poczynając od Michaiła Łomonosowa, nie mogli znieść myśli o założeniu państwa ruskiego w drodze podboju i kwestionowali wartość źródeł mówiących o normańskim pochodzeniu dynastii, grupy rządzącej, elementów ustroju, prawa, kultury. Walka między «normanistami» a «antynormanistami» nasiliła się szczególnie w XX wieku. Głoszone w Niemczech rasistowskie teorie o państwowotwórczej roli Germanów i niezdolności Słowian do samodzielnego zorganizowania życia społecznego wywołały w ZSRR reakcję polegającą nie tylko na potępieniu «normanizmu», ale też na faktycznym uniemożliwieniu obiektywnego przedstawienia procesów związanych z genezą państwa ruskiego. W szczególności starano się udowodnić słowiańskie pochodzenie nie tylko nazwy Ruś, ale także

ponad wszelką wątpliwość germańskich imion Rurykowiczów i ich dostojników".

Pochodzenie nazwy Ruś starano się tłumaczyć na różne sposoby, aby tylko uniknąć najbardziej oczywistej, poświadczonej historycznie etymologii skandynawskiej. Stalinowski językoznawca Nikołaj Marr, na przykład, wywodził to słowo z języka etruskiego, co było pomysłem zarówno oryginalnym, jak i dalekowzrocznym, zważywszy, że język etruski do dziś nie jest poznany, choć znane jest wzorowane na alfabecie greckim etruskie pismo. Peter Znojko, uczony ukraiński, twierdził dla odmiany, że Ruś i Rusin pochodzą od łacińskich słów *rus* i *rusticus* (wieśniak). Zwolennicy domowych etymologii doszukiwali się podobieństwa pomiędzy Rusią i rosyjskim słowem *rusy*, co oznacza „rudawy", albo też prasłowiańskim słowem *ruslo*, co znaczy strumień. Wybitny radziecki historyk Borys Rybakow w wydanej również w Polsce w 1983 roku książce *Pierwsze wieki historii Rusi* twierdził: „Żadnego szwedzkiego (normańskiego) plemienia Ruś nie udało się historykom odkryć do dziś dnia, (...) zaś wykorzystanie wcześniejszych źródeł pisanych i zestawienie ich z materiałem archeologicznym wykazuje, że nazwa Rusi od czasów najdawniejszych związana jest z naddnieprzańską Słowiańszczyzną". Również w polskiej historiografii pogląd ten obowiązywał aż do lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Wcześniej w okresie stanu wojennego w wydanej w drugim obiegu książce *Dawna Rosja, despotyzm i demokracja* pisał Zientara: „Szczególna rola przypadła Rusom osiadłym w Nowogrodzie. Uzyskawszy poparcie miejscowych Słowian (Słowienów), zainteresowanych handlem na drodze dnieprowej, zlikwidowali (według roczników w 882 r.) kijowskie państwo Askolda i Dira, rozciągając swe panowanie na całą drogę od Waregów do Greków. Dniepr był osią nowego

państwa, zwanego od swych założycieli Rusią. Ośrodkiem tego państwa został nie Nowogród, lecz Kijów położony bliżej Konstantynopola, który wciąż stanowił główny cel wypraw Waregów. Władza w państwie stała się dziedzictwem normańskiej dynastii wywodzącej się od Ruryka – zwanej więc w historiografii Rurykowiczami. (...) Na miejscową organizację i zwyczaje prawne nałożyły się prawa narzucone przez zdobywców oraz elementy ich organizacji wojskowej i politycznej. Zdobywcy stanowili jednak bardzo cienką warstwę społeczną i rozpłynęliby się bardzo szybko w masie Słowian, gdyby nie ciągły – do połowy XI wieku – dopływ nowych drużyn ze Skandynawii. Ponieważ Waregowie przybywali na ogół bez kobiet, zakładali rodziny, żeniąc się z przedstawicielkami rodzin miejscowej starszyzny plemiennej. Już wnuk Ruryka nosił imię słowiańskie – Świętosław. W X wieku skandynawscy Rusowie pod względem językowym byli już zasymilowani ze słowiańskim otoczeniem".

Ostateczny kształt państwu kijowskiemu nadał syn Świętosława i jego następca Włodzimierz (980–1015), zwany później Świętym, gdyż oficjalnie dokonał chrystianizacji Rusi w obrządku bizantyjskim, który przepychem swych świątyń i bogactwem liturgii najbardziej odpowiadał zafascynowanym blaskiem Konstantynopola, zeslawizowanym już Rusom. Dzieła Włodzimierza zaś dokończył jego syn Jarosław, który doszedł do władzy po dwudziestoletnim okresie walk i waśni ze swymi braćmi o tron kijowski. Za jego panowania (1037–1054) Ruś Kijowska osiągnęła apogeum swego rozkwitu kulturalnego i potęgi politycznej. Po jego śmierci nastąpił okres dzielnicowego rozdrobnienia, który trwał aż do tragicznej inwazji Mongołów w pierwszej połowie XIII wieku, która na kilka wieków pogrążyła Ruś w mrokach zacofania i niewoli.

W *Powieści minionych lat*, stanowiącej wykład dziejów Rusi od czasów legendarnych do roku 1117, czytamy, że w roku 6555 od stworzenia świata, czyli w 1047 roku od narodzenia Chrystusa: „Jarosław poszedł na Mazowszany, i zwyciężył ich, i kniazia ich zabił, Mojsława, i upokorzył ich Kazimierzowi". Mojsław to cześnik i buntownik przeciwko prawowitej, piastowskiej władzy – Masław, o którym nasz Gall Anonim pisze: „Do takiej posunął się hardości i pychy, że odmawiał posłuszeństwa Kazimierzowi, a nadto z bronią w ręku i podstępem stawiał mu opór. Lecz Kazimierz oburzony, że sługa ojca i jego własny siłą zatrzymuje Mazowsze (...) zebrał nieliczną wprawdzie, lecz zaprawioną w walkach garść wojowników i stoczył zbrojnie bitwę, w której Masław poległ, a on tryumfalnie zdobył zwycięstwo, pokój i cały kraj".

O zbrojnej pomocy szwagra, księcia ruskiego Jarosława, polski dziejopis nie wspomina, starając się nie odbierać bojowych zasług rodzimemu władcy. Podaje jednak dwie dodatkowe informacje wspierające hipotezę o późniejszym osadnictwie członków przybyłej z Rusi drużyny wareskiej na spustoszonym, oczekującym na nowych osadników i obrońców Mazowszu. We wspomnianej więc bitwie: „Nastąpić miała ogromna rzeź Mazowszan, jak na to dotychczas wskazuje miejsce walki i urwisty brzeg rzeki. (...) W owej zaś bitwie mieli Mazowszanie trzydzieści sprawionych hufców, podczas gdy Kazimierz posiadał zaledwie trzy pełne hufce wojowników, gdyż, jak powiedziano, cała Polska niemalże pustką stała". Jeśli wierzyć kronikarzowi, na skutek klęski w bitwie na wyniosłym brzegu nieznanej rzeki (najprawdopodobniej w pobliżu Wzgórza Tumskiego w Płocku, gdzie rezydował Masław) największą pustką stało Mazowsze.

Wysłani przez Jarosława Waregowie przypłynęli łodziami, czego potwierdzenie znaleźć możemy również w *Powieści minionych lat*

w zapisie pod rokiem 6549 (1041): „Poszedł Jarosław na Mazowszan, w łodziach". Z Kijowa trasa prowadziła w górę Prypeci aż do ważnego ruskiego grodu – Brześcia, a następnie Muchawcem do Bugu, który unosił statki na zachód w głąb mazowieckiej krainy. Po drodze znajdował się rusko-mazowiecki Drohiczyn, który wówczas już, w połowie XI wieku, zaczął wyrastać na prawdziwe handlowe emporium bogacące się na handlu Zachodu ze Wschodem. Obszary zasiedlone przez przybyszów, których obecność poświadczają dziś ich cmentarzyska z grobami w obudowach kamiennych, rozciągały się na północ od Bugu, ale odkrycia archeologiczne w Drohiczynie dowodzą, iż Waregowie jeszcze w XII wieku za pośrednictwem tego rzecznego portu utrzymywali ożywione kontakty z Kijowem i Rusią. W istocie Drohiczyn położony na pograniczu polskiego Mazowsza i ruskiego Podlasia, podlegający władzy raz zachodniego, raz wschodniego księcia, pełnił funkcję wielkiego targowiska, ośrodka produkcji rzemieślniczej oraz książęcej komory celnej. Tę ostatnią działalność, prowadzoną w interesie władców, poświadczają setki ołowianych plomb z pieczęciami książąt ruskich odnalezione w tym mieście i jego okolicy. Podczas drogi na zachód plomby te gwarantowały książęcą ochronę towarów, zapewniały bezpieczeństwo transportu. Po dotarciu do pogranicznej komory celnej i opłaceniu cła były, jako już nieobowiązujące pod władzą innych książąt, odrywane i odrzucane. A o tym, jak wielkie zyski przynosić mógł udział w tego rodzaju wymianie, świadczą bogate depozyty – skarby srebrnych monet i wyrobów jubilerskich odnajdowane, na ogół przypadkowo, w samym Drohiczynie, a także jego dalszej i bliższej okolicy, wzdłuż bużańskiego szlaku, szczególnie na północ od niego. Znaleziska te pochodzą jednak z IX i X wieku, z czasów wielkiej ekspansji kupców skandynawskich do Azji Środkowej. Tylko jeden

skarb z Drohiczyna liczył prawie trzysta całych srebrnych monet oraz siedemnaście ich fragmentów. Wszystkie były monetami arabskimi, w większości wybitymi za panowania kalifów Abbasydów panujących w IX wieku. Depozyt ten ukryty został pod koniec tego stulecia i świadczy, że już w tym czasie kupiecki szlak od Waregów do Greków, z licznymi jego odgałęzieniami, funkcjonował w najlepsze, docierając również na pogranicze Mazowsza i Podlasia. Interesujące jest równocześnie, że z okresu od XI do XIII wieku nieznane są z tego obszaru skarby monet, co świadczyć może również i o tym, że ustały okoliczności skłaniające ludzi zamożnych do powierzania swych bogactw najpewniejszemu wówczas bankowi – ziemi. Z XI wieku pochodzi natomiast większość wspomnianych plomb noszących znaki książąt ruskich, najczęściej kijowskich. A towary, którymi je pieczętowano, wiązały się z najbardziej podstawowymi potrzebami wareskich osadników. Była to sól – wówczas produkt pierwszej potrzeby, cenny, bo trudno osiągalny w rejonach oddalonych od morza – wydobywana na Rusi Czerwonej, w okolicach Drohobycza, gdzie bierze swój początek Bug, oraz zboże udające się obficie na urodzajnym Wołyniu i trochę gorzej na kamienistym, pozbawionym dobrych gleb Podlasiu i północnym Mazowszu. Obydwa towary transportowano w przypominających starożytne amfory, charakterystycznych dla średniowiecznej Rusi naczyniach zasobowych – tak zwanych korczagach.

WIKINGOWIE U ŹRÓDEŁ POLSKI

Najnowsze odkrycia archeologiczne wskazują również, że tak jak głosił już w połowie XIX wieku Karol Szajnocha, a w okresie międzywojennym utrzymywali także Włodzimierz Antoniewicz i Tadeusz Wojciechowski, skandynawscy wikingowie przyczynili się do powstania państwa Polaków utworzonego przez księcia wielkopolskiego Mieszka, pierwszego historycznego władcę z piastowskiej dynastii, której pierwociny giną w mroku „ciemnych wieków". Najpierw okazało się, że wbrew szerzonym w PRL opowieściom o dobrym i postępowym księciu Polan „zbierającym" w imię wspólnego dobra pod swym panowaniem dobrowolnie doń przyłączające się plemiona prapolskie ekspansja Wielkopolanina wyglądała zgoła inaczej, choć całkowicie zgodnie z zasadami ówczesnej epoki, której ton nadawali przeżywający wówczas ekspansywny okres Skandynawowie. Zjednoczenie to dokonywało się więc na drodze gwałtownej, okrutnej przemocy, przy użyciu ognia i żelaza, którymi łamano opór lokalnych wodzów i całych plemion. Świadectwem tego jest ustalony przez archeologów fakt,

że w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych X wieku spalono i zrównano z ziemią prawie wszystkie plemienne grody zachodniej Wielkopolski, Kujaw, zachodniego Mazowsza i północnej Małopolski. Na ich zgliszczach lub w sąsiednich miejscach równie obronnych powstały niebawem imponujące, większe od tamtych, ziemno-drewniane twierdze wznoszone przez nowych, piastowskich władców. Na potrzeby tych imponujących budowli właśnie wówczas wycięto w Wielkopolsce odwieczne dąbrowy, które już nigdy się nie odrodziły, co do dziś obserwować można w bezleśnym prawie krajobrazie tej dzielnicy. W najważniejszych ośrodkach powstającego państwa pojawiły się też pierwsze na naszych ziemiach monumentalne budowle pałacowe, tak zwane palatia – najdawniejsze przykłady architektury murowanej na tym obszarze, widoczne świadectwo książęcej potęgi.

Aby dokonywać tak wielkich podbojów, trzeba było mieć moc przewyższającą siłę przeciwników. Według Ibrahima ibn Jakuba, który wprawdzie nie dotarł do Gniezna, ale wiarygodnych informacji zasięgnął w czeskiej Pradze, Mieszko miał trzy tysiące pancernych, „z których setka znaczy więcej niż dziesięć secin innych wojowników i daje tym mężom odzież, konie, broń i wszystko, czego tylko potrzebują". Dalej dodaje, że wszystkie dzieci tych wojowników – niezależnie od płci – od czasu swych narodzin również otrzymują żołd, a gdy dorosną, książę troszczy się, aby zawarły związki małżeńskie i z tej okazji również ofiarowuje im dary i ponosi koszty wesela. Z relacji tej wyłania się obraz wojska zaciężnego, będącego wraz z rodzinami na całkowitym utrzymaniu władcy. Wielu historyków zgłaszało wątpliwości, czy Mieszko mógł rzeczywiści pozwolić sobie na tak ogromny wydatek, wątpili nawet, czy książę miał w ogóle jakieś ciężkozbrojne oddziały zaciężne. Wspomnienie niemieckiego kronikarza Thietmara opisującego

sławny zjazd w roku 1000 w Gnieźnie, podczas którego Bolesław Chrobry ofiarować miał cesarzowi Ottonowi III trzystu pancernych, zdaje się jednak usuwać tę wątpliwość. Pierwsi historyczni Piastowie mieli w swym władaniu najsprawniejsze, najbardziej efektywne jednostki wojskowe swoich czasów, oddziały, w których kompania znaczyła więcej niż batalion, które niczym stalowy nóż wchodziły w miękką masę plemiennego pospolitego ruszenia. Kim byli, skąd pochodzili ci tak wartościowi, tak sprawni w boju wojownicy, łatwo się domyślać.

Wielkopolscy Piastowie podbijali ościenne plemiona, zatrudniając najlepszych żołnierzy tamtych czasów, doskonale wyszkolone i uzbrojone drużyny skandynawskie działające w oparciu o nowy, potężny system fortyfikacji. Z usług wikińskiej drużyny korzystał też Mieszkowy syn, Bolesław. Świadczy o tym nie tylko wzmianka o owych pancernych ofiarowanych cesarzowi Ottonowi. Dowodzą tego również najnowsze badania wielkich wczesnośredniowiecznych grodzisk z terenu Małopolski. Najbardziej znane z nich znajduje się w Stradowie w pobliżu ujścia Nidy do Wisły (na północ od Krakowa) oraz w Naszacowicach leżących u wylotu Bramy Morawskiej na ziemie polskie. Wielkość tych obiektów, do których obsadzenia potrzebna była wielotysięczna załoga, a równocześnie prawie całkowity brak na ich terenie śladów dłuższej obecności ludzi – ułamków glinianych naczyń, kości świadczących o konsumpcji mięsa, resztek narzędzi i ozdób – przez dziesięciolecia wprawiały w zakłopotanie archeologów usiłujących wyjaśnić funkcję i przyczynę budowy tak rozległych i potężnych warowni. Dodatkowym kłopotem była, jak sądzono, wczesna – przełom VII i VIII wieku – chronologia powstania tych obiektów. Czy plemię małopolskich Wiślan –

zapytywano – było aż tak potężne i dobrze zorganizowane, że mogło pozwolić sobie na tak wielki wydatek ludzkiej pracy.

Nowsze, bardziej precyzyjne analizy chronologiczne metodą badania zawartości radiowęgla 14C pozwoliły na skorygowanie wcześniejszego datowania. Okazało się, że wielkie grody „wiślańskie" powstały za czasów Mieszka i jego syna Bolesława i istniały stosunkowo krótko, od połowy X do połowy następnego stulecia. Z tymi też władcami, jednoczycielami ziem polskich, należy łączyć ich powstanie. Zakładane w miejscach najbardziej strategicznych, w pobliżu dogodnych szlaków granicznych i centrów administracyjnych, służyć miały przede wszystkim do sprawowania militarnej władzy na świeżo podbitym wrogim terytorium, dodatkowo jeszcze zagrożonym przez potężnych sąsiadów. Wielkie grodziska były więc obozami warownymi, w których okresowo, w przypadku szczególnych zagrożeń lub podczas wypoczynku albo postoju, stacjonowała drużyna księcia. O tym, że mogła to być drużyna złożona ze Skandynawów, świadczyć może podobieństwo wielkich grodów małopolskich do równie wielkich i również budzących kontrowersje co do swego przeznaczenia duńskich grodów typu Trelleborg. Według najnowszych hipotez grody te o regularnej, koszarowej budowie pełniły funkcję obozów dla drużyny wojowników, których zadaniem było utrzymanie w ryzach ludności świeżo podbitego kraju. Jest więc wielce prawdopodobne, że grody w Stradowie, Naszacowicach, Wietrznie odgrywały taką samą rolę.

Pierwsi historyczni Piastowie nie byli więc łagodnymi gminowładcami, gospodarnymi oraczami, ospałymi, ale poczciwymi zarządcami urodzajnych pól, jak przedstawił ich Gall Anonim w *Kronice polskiej*. Byli nieodrodnymi synami swej epoki, żądnymi władzy i bogactw przywódcami drużyn złożonych z tak samo jak

oni chciwych łupów, zajadłych zabijaków gotowych do każdej awantury mogącej przynieść sukces i korzyść. I jest też wielce prawdopodobne, że większość z nich wywodziła się z północy, ze Skandynawii lub z wikińskich faktorii rozrzuconych na południowych wybrzeżach Bałtyku. A na czele tej drużyny, bez wątpienia już, stał wybitny wódz i strateg, wikiński jarl, który, kiedy zdobył władzę nad Wielkopolską i ustanowił tam własną dynastię – szybko spolonizowaną – przybrał słowiańskie imię Mieszko. Jakie imię nosił wcześniej, informuje nas dokument, który wystawił pod koniec życia. Występuje ono w napisanym około 991 roku w Gnieźnie lub niemieckim Kwedlinburgu dokumencie nazwanym przez historyków od jego pierwszych słów *Dagome iudex*, w którym pierwszy chrześcijański władca Polski wraz z drugą żoną Odą i ich synami, Mieszkiem i Lambertem, oddaje siebie oraz swe państwo gnieźnieńskie we władanie Stolicy Apostolskiej. Akt ten, spisany pierwotnie na papirusie, nie zachował się w oryginale, ale znany jest ze streszczenia sporządzonego w drugiej połowie XI wieku przez kardynała Kurii Rzymskiej. Aleksander Brückner, wybitny slawista pierwszej połowy XX wieku, stwierdził, że „nie ma na świecie tekstu, który w ośmiu wierszach zawierałby więcej zagadek". Problem pojawia się bowiem już w pierwszych jego słowach: „Dagome sędzia i Ote senatorka i synowie ich Misica i Lambert nadali świętemu Piotrowi jeden gród w całości zwany Schinesghe, ze wszystkimi jego przynależnościami, w obrębie tych granic...". Kontrowersje budzi nie tyle nazwa owego grodu, który większość badaczy identyfikuje z Gnieznem, ile dziwaczna tytulatura niestosowana wcześniej wobec polskiego władcy ani też jego żony. Wprowadziła ona również w zakłopotanie autora odpisu, kardynała Deusdedita, który ów regestr opatrzył wymowną uwagą:

„Nie wiem, jakiego rodu są to ludzie, sądzę jednak, że byli Sardyńczykami, ponieważ władają nimi czterej sędziowie".

Najwięcej jednak kontrowersji do dziś budzi owo tajemnicze imię polskiego księcia, niewątpliwie znanego przede wszystkim jako Mieszko władca Polan. Według badaczy polskich, na przykład Henryka Łowmiańskiego, imię Dagobert, po łacinie Dagobertus, popularne wówczas w świecie zachodniego chrześcijaństwa, polski książę otrzymał jako imię chrzestne, którego używał w oficjalnych dokumentach wystawianych przez jego kancelarię. Inni, jak Karol Buczek czy Gerard Labuda, uważają, że Mieszko w ogóle drugiego imienia chrzestnego nie miał i nie używał, bo gdyby nawet je otrzymał, czemu przeczy nie tylko jego zaawansowany wiek podczas przystępowania do tej ceremonii, ale także odnoszące się do niego źródła polskie, czeskie i niemieckie, nie wyłączając kronik Widukinda i Thietmara, to na dokumencie pisanym po łacinie, w którym ofiarowuje swe państwo Stolicy Apostolskiej, powinno ono brzmieć Dagobertus nie zaś dziwacznie Dagome. Historycy niemieccy mają jednak w tej kwestii odmienne zdanie. Gerhard Rhode w artykule ogłoszonym w 1980 roku, zastrzegając się, iż „jest to teza zbyt śmiała i niepotwierdzona", dowodził, że ani skryba w książęcej kancelarii w Gnieźnie, ani kopiariusz sporządzający w 1087 roku odpis omawianego dokumentu nie pomylili się i jako zawodowcy nie mogli tego uczynić. Imię księcia brzmiało rzeczywiście Dagome i było rzeczywiście drugim imieniem Mieszka, którym posługiwał się w kontaktach oficjalnych. Nie było to jednak imię chrześcijańskie, ale germańskie, blisko spokrewnione ze skandynawskim imieniem Dagr. Władca Polan otrzymał je w dniu narodzin i używał aż do chwili, gdy jako książę słowiańskiego ludu przyjął, zgodnie ze zwyczajem, imię zrozumiałe i cenione wśród poddanych. Dokonał tego samego zabiegu

co wikińscy potomkowie Rerika (Ruryka), pierwszego wareskiego władcy Rusi, którzy, we własnym interesie, przekształcili nordyckie imiona na słowiańskie: Ingvar stał się Igorem, Helgi – Olegiem, a Oskold – Askoldem. Tak jak sławna córka Dagoma-Mieszka, znana pod spolszczonym imieniem Świętosławy, żona króla Szwecji Eryka Zwycięskiego, a następnie króla Danii Swena Widłobrodego, matka Kanuta Wielkiego – zdobywcy Anglii, pierwotnie nosiła skandynawskie imię Sygryda lub Storrada. I jest rzeczą mało prawdopodobną, aby, jak tego dowodzono w dotychczasowej historiografii, dumny władca normański wybrał na żonę i matkę swych synów córkę, nawet najwybitniejszego, słowiańskiego królika siedzącego gdzieś w wielkopolskiej głuszy z dala od morskich wybrzeży i wielkich rzek, które wówczas, szczególnie dla Skandynawów, były prawdziwymi arteriami świata. Rhode zwraca również uwagę, iż tylko pozornie jest „osobliwe, że Mieszko pojawia się jako sędzia (*iudex*), bo zarówno w Rzymie, jak i w Bizancjum (gr. *archon*) tytuł ten odnosił się do wysokiego urzędnika pełniącego ważną misję bądź do samodzielnego władcy. Dodatkowo w źródłach bizantyjsko-greckich tytuł *archon* stosowany był w odniesieniu do słowiańskich wodzów plemiennych, na przykład w Bułgarii czy Serbii".

O tym, że skandynawscy wikingowie pozostawali na usługach Bolesława Chrobrego, świadczą także rewelacyjne odkrycia toruńskiego archeologa Wojciecha Chudziaka nieopodal wioski Kałdus na Pomorzu Wschodnim. Kałdus to średniowieczny Culm, wczesnomiejski ośrodek, z którego w XIII wieku wyrosło oddalone o kilka kilometrów Chełmno. W czasach Bolesława Chrobrego w dzisiejszym Kałdusie znajdował się jeden z najważniejszych ośrodków strategicznych i politycznych monarchii wczesnopiastowskiej, położony na skrzyżowaniu dalekosiężnych

szlaków: nadwiślańskiego i rusko-bałtyckiego. Do dziś widomym świadectwem tej rangi jest wyniosłe grodzisko zwane górą Świętego Wawrzyńca położone na skraju rozległej pradoliny Wisły. U stóp grodziska archeolodzy odkryli relikty wczesnoromańskiej bazyliki, najstarszej znanej na Pomorzu chrześcijańskiej świątyni, której budowę rozpoczęto w czasach Bolesława Chrobrego, ale której z powodu wydarzeń politycznych związanych z tak zwaną reakcją pogańską i osłabieniem piastowskiej monarchii w czasach jego syna Mieszka II nigdy nie ukończono. Budowla ta wielkością dorównywała największym świątyniom katedralnym ówczesnej Polski, co również świadczy o znaczeniu najdawniejszego Chełmna w czasach Bolesława, który prawdopodobnie ufundował ją jako świątynię biskupią dla kolejnego po świętym Wojciechu – również zmarłego śmiercią męczeńską podczas wyprawy misyjnej – apostoła pogańskich Prusów i Jaćwingów. Zachowane do wysokości metra kamienne mury bazyliki znane już były archeologom wcześniej, zasługą Chudziaka natomiast są odkrycia na położonym opodal wczesnośredniowiecznym cmentarzysku. Natrafił tam na niezmiernie rzadko spotykane na terenach zachodniosłowiańskich, a powszechne w ówczesnej Skandynawii, szczególnie na terytorium Danii, groby komorowe budowane z długich bierwion łączonych w narożnikach słupami. W dwóch z nich znajdowały się ułożone na plecach, usytuowane wzdłuż osi wschód-zachód szkielety kobiety i mężczyzny. Mimo chrześcijańskiego obrządku zmarłym towarzyszyły liczne dary: ułożone u stóp wielkie brązowe misy, drewniane wiaderka okute ozdobną blachą, noże w zdobionych pochwach, naszyjniki z półszlachetnych kamieni i srebra, trzosy pełne srebrnych monet. Te ostatnie były szczególnie wymowne, gdyż zawierały również niezmiernie rzadkie na naszych ziemiach, znajdujące analogie tylko

pośród znalezisk z nieodległego Truso, monety bite w mennicach władców skandynawskich. Również inne znaleziska – plakietka z brązu przedstawiająca mityczną Walkirię, kamień do gry z poroża z napisem runicznym (podobny pion znaleziono w Drohiczynie), fragmenty kupieckiej wagi – świadczą nie tylko o czasowej, handlowej obecności Skandynawów we wczesnopiastowskim Chełmnie, ale też o ich stałym tam pobycie. Pochowani w grobach komorowych dostojnicy pełnić musieli zapewne ważne funkcje w służbie Bolesława. I choć bez wątpienia wierzyli już w Boga chrześcijan, to jednak nie była im obca również pogańska tradycja ojczysta, której dali wyraz, projektując grobowce i nie sprzeciwiając się darom grobowym, tak pilnie zwalczanym przez kościelną hierarchię. Co ciekawe, kobiety, z którymi ich pogrzebano – żony lub nałożnice – wybrały się podróż w zaświaty z biżuterią zdradzającą ich słowiański rodowód, przypuszczać więc można, że należały do miejscowego, polskiego plemienia. Pochówki komorowe z Chełmna są więc również świadectwem asymilacji skandynawskich przybyszów w słowiańskiej społeczności, najwcześniejszym dowodem jej późniejszej różnorodności.

Proces ten, jeszcze bardziej zagadkowy, ale też powszechny, objawił się archeologom na terenie północnego Mazowsza i Podlasia, szczególnie wzdłuż niebezpiecznej aż do końca XIII wieku granicy mazowiecko-prusko-jaćwieskiej. Na obszarze tym odnaleziono kilkadziesiąt cmentarzysk rzędowych zwanych przez okoliczną ludność żalami, pochodzących z okresu od połowy XI do końca XII wieku, zawierających rozmieszczone w szeregach groby w obudowach kamiennych, czyli wzniesionych z polodowcowych głazów, których na tym terenie występuje obfitość, prostokątnych komór przykrytych kamiennymi brukami. Konstrukcje te w sposób oczywisty nawiązują do skandynawskich

grobowców komorowych. O skandynawskim pochodzeniu i wojennej profesji pogrzebanej tam ludności świadczą przedmioty towarzyszące zmarłym mężczyznom, przede wszystkim wysokiej jakości broń, choć z kolei ozdoby kobiet pogrzebanych na tych cmentarzach, szczególnie kabłączki skroniowe i bursztynowe naszyjniki, są pochodzenia słowiańskiego. Co jednak najciekawsze, zarówno lokalizacja owych cmentarzysk daleko od wsi parafialnych i kościołów, jak i obfitość wspomnianych darów grobowych tak potępianych przez Kościół oraz rzadkość pośród nich krzyżyków i innych chrześcijańskich dewocjonaliów zdają się świadczyć o pogańskim wyznaniu pochowanych tam ludzi. Podobnie działo się na zachód od Wisły, skąd znane są tylko dwa cmentarzyska w obudowach kamiennych – z Lutomierska koło Łodzi i z Końskich. Pogrzebano na nich prawie wyłącznie rosłych, masywnie zbudowanych mężczyzn, członków wikińskiej drużyny polańskiego księcia, których pochowano wraz z ich drogocenną, śmiercionośną bronią pochodzącą ze skandynawskich i nadreńskich wytwórni. Towarzyszyły im też wyroby pochodzące z Rusi (groty włóczni i ozdoby), a nawet należące do stepowych koczowników Syberii (siodła, strzemiona, wędzidła). Autorzy hasła „Lutomiersk" w *Słowniku starożytności słowiańskich* twierdzili w 1967 roku, a więc w czasach, gdy udział skandynawskich wikingów w tworzeniu państwowości polskiej należał do tematów zakazanych, że „mamy tu do czynienia z pochówkami ludności zróżnicowanej klasowo, wśród której ważną rolę odgrywała grupa wojów-drużynników pochodzących zapewne z Rusi Kijowskiej, osadzonej wśród ludności miejscowej i ulegającej z czasem asymilacji".

A przecież już wówczas od dziesięcioleci Polska szczyciła się swym chrześcijaństwem, Bolesław Chrobry nakazywał – jak twierdził Gall

Anonim – wybijać zęby tym, którzy naruszali nakazy postów, a Kościół głosił, że jedynym miejscem godnym złożenia ciała chrześcijanina jest wyłącznie ziemia poświęcona, czyli przykościelny cmentarz, na którym zmarły w spokoju doczeka Sądu Ostatecznego. Skąd więc wzięli się na północnym Mazowszu żyjący jeszcze w XII wieku liczni i zamożni poganie?

Dawniejsi badacze nieprzekonująco starali się ten zadziwiający fakt tłumaczyć znanym w czasach średniowiecza kulturowym zapóźnieniem Mazowsza w stosunku do innych dzielnic Polski. Twierdzili, że na obficie zalesionych, odległych od cywilizacyjnych centrów, zagrożonych niszczycielskimi najazdami Prusów ziemiach najdłużej przetrwały tradycyjne wspólnoty plemienne z ich pogańskimi rytuałami. Nowsze odkrycia archeologiczne oraz interpretacje historyczne pozbawione ideologicznego skrępowania pozwalają na nakreślenie całkowicie innego i bardziej prawdopodobnego obrazu. Przyjąć można, że ludzie, którzy pozostawili po sobie cmentarzyska z grobami w obstawach kamiennych, byli skandynawskimi wikingami, najemnikami wynajętymi w zamian za prawo do ziemi do obrony niespokojnej północnej granicy państwa Piastów. Przypuszczać można, że ich pierwsze oddziały przybyły do Polski w drużynie kijowskiego księcia Jarosława Mądrego spieszącego w 1047 roku – jak donoszą kronikarze polscy i ruscy – na pomoc szwagrowi, polskiemu księciu Kazimierzowi, nazwanemu później Odnowicielem z racji tego, że poskromił bunt mazowieckiego możnowładcy Masława i odbudował władztwo Piastów. Kazimierz potrafił docenić wojskową wartość zaciężnych Skandynawów, którzy też mogli być zadowoleni, gdyż tereny, które im przeznaczył, prawie nie różniły się pod względem krajobrazu od ich ojczystych ziem. Pozostali tam na wieki, biorąc za żony miejscowe słowiańskie kobiety i bałtyckie

branki, wtapiając się, podlegając asymilacji, ale też wytwarzając jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną kulturę i religię o charakterze wybitnie synkretycznym. Łączyły się w niej zarówno wyobrażenia słowiańskiego i skandynawskiego pogaństwa, jak i świeżo nabywanego chrześcijaństwa. Brak trumien, broń i ozdoby w grobach, lokalizacja cmentarzy z dala od kościołów były świadectwem pierwszego, srebrne i bursztynowe krzyżyki na piersiach zmarłych, a w jednym przypadku (na cmentarzysku w Grzebsku) kostur pielgrzyma oraz srebrne okucie pielgrzymiej torby, wskazują na drugie. I jest zadziwiającym meandrem historii, że to właśnie od tych odległych praprzodków wywodzi się szczególnie liczna w ostatnich wiekach epoki staropolskiej zaściankowa szlachta mazowiecka znana ze swej bitności i zadziorności, ale też z głębokiej, niekiedy wręcz fanatycznej – jak zauważali to obcoplemienni obserwatorzy – wiary chrześcijańskiej. Skandynawscy najemnicy, choć podlegali asymilacji, najdłużej jednak przestrzegali zwyczajów świadczących o rodowej tożsamości, wśród których obrządek pogrzebowy należał do najbardziej konserwatywnych. Do grobów mężczyźni kazali wkładać sobie dzielnie służące im za życia, niezawodne, śmiercionośne miecze i włócznie, a kobiety brązowe misy, takie jak ta odkryta w Pokrzywnicy Wielkiej koło Mławy; naczynia zdobione według zasad ornamentyki i symboliki skandynawskiej, mające bez wątpienia jakąś – dziś nieznaną – funkcję rytualną. Na Mazowszu Północnym znalezisko tego rodzaju znane jest z datowanego na wiek XII cmentarzyska w Pieńkach Grodzisku, wsi położonej w pobliżu Biebrzy, będącej w średniowieczu rzeką graniczną oddzielającą Mazowsze od Jaćwieży. Położone tam grodzisko, powstałe w połowie XI wieku, stanowiło jedną z ważniejszych warowni tego pogranicza. Najwięcej brązowych mis romańskich,

obok wydobytych z mułu Jeziora Lednickiego (o czym mowa później), na terenie obecnej Polski znaleziono na polskim Pomorzu. Poza granicami wielkie ich zbiorowisko odnaleziono na półwyspie Sambia, szczególnie na wikińskim cmentarzysku we wsi Wiskiauten. Ze względu na bogactwo złóż bursztynu obszar ten kolonizowany był szczególnie przez Duńczyków, którzy już w XI wieku mieli na Sambii stałe nadmorskie osady i rozwijali ożywiony handel z miejscową ludnością staropruską. Kronikarz Sakso Gramatyk w *Dziejach Duńczyków* (*Gesta Danorum*) pisał nawet o podboju tego obszaru przez duńskiego władcę Kanuta Wielkiego około 1019 roku. Jeszcze wcześniej zaś Ibrahim ibn Jakub donosił, że na sąsiadujące z państwem Mieszka plemię Burus (Prusów) „napadają na swych okrętach Rusowie przybywający z zachodu". Archeolodzy odnajdują na terenie obecnych Mazur, dawnej krainy Prusów, świadectwa obecności Skandynawów (np. na grodzisku w Czarnym Lesie koło Mrągowa), obok broni są to również pogańskie talizmany, miniaturowe wyobrażenia młota Thora, naczelnego boga w skandynawskim panteonie. I nie była to zapewne obecność sporadyczna, skoro jeszcze w XIII wieku król Danii Waldemar II (1202–1241) na tej podstawie zgłaszał pretensje do podbijanych właśnie przez zakon krzyżacki ziem pogańskich Prusów.

WYSPA ŁOWCÓW NIEWOLNIKÓW

Skandynawski impuls w procesie formowania pierwszej państwowości Polaków budził i nadal budzi protesty strażników narodowej godności. Bo jakże to? Polskę mieliby stworzyć jacyś wikingowie, kupcy i piraci? To przecież niemożliwe i krzywdzące, skoro już najdawniejszy nasz dziejopis, Gall, przytoczył całą listę przodków Mieszka noszących tak jak on imiona nad wyraz słowiańskie!

A jednak już w 1876 roku krakowski historyk Karol Szajnocha w szkicu *Lechicki początek Polski* taką właśnie wysnuł teorię. Oparł ją jedynie na dociekaniach historycznych oraz analizach językowych i mitologicznych. Rozważania rozpoczął zaś w dobrze już znanym, zapoczątkowanym przez Surowieckiego stylu: „Żadnego narodu historya nie zaczyna się tak nieskończenie ważną zagadką, jak początkowa historya polska, poczynając od swoich Lachów. Komu się powiedzie wyjaśnić znaczenie Lachów, ten wyjaśni pierwotną historyę polską. Tylko historya rosyjska mozoliła się podobnież długo nad wyrozumieniem swoich Waregów, aż wreszcie poznano

w nich Normanów (wkrótce, bo już na początku XX wieku, z powodów nacjonalistycznych, pogląd ten odrzucono – Z.S.). Normańscy Waregowie byli łatwiejsi do odgadnienia, gdyż osiedli w dość późnych czasach u Słowian – o wiele wcześniejsi Lachowie osłaniają się tem większą tajemnicą, im dawniejszem było ich przyjście".

Według Szajnochy twórcami pierwszego ośrodka politycznego na naszych ziemiach utworzonego we wschodniej Wielkopolsce, nad Gopłem i Lednicą, byli normańscy wygnańcy, Skandynawowie skazani w rodzinnym kraju na banicję i szukający nowej ojczyzny. Być może – dopowiedzmy – byli to uciekinierzy z pomorskiego Truso zniszczonego przez ekspedycję ich pobratymców z wolińskiego Jomsborga. „Nazywał się tedy banita – dowodził krakowski historyk – *utlag* – inaczej *ut-lach*, co było dalszym pochodnikiem od słowa *lach* (*lag*) w znaczeniu prawo i znaczyło tyle, co *exlex* – człowiek wywołany spod prawa, w dzisiejszym języku angielskim: *outlaw*, a będąc mało co odmiennym powtórzeniem wyrazu lach, spłynął się nieznacznie z tym słowem, w którem przeto zawierał się najprzód *lach* ogólny, czyli towarzysz, a następnie *ut-lach* banita". Lachowie zaś, czyli normańscy towarzysze-banici, to według Szajnochy znani z kroniki Galla Leszkowie, Lestkowie i w ogóle Lechici panujący w Wielkopolsce przed Piastami. Ostatnim z lechickiej dynastii był zaś król Popiel, którego według legendy zjadły myszy.

Wydarzenie to zdaniem Szajnochy rozumieć należy jako zakamuflowaną w micie opowieść o zemście rodowej wikingów oburzonych zbrodnią dokonaną przez Popiela. Oto bowiem „krewni otrutych stryjów, liczni z lechicko-bałtyckich miast mysingowie, czyli myszaki, to jest korsarze normańscy, według późniejszej tradycji – myszy, spieszą skandynawskim zwyczajem pomścić

zabitych. Opadnięty od mysingów ucieka Popiel na jezioro Gopło i ginie tam w sławnej wieży ostatni lechickiego rodu król polski". Po tej sromotnej śmierci ostatniego Lechity władzę w Polsce przejęli przedstawiciele nowej, również skandynawskiej dynastii – Piastowie. Zgodnie z wikińską strategią najpierw musieli zadbać o bezpieczeństwo w nowej, podbitej dopiero domenie. I tak, jak nakazywał rozsądek, wybrali miejsce najbardziej ku temu dogodne. Porzucili Gopło, gdzie nazbyt świeża była pamięć niedawnej zbrodni, i założyli bazę w miejscu najbardziej ku temu odpowiednim, na trudno dostępnej wyspie położonej na nieodległym Jeziorze Lednickim. Niezrównanym żeglarzom i morskim wojownikom nikt nie mógł tam zagrozić. Oni zaś pełni mocy i pasji właśnie z tego miejsca, z lednickiego ostrowu, rozpoczęli budowę nowego państwa, które rychło stać miało się regionalną potęgą i przejść do historii jako kraj Polan – Polonia, czyli Polska.

Początki owej piastowskiej władzy były skromne. Normanów w ziemi Słowian najpierw interesowało tylko jedno, handlowy zysk, a ten zapewniali tylko niewolnicy. Dlatego w ten sam sposób jak kilkaset lat później Portugalczycy w Afryce czy w Brazylii Skandynawowie traktowali Lednicę jako kupiecką faktorię, z której mogli wyruszać w głąb dzikiego lądu na polowania na ludzi. Szybko też – tak jak odkryli to portugalscy czy hiszpańscy kupcy – znaleźli miejscowych pośredników, lokalnych handlarzy niewolników, plemiennych wodzów, od których odkupywali członków ich rodu, zadłużonych lub skazanych na wygnanie. Ludzie ci przewożeni w odległe okolice, głównie do najzamożniejszych wówczas krajów arabskich, od Hiszpanii po Afrykę Północną i Azję Środkową, byli źródłem ogromnych zysków, które zachęcały Normanów do pozostawania w słowiańskiej domenie,

a równocześnie wzmacniały ich potęgę finansową, militarną i polityczną.

O tym, że Ostrów Lednicki był w czasach pierwszych Piastów miejscem szczególnie ważnym, świadczą nie tylko powszechnie znane informacje kronikarskie opisujące między innymi uroczyste i pełne przepychu spotkanie właśnie w tym miejscu w 1000 roku Bolesława Chrobrego i cesarza niemieckiego Ottona 111. O jego niezwykłości i archaiczności zaświadczają również odkrycia archeologiczne zapoczątkowane przed półtora wiekiem przez badaczy polskich i niemieckich i kontynuowane do chwili obecnej. Szczególnie owocne okazały się rozpoczęte z inicjatywy Jerzego Łomnickiego podwodne penetracje wód jeziora otaczającego Ostrów Lednicki, w wyniku których odnaleziono pozostałości mostów: zachodniego prowadzącego w kierunku Poznania i wschodniego – gnieźnieńskiego, oraz rozrzuconych w ich pobliżu około trzystu sztuk broni: mieczy, grotów włóczni, toporów, hełmów, ostróg, wędzideł, strzemion, bojowych noży – tak zwanych koserów, nawet fragmenty drucianej kolczugi. Jest to największa tego rodzaju kolekcja militariów odkryta na terenie Europy Środkowej. Do wody jeziora dostały się również brązowe misy stanowiące część pałacowej zastawy, z których być może – jak kwieciście opisał to Gall Anonim – spożywali potrawy sami dostojni władcy goszczący tu w marcu 1000 roku. Zarówno broń, jak i drogocenna zastawa trafiły do wód Świętego Jeziora nie przez przypadek ani też w wyniku wojennej pożogi. Były to najcenniejsze dary, które śmiertelni mogli ofiarować swym bogom. Długo sądzono – szczególnie w czasach PRL, gdy ponad wszystko ceniono rodzimy dorobek – że byli to Słowianie, poddani księcia. Dopiero odkrycia archeologiczne ostatnich lat, a także zniesienie cenzury broniącej czystego ideału chłopskiego, patriotycznego Piasta,

założyciela robotniczo-chłopskiej Polski, pozwoliły na zmianę perspektywy. Okazało się, że w okolicy prapolskiej kolebki, wokół politycznego centrum państwa pierwszych Piastów występują liczne ślady obecności zbrojnych Skandynawów, wikińskich Normanów. Największą ich obfitość stwierdzono na cmentarzyskach w okolicach Gniezna i Lednicy oraz w wodach Jeziora Lednickiego. Wystawa tych zabytków zorganizowana w 2004 roku, prezentowana między innymi w Muzeum Archeologicznym w Warszawie, imponuje jakością prezentowanych przedmiotów. Druciane kolczugi, najstarsze tego rodzaju znaleziska na naszych ziemiach, żelazne hełmy z nosalami, miecze z nadreńskich wytwórni, strzemiona i wędzidła, w szczególności zaś osiągające pół metra długości groty włóczni, mordercze i przenikliwe. Wszystko jakże odmienne od militariów znajdowanych na innych cmentarzyskach tego okresu na naszych ziemiach, większe, masywniejsze, doskonalsze, przeznaczone dla ludzi większych niż ówczesna przeciętna, mogących uchodzić za olbrzymów. Prawdziwy morderczy arsenał doborowego wojska, legii cudzoziemskiej, armii, z pomocą której pierwszy historyczny władca Polski, jej jednoczyciel i ojciec chrzestny, podbijał i utrzymywał w posłuchu plemiennych wodzów podbijanych ziem.

Tak wielkie nagromadzenie drogocennej, importowanej broni wokół Lednicy wymownie koresponduje z odkryciem fundamentów drewnianego kościoła, w obrębie których autor tych prac, niemiecki archeolog Mazanetz, w 1944 roku odnalazł wczesnośredniowieczny grobowiec w kamiennej obudowie i uznał go za grób skandynawskiego wikinga. Podczas późniejszych prac we wschodniej części tych ruin, w bocznej kaplicy, odkryto wymurowane zagłębienie w formie półkrzyża, uznano je za basen chrzcielny, czyli baptysterium, w którym – przez zanurzenie, zgodnie

z antycznym, utrzymującym się do schyłku X wieku zwyczajem – poddani Mieszka I i zapewne on sam ze swym dworem przyjmowali chrzest. Drewniany kościółek, w którym znajdowały się wspomniane obiekty, spalony został podczas najazdu na Polskę czeskiego księcia Brzetysława w 1039 roku. Świadczy o tym gruba warstwa spalenizny pokrywająca szczątki budowli. Jej zawartość okazała się prawdziwym archeologicznym skarbcem. Odnaleziono w niej bowiem resztki rytualnego wyposażenia świątyni: pozłacany pektorał (krzyż biskupi noszony na piersi), pozłacane okucie księgi liturgicznej (najstarszy „literacki" zabytek na naszych ziemiach), krążek z napisem w alfabecie greckim, relikwiarz (tak zwane stauroteka) zawierający drzazgę z drzewa świętego, na którym ukrzyżowany został Chrystus, rytualny grzebień z kości słoniowej, którym biskup rozczesywał włosy przed przystąpieniem do nabożeństwa. Do wyjątkowych znalezisk pochodzących również z warstwy pożarowej należy złota zawieszka normańska będąca zapewne nie tylko luksusową ozdobą, ale insygnium władzy wojskowego oficera lub dostojnika dworskiego.

Profesor Klementyna Żurowska badająca pozostałości kościoła na Ostrowie Lednickim w latach osiemdziesiątych XX wieku odkryła w ich obrębie jeszcze jedno baptysterium i uznała całą budowlę za najstarszą świątynię chrześcijańską na terenie Wielkopolski, starszą od katedr w Gnieźnie i Poznaniu. Stwierdziła, że właśnie w niej książę Mieszko I, prowadzony przez przybyłego z Czech wraz z Dąbrówką biskupa misyjnego Jordana, przyjmował chrzest, a z nim wojowie, drużynnicy i cały wierny poddany lud Polan. Potwierdzać może to również wykonana niedawno analiza dendrochronologiczna pni, z których wybudowano wspomniane mosty. Drzewa te ścięto zimą na przełomie lat 963 i 964, wtedy też zapewne, bezpośrednio dla potrzeb nowej wiary, zaczęto wznosić

kościół z baptysteriami. Potwierdzono też, że militaria tworzące największą na środkowej Słowiańszczyźnie kolekcję broni są w większości pochodzenia skandynawskiego lub nadreńskiego, często zdobione w ulubionym przez wikingów stylu roślinnym, zaś przedmioty liturgiczne bez wyjątku pochodzą z kręgu cywilizacji bizantyjskiej. Obydwa odkrycia, w świetle dotychczasowych poglądów, są zaskakujące. Wszak piastowską drużynę tworzyć mieli polańscy wojowie lubujący się w rodzimej kulturze, zaś chrześcijaństwo przybyło przecież do Polski nie z Konstantynopola, ale z Rzymu i z tamtej też strefy kulturowej należało oczekiwać importu liturgicznych przedmiotów.

To jednak nie koniec zagadek. Kiedy książę Polan Mieszko I zmarł 25 maja 992 roku, w rocznikach Kościoła niemieckiego odnotowano – *obiit Misica rex Vandalorum* (zmarł Mieszko król Wandalów). Czym kierował się autor tego zapisu, jaką posiadał wiedzę o rodowodzie polańskiego księcia, czy kierował się tylko tak modną w owym czasie manierą doszukiwania się jak najbardziej starożytnych paranteli w rodowodach władców? I czym kierował się twórca komemoratywnego napisu na niezachowanym nagrobku Mieszkowego syna Bolesława zwanego Chrobrym, który nazwał owego władcę *rex Gothorum et Polonorum* (królem Gotów i Polaków)? Czy owi średniowieczni erudyci wiedzieli, że już w 455 roku król Wandalów Genezeryk po złupieniu Rzymu, czym zapoczątkował karierę „wandalizmu", wysłał do swych pobratymców żyjących nadal w puszczach Germanii, a więc na obszarze Polski, zdobytą chorągiew cesarską z orłem. Tym samym orłem, który pojawi się na pierwszych monetach bitych przez Piastów i do dziś stanowi godło państwa polskiego. Jak można wytłumaczyć owe archeologiczne i kronikarskie zagadki? O czym świadczą: największa w środkowej Europie kolekcja

straszliwej broni, przewyższającej jakością każdą inną tamtych czasów, znalezionej w Jeziorze Lednickim i w jego okolicach; współczesne z nią cmentarzysko w Łubowie, gdzie zmarli otrzymali w zaświatową podróż również skandynawską broń, ozdoby i mosiężne misy; a także pochodzące z Bizancjum liturgiczne wyposażenie pierwszego misyjnego kościółka na Ostrowie i wreszcie domniemane normańskie imię pierwszego historycznego władcy Polan?

Czy przesłanki te nie sugerują, że Ostrów Lednicki był początkowo obronną siedzibą wikińskiego oddziału, który na zaproszenie lokalnego przywódcy plemiennego, a być może też we własnym dobrze skalkulowanym interesie, przybył w te okolice, możliwe że z niedalekiego Truso, wietrząc łatwe i znaczące zyski? Można nawet przyjąć, że najpierw, na początku X wieku, przybysze zajmowali się przede wszystkim wyprawami w celu zdobycia niewolników będących najcenniejszym i przynoszącym największe zyski towarem eksportowym tych ziem. Później zapewne nawiązali kontakty handlowe z miejscowymi najbardziej przedsiębiorczymi wodzami drużyn i razem z nimi urządzali zyskowne eskapady lub odkupywali jeńców, których wywozili na odległe, najczęściej arabskie rynki. Z czasem też, gdy umocnili się w nowej domenie, zapragnęli objąć w niej władzę, co nie było trudne, gdyż podobnie jak na Rusi słowiańscy mieszkańcy tych ziem dzielili się na liczne i niewielkie rody i terytorialne wspólnoty, często ze sobą skłócone, dumne ze swej niezależności. Będąc zawodowymi żołnierzami i dysponując doskonalszą, budzącą postrach bronią, skandynawscy przybysze dokonali podboju okolicznych ziem, czyniąc pierwszy krok do powstania Polski.

Ich władcą został Dago, który przybrał słowiańskie imię Mieszko, bo od początku budowania organizacji państwowej

Skandynawowie zabiegali o wciągnięcie do współpracy jak największej liczby przywódców lokalnych. Przede wszystkim dlatego, że było ich zbyt mało, aby stworzyć armię zdolną do kontrolowania rozległego obszaru, a tym bardziej do podboju ziem sąsiednich. Również dlatego, że przybywali bez własnych kobiet i brali żony miejscowe, szybko też asymilowali się z miejscową ludnością, przyjmowali jej język i niektóre obyczaje, również imiona. Podobnie więc jak na Rusi, gdzie wnuk Ruryka nosił już całkowicie słowiańskie imię Światosław, tak i w kraju Polan Dago stał się Mieszkiem, a jego pierworodny syn otrzymał słowiańskie imię – Bolesław. Jakie imię nosił jego dziad, nie wiadomo, być może tak jak donosił Gall Anonim zwał się Siemiomysł, a może Lach, czyli Leszek – normański rozbójnik i prawdziwy założyciel państwa Polan utrwalony w heraldycznej legendzie o Czechu, Lachu i Rusie.

Wiemy natomiast, że to Dago-Mieszko stał się prawdziwym twórcą Polski. Przy pomocy swej wikińskiej drużyny, którą w realiach dzisiejszego pola walki przyrównać można do brygady pancernej, systematycznie ogniem i żelazem podbijał i przyłączał do swego państwa kolejne domeny, wprowadzając tam własne porządki. Przede wszystkim utwierdzał swą władzę, niszczył grody rodów i wspólnot, a równocześnie wznosił większe i bardziej nowoczesne od tamtych twierdze, ośrodki państwowej administracji służące również do magazynowania wielkich rzesz jeńców, których sprzedaż za granicę nadal dostarczała wielkich funduszów umożliwiających wyżywienie i wyposażenie armii zdolnej podbijać i utrzymywać w posłuszeństwie zdobyte terytoria. Najpóźniej, bo tuż przed śmiercią, do polańskiego państwa włączył Małopolskę i Śląsk – odebrane Czechom około roku 990. W tym czasie Lednica dawno już przestała być faktorią łowców i handlarzy niewolników,

bazą skandynawskiego desantu rzuconego w słowiański interior. Przekształciła się w główny ośrodek administracyjny, a rychło też, po przyjęciu chrześcijaństwa, w centrum religijne tworzonego wspólnie przez Skandynawów i Słowian państwa Polan, czyli Lechitów albo Wenedów, jak nazywali Słowian Niemcy i Skandynawowie, czerpiąc tę nazwę od najstarszego, wymienionego przez Prokopiusza nazwania Słowian. Pośrednio tę przemianę potwierdzają znaleziska tak zwanych skarbów, czyli zbiorów srebrnych ozdób i monet deponowanych w ziemi. Otóż o ile depozyty te datowane na IX i X wiek składały się prawie wyłącznie z monet arabskich, o tyle pod koniec X wieku następuje nagła i drastyczna przemiana. Ze skarbów znajdowanych na naszych ziemiach całkowicie znikają dirhemy, a dominować zaczynają monety zachodnioeuropejskie.

A skąd wzięły się owe bizantyjskie zabytki w warstwie pogorzeliska będącego pozostałością po najstarszym drewnianym kościółku Ostrowa Lednickiego spalonego przez czeskiego Brzetysława? Gerard Labuda uważa, że przywiozła je ze swoim uposażeniem Przedsława, siostra Jarosława Mądrego, którą Bolesław Chrobry uwiózł siłą do Polski w 1018 roku podczas sławnej kijowskiej wyprawy i uczynił jedną z żon, spośród których pierwszą i najważniejszą była Niemka Oda. Przedsława, córka Włodzimierza Wielkiego, była chrześcijanką obrządku greckiego, jako że Ruś schrystianizowali misjonarze z Konstantynopola, i podlegała władzy kościelnej tamtejszego patriarchy. Mając za konkurentkę Odę i przestrzegając odmiennego obrządku kościelnego, ruska księżniczka – zdaniem Labudy – wolała usunąć się w cień, uprosiła męża, aby umieścił ją wraz z dworem na popadającym już wówczas w zapomnienie, po przeniesieniu państwowych stolic do Gniezna i Krakowa, Ostrowie Lednickim.

W dawnym kościółku misyjnym urządzono cerkiew, a w rozszerzonym i przebudowanym palatium powstała jej rezydencja. Czy tak było naprawdę? Nie wiadomo. Mogło być również i tak, że przedmioty liturgiczne obrządku greckiego przywieźli o wiele wcześniej sami wikingowie podróżujący szlakiem od Waregów do Greków i przez skandynawską Birkę lub Gotlandię, a może i Truso, dotarły one nad Lednicę. Choć wówczas jeszcze pogańscy, wikingowie interesowali się innymi wyznaniami, byli w tym zakresie liberalni, często przejmowali niektóre idee i obrzędy, tworząc zaskakujące, synkretyczne mieszanki.

Takie dość niespodziewane praźródło Polski ujawniają najnowsze odkrycia archeologów i historyków. Należy też z naciskiem podkreślić, że ów znaczący udział przedsiębiorczych wikingów w budowaniu polskiej państwowości nie oznaczał równocześnie i bezpośrednio, że był to wyłącznie udział przybyszów ze Skandynawii. Dzisiejsi historycy są bowiem zgodni, że bycie wikingiem oznaczało profesję, określone zajęcie, nie zaś prostą przynależność etniczną. I o ile jeszcze w VIII i IX wieku pośród wyruszających „na wiking" kupców, osadników i rozbójników dominowali Skandynawowie, w wiekach późniejszych zajęciom tym z równym zapałem oddawali się również przedstawiciele innych nacji, w tym przede wszystkim Słowianie. W XI i XII wieku to oni wręcz dominowali na Bałtyku, gdzie siali postrach swymi łupieskimi wyprawami skierowanymi najczęściej przeciwko Danii i południowej Norwegii oraz Szwecji. Przypuszczać więc można, że w zastępach wikingów tworzących gwardię Dagona-Mieszka wielu było wojów słowiańskiego pochodzenia, którzy w szeregi rozbójniczych bractw wstąpili w wikińskich faktoriach takich jak Wolin czy Truso, założonych na terenach zamieszkiwanych przez Słowian. Gdy znaleźli się w Gnieźnie, Poznaniu czy na Lednicy, tym

łatwiej było im żyć pośród słowiańskiego żywiołu i szerzyć cywilizacyjne idee, które choć okrutne i bezwzględne były ideami zapewniającymi moc i sukces w świecie, w którym nie każdemu dane było istnieć, a tym bardziej przetrwać.

JAK MOGŁO NAS NIE BYĆ

Świadectwem jednego z takich niezwykłych związków mogą być badania rozkładu grobów oraz pomiary antropologiczne znajdowanych w nich kości na pochodzącym z X wieku cmentarzysku Świętojakubskim w Sandomierzu. Otóż dzięki wysiłkom Teresy i Henryka Rysiewskich udało się ustalić rzecz wyjątkowo rzadką. Stwierdzili mianowicie, że cmentarzysko użytkowane było przez dwie odmienne pod względem budowy anatomicznej grupy mężczyzn i towarzyszących im kobiet. Każda z grup użytkowała odrębną część cmentarza, każda też zawierała związki małżeńskie według skrupulatnie przestrzeganych zasad. Mężczyźni pochowani w części północnej odróżniali się szczególnie wyraźnie, zarówno wzrostem, jak i budową czaszek, od wszystkich innych ludzi, których kości spoczywały na cmentarzysku. Byli więc na tej ziemi przybyszami z zewnątrz, w żaden sposób niespokrewnionymi z jej rodzimymi mieszkańcami. Równocześnie antropolodzy zaobserwowali ich anatomiczne pokrewieństwo

z mężczyznami pogrzebanymi wówczas na niektórych cmentarzyskach z terenu Wielkopolski. Co ciekawe jednak, pogrzebane obok nich kobiety, ich żony, były blisko spokrewnione z mężczyznami spoczywającymi w części południowej cmentarzyska i uznawanymi za przedstawicieli ludności miejscowej. Jak piszą autorzy badań: „Wynik analizy wskazuje na niezwykłe podobieństwo morfologiczne tych kobiet do mężczyzn ze skupiska południowego, co sugeruje, że mężczyźni ci to ich ojcowie i bracia". Równocześnie jednak zauważono, na tej samej podstawie, że córki mężczyzn pochowanych w części północnej wychodziły za mąż za mężczyzn pochowanych w części południowej. „Zapewne więc – czytamy – tak jak mężczyźni z cmentarzyska południowego brali za żony kobiety z zewnątrz, tak i na zewnątrz oddawano dziewczęta, których rodzice spoczywają na cmentarzysku północnym. Mamy tu zatem prawdopodobnie do czynienia jakby z ogniwem łańcucha kołowej wymiany małżeńskiej kobiet". Co mogło być przyczyną tak skomplikowanego układu społecznego?

Biorąc pod uwagę również większą zamożność grobowego wyposażenia pochówków z części północnej nekropolii i wnioskując na tej podstawie o wyższej społecznej randze pogrzebanych tam mężczyzn, badacze sugerują, że byli oni członkami wysłanej do Sandomierza, tuż po podboju Małopolski przez Wielkopolan, cudzoziemskiej drużyny mającej utrzymać władzę na tym obszarze oraz tłumić wszelkie próby oporu. Świadczące o gwałtownej śmierci szkielety kilku mężczyzn pochowanych na południowej nekropolii wskazują, że, pomimo powinowactwa, stosunki pomiędzy tubylcami i przybyszami nie zawsze układały się pokojowo. Zaś na własny użytek, przed czym powstrzymują się pełni naukowej ostrożności autorzy, dodać należy, że dzięki ich subtelnej analizie i przenikliwości w sposób prawie

cudowny otworzył się przed nami fragment tamtej, oddalonej o tysiąclecie rzeczywistości, spoza martwych archeologicznych struktur i zetlałych kości ujrzeć mogliśmy, jak w konwulsjach podbojów, obalania plemiennych bogów, rozbijania rodowych struktur, rodziła się Polska stapiająca w jeden naród te wszystkie – również normańskie – różnorodności. Bo w końcu i w Sandomierzu po kilku pokoleniach przybysze i tubylcy stopili się w jedną społeczność złączoną wspólnotą krwi, zamieszkania i losu. A w ten sam sposób – przypuścić można – kształtowały się wówczas zręby całego polskiego narodu.

Powstanie Polski bowiem wcale nie było wpisane w nieuchronny proces dziejów. Wręcz przeciwnie, jest prawie pewne, że gdyby nie ambitne, wsparte mocą wikińskiej drużyny, wysiłki Mieszka-Dagoberta zmierzające do stworzenia państwa zdolnego do podboju sąsiednich plemion, Polonia nigdy by nie zaistniała na mapie Europy, a jej ziemie zostałyby włączone do innych organizmów państwowych. Mamy więc za co dziękować bitnym i ambitnym przybyszom z północy, żądnym zysków z handlu niewolnikami, ale też mądrze budującym swe domeny przy współpracy z miejscowymi, słowiańskimi elitami, szybko się z nimi jednocząc w języku i krwi. Mieszkowi i jego współpracownikom zawdzięczamy stworzenie pierwszego polskiego państwa i włączenie go do europejskiej wspólnoty na prawach – jak wykazały to rządy Bolesława Chrobrego – równych największym jej ówczesnym potęgom. Był to proces bolesny, okupiony strumieniami krwi i krzywdą rodowej starszyzny, plemiennych bogów i ich kapłanów, ale jedyny w tamtych czasach gwarantujący państwową niezależność.

To, jaki los mógłby czekać plemiona żyjące nad Odrą i Wisłą, gdyby nadal broniły swej plemiennej odrębności i trwały przy

wierze w pogańskich bogów, pokazuje przykład Słowiańszczyzny połabskiej, wielkiej słowiańskiej domeny rozciągającej się pomiędzy Odrą i Łabą, najdłużej wzbraniającej się przed przyjęciem chrześcijaństwa i wzorów zachodnioeuropejskiej cywilizacji, najwytrwalej broniącej plemiennych odrębności i tradycji.

„Był to kraj – jak pisał we wstępie do *Kroniki Słowian* Helmolda Jerzy Strzelczyk – wielce osobliwy. W Europie, niemal w całości opanowanej od wieków przez feudalny porządek społeczny, raził prymitywizmem. W Europie przepojonej wiarą chrześcijańską, często gorliwej i nietolerancyjnej gorliwością neofity, Połabszczyzna była jedną z zanikających wysepek pogaństwa, tak bardzo zrośniętego z rodowym i plemiennym ustrojem społecznym i politycznym". Dzieliła się też – co było anachronizmem w epoce scentralizowanych monarchii feudalnych – na dziesiątki niezależnych, niekiedy liczących zaledwie kilka tysięcy ludzi, plemion, po których do dziś pozostały jedynie egzotyczne, bliskie naszemu słowiańskiemu sercu, nazwy: Wagrowie, Glinianie, Chyżanie, Czrezpienianie, Dołężanie, Drzewianie, Moraczanie, Głomacze, Milczanie, Doleńcy, Smolanie, Byteńcy, Linianie, Lipianie, Hobolanie, Tolężanie. Pomimo ich ofiarności i aktów bohaterstwa dwa stulecia później nie było już wątpliwości, że często skłócona, trudna do zarządzania plemienna wspólnota, wyznająca własnych pogańskich bogów, skazana jest na zagładę. Dziś, z wyjątkiem garstki Łużyczan, nie ma śladu po Połabianach.

Choć Połabianie przybyli najpóźniej, bo dopiero w VII wieku, z Czech i środkowego Nadodrza (a także z odległej Rusi; na co wskazuje bliskie pokrewieństwo wschodnich Drewlan i zachodnich Drzewian) do swych włości i najwcześniej odczuli militarne zagrożenie ze strony państwa karolińskiego i jego spadkobierców, okazali się ludem najbardziej konserwatywnym,

najzacieklej broniącym starosłowiańskich bogów i archaicznych instytucji społecznych. Popełniali te same błędy, które kilkaset lat później doprowadziły do upadku najpotężniejsze państwo Słowian ery przedindustrialnej – Rzeczpospolitą Obojga Narodów. W epoce silnych, despotycznych monarchii i prowadzonych żelazną ręką armii wiecowa demokracja ujawniała swą groźną słabość i brak politycznej wyobraźni. Obserwując jej działanie u Wieletów, jednego z najpotężniejszych plemion połabskich, Thietmar zanotował: „Swoje ważne sprawy rozstrzygają na zgromadzeniu w drodze wspólnej narady i, aby przywieść jakąś sprawę do skutku, muszą wszyscy wyrazić zgodę. Jeśli jakiś tubylec sprzeciwia się na zgromadzeniu już powziętym decyzjom, okładają go kijami, a jeśli stawia jawny opór poza zgromadzeniem, wówczas albo pozbawiają go majątku, konfiskując go w całości lub podpalając". Podobnie starano się czynić w XVII i XVIII wieku z polskimi posłami zgłaszającymi na sejmie walnym w Warszawie liberum veto, dla których jedynym ratunkiem była szybka ucieczka za Wisłę i jeszcze dalej. Gdy się powiodła, z powodu jednego posła sejm uznawany był za zerwany i nie mógł podjąć żadnej prawnej uchwały. Dodatkowo jeszcze Słowiańszczyzna połabska dzieliła się na wiele, często ze sobą skłóconych i zażarcie zwalczających się plemion, które nigdy nie potrafiły zawierać i dotrzymywać sojuszy w obliczu wielkiego zagrożenia.

A zagrożenie było śmiertelne, gdyż, szczególnie za panowania Mieszka, Polska i Niemcy, nie mając jeszcze żadnych powodów do rywalizacji, we wspólnym, dobrze pojętym interesie z dwóch stron napierały na Połabian. Umieszczeni pomiędzy młotem a kowadłem bronili się rozpaczliwie, coraz większą nienawiścią pałając do chrześcijańskiej wiary najeźdźców, szczególnie dręcząc własnych współbraci, którzy stali się jej wyznawcami. Jak donosi

Helmold w roku 1019 pogańscy Obodryci po schwytaniu sześćdziesięciu chrześcijańskich kapłanów poddali ich następującym torturom: „Po rozcięciu mieczem skóry na głowie w kształcie krzyża obnażono każdemu mózg. Następnie ze związanymi z tyłu rękoma wleczono wyznawców Boga po miastach słowiańskich, póki nie pomarli". Podobne wydarzenia miały miejsce w 1066 roku, kiedy po śmierci księcia saskiego Bernarda Słowianie zbuntowali się, zabijając swych przywódców wyznających lub sprzyjających chrześcijaństwu, niektórych mordując w wyrafinowany sposób, tak jak ich biskupa Jana. „Za wyznawanie Chrystusa bito go rózgami, następnie wodzono przez wiele miast słowiańskich na pośmiewisko, a gdy nie dało oderwać się go od imienia Chrystusa, odrąbano mu ręce i nogi, wreszcie ciało jego porzucono na ulicy. Odciętą głowę poganie wbili na dzidę i na znak zwycięstwa ofiarowali swemu bogu, Radogostowi. Działo się to w stolicy Słowian, Retrze".

Gotszalk przypominał Mieszka I, księcia Polan, i jak on był rzeczywistym założycielem państwa Obodrytów, jednego z najsilniejszych plemion połabskich. On też podjął ambitny plan jednoczenia pod swoją władzą sąsiednich niezliczonych plemion. Docenił też polityczną i kulturową potęgę chrześcijaństwa i z pomocą arcybiskupa Adalberta z Bremy prowadził chrystianizację swych poddanych. Zmierzał do tego samego celu co jego polański poprzednik: stworzenia niezależnego i nowoczesnego państwa słowiańskiego, uznawanego przez europejskie potęgi i pozostającego z nimi w feudalnym i dynastycznym związku. Niestety, jego możliwości okazały się ograniczone, zwyciężyli pogańscy Wieleci występujący w obronie archaicznych praw i bogów. Gotszalk został zamordowany, Połabianie powrócili do wiary przodków, wydając w ten sposób

wyrok na niezależność Słowian między Łabą i Odrą. Wprawdzie jego syn przywrócił wiarę chrześcijańską wśród Obodrytów, ale po śmierci jego księstwo popadło we władanie niemieckie i szybko uległo germanizacji, choć jeszcze w 1147 roku stało się celem, zwołanej pod zarzutem pogaństwa przez Bernarda z Clairvaux, wyprawy krzyżowej. Władający wówczas księstwem Przybysław i Niklot przyjęli chrzest i uznali zwierzchnictwo saskiego księcia Henryka Lwa, ostatecznie rezygnując z niezależności. Dzięki temu potomkowie Niklota zachowali książęcą godność i choć całkowicie zgermanizowani, utrzymali się jako książęta Meklemburgii aż do 1918 roku. Ich poddani już w XV wieku zatracili mowę i tożsamość słowiańską.

Starszyzna innych plemion połabskich nie potrafiła jednak pojąć tej lekcji. Trwała w pogaństwie, stając się łatwym celem całkowicie już (z wyjątkiem Bałtów) chrześcijańskiej Europy. Nieszczęściem walecznych Połabian był brak jedności, niemożliwość stworzenia ponadplemiennego państwa oraz niewłaściwy wybór na patronów walki z niemieckim naporem lokalnych pogańskich bogów. Jak pisał Jerzy Strzelczyk: „Tragedią Słowian połabskich było to, że wszelkie próby konsolidacji państwowej mogły dokonywać się wyłącznie wbrew stanowisku potężnego Związku Wieleckiego, będącego ostoją walki o niepodległość, ale również pogaństwa i konserwatyzmu politycznego. Sam Związek Wielecki jednak dość silny, by sparaliżować wszelką akcję państwowotwórczą, okazał się niezdolny do roli zjednoczyciela ziem połabskich". Do tego dołączyło śmiertelne zagrożenie ze strony wszystkich sąsiadów działających nie tylko w imieniu chrześcijańskiego boga, ale też w imię znanej już od starożytności politycznej zasady transvicinatu głoszącej, iż sąsiad mojego wroga jest moim przyjacielem. To ona sprawiła, że w unicestwieniu Słowiańszczyzny połabskiej obok

niemieckich margrabiów, na czele z okrutnym Henrykiem Lwem, i Duńczyków walny udział wzięli sąsiadujący z nią od wschodu słowiańscy Pomorzanie i Polacy. Zdobycie i zniszczenie w 1168 roku przez wojska duńskie, niemieckie i pomorskie ostatniego szańca połabskiej wiary w rugijskiej Arkonie uważane jest za moment symboliczny wyznaczający kres politycznej i kulturowej niezależności Połabszczyzny. I warto pochylić się nad słowami żalu Jerzego Strzelczyka, gdy we wprowadzeniu do kroniki Helmolda napisał: „Dalecy od romantycznego idealizowania przeszłości Obodrytów, Wieletów i innych plemion połabskich, świadomi nieuchronności procesów dziejowych, których padli ofiarą, dostrzegając głębokie cienie ich dziejów, (...) dostrzegamy przecież cały patos ich uporczywej walki o przetrwanie, tragizm niezdolności i niemożności przystosowania. Przede wszystkim jednak, i niezależnie od subiektywnych ocen, dostrzec musimy niezatarte piętno, jakie wiekowy epizod słowiański wywarł na całej historii późniejszej Europy Środkowej, jak określił dzieje Niemiec i jak ułatwił Polsce przetrwanie impetu ekspansji niemieckiej, która bynajmniej nie zatrzymała się na Odrze".

To marny finał, zniknąć w mrokach historii, a przetrwać w pamięci jako skazana na zatracenie osłona, za którą rozkwita życie innych, bardziej przebiegłych i mających więcej szczęścia. Symbolem tragicznego losu Słowiańszczyzny połabskiej może być rozkwitająca na przełomie VIII i IX wieku nadmorska osada handlowa Obodrytów o nazwie Rerik, którą w języku duńskim tłumaczyć należy jako „zatoka bogata w trzcinę". Ten słowiański port, dorównujący znaczeniem nawet tak wielkim ośrodkom na południowych wybrzeżach Bałtyku jak Hedeby czy Wineta, został w 808 roku zniszczony przez księcia duńskiego Gotfryda tak dotkliwie, że do dziś archeolodzy toczą spory na temat miejsca jego

lokalizacji. Gotfrydem nie kierowała jednak wyłącznie bezmyślna żądza niszczenia. Zanim bowiem wydał polecenie podłożenia ognia pod zabudowania, rozkazał zebrać wszystkich mieszkańców osady, w szczególności kupców, i gwarantując im bezpieczeństwo, skłonił ich do przesiedlenia do podlegającego jemu Haithabu, aby tam pomnażali jego i swoje bogactwa.

PRZYGODA NA WSCHODZIE

Wikingowie byli mistrzami morskiej i śródlądowej żeglugi. Budowali lekkie, pojemne i dzielne łodzie równie sprawne w ciężkich warunkach żeglugowych na północnym Atlantyku, jak i podczas żmudnych przewłok, kiedy jednostki te należało przeciągać niekiedy dziesiątki kilometrów po lądzie, z jednego dorzecza do innego. Największym osiągnięciem skandynawskiego szkutnictwa zapewniającym mu przewagę nad innymi ludami była technika klepkowa, według której najpierw budowano szkielet statku złożony ze stępki i żeber (wręgów), a następnie pokrywano go szczelnie zespolonymi, połączonymi nitami klepkami poszycia. Najwspanialsze okazy tego rodzaju statków przetrwały do naszych czasów zagrzebane w książęcych kurhanach. Pełnią funkcję wykwintnej i imponującej trumny kryjącej zwłoki i bogactwo prawdziwego morskiego bohatera – wikińskiego wodza. Te doskonałe okręty były wspaniałym środkiem transportu i orężem zapewniającym ich właścicielom przewagę militarną, handlową i komunikacyjną, stanowiły najdoskonalszy, obok gotyckich katedr,

wynalazek średniowiecznej cywilizacji. Archeolog niemiecki, Claus Carnap-Bornheim, przyrównał je do promów kosmicznych będących najwspanialszymi osiągnięciami technicznymi naszych czasów. To na takich łodziach docierali Normanowie do Islandii, Nowej Fundlandii, Północnej Afryki i na Morze Kaspijskie. Najpierw czynili to jako kupcy handlujący niewolnikami, cennymi futrami, bursztynem i wyrobami rodzimego rzemiosła. Sprzedawali je za srebrne i złote ozdoby oraz monety, które przywozili do własnego kraju i które traktowali jako najpewniejszą przepustkę w zaświaty. Dlatego powierzali je ziemi, która wiele z nich przechowała pieczołowicie aż do naszych czasów. Dopiero pod koniec VIII wieku dokonali gwałtownego zwrotu w naturze swych morskich i rzecznych wypraw. Ze spokojnych handlarzy przemienili się w okrutnych, żądnych łupów rozbójników-wikingów. Już na początku IX wieku pojawili się w Zatoce Fińskiej, z której Newą przedostali się na jezioro Ładoga, gdzie przy ujściu rzeki Wołchow wypływającej z tego jeziora na południe założyli najstarsze osiedle na Rusi, Aldeigjuborg, nazwane później przez Słowian Starą Ładogą. Pół wieku później na drugim krańcu tej rzeki wpadającym do jeziora Ilmień założyli kolejną osadę, którą nazwali Holmgard – gród na górze – późniejszy Nowogród Wielki, jedno z najważniejszych miast w dziejach Rusi. Około roku 862 Ruryk, o czym już wcześniej była mowa, wódz szwedzkich Waregów zwanych również Rusami, przejął w Holmgardzie władzę, rozpoczynając podbój terenów południowych położonych wzdłuż Dniepru, ustanawiając tam własną dynastię Rurykowiczów, która, zanim całkowicie rozpłynęła się w etnicznym i językowym żywiole słowiańsko-bałtycko-fińskim, zdołała jeszcze przekazać jej swą nazwę – „Ruś".

Podbój odbywał się oczywiście przy użyciu najdoskonalszej broni wikingów – okrętów. W użytkowaniu przewłok Skandynawowie zdobyli już wcześniej doświadczenie, choćby korzystając ze słynnego Danewerk (Danevirke) – szlaku transportowego przebiegającego u nasady Półwyspu Jutlandzkiego, pełniącego rolę dzisiejszego Kanału Jutlandzkiego, a równocześnie będącego systemem fortyfikacji zapewniającym bezpieczeństwo Danii przed najazdami wojsk Karola Wielkiego i jego następców. Przewłoki północnej Rusi prowadzące w kierunku Dniepru, Wołgi i Donu stanowiły jednak większe wyzwanie. Biegły z jeziora Ilmen na południe w górę rzeki Łować aż do podnóża – wznoszącego się ponad dwieście metrów powyżej poziomu tego jeziora – pagórkowatego wału zwanego Górami Wałdajskimi, wywodzącymi zapewne swą nazwę od starogermańskiego *Waldheim*, czyli „leśny obszar", zwanymi w latopisach ruskich Wołokiem lub Lasem Okowskim, w którym – donosi bizantyjskie źródło z połowy X wieku – „poddani Rusów, Krywicze i inni Słowianie, zimą wyrąbują dla nich drzewa potrzebne im do budowy statków". Były to jednodrzewki dłubane w pniu potężnych drzew, takie, które opisywali później bizantyjscy autorzy relacjonujący kolejne inwazje północnych barbarzyńców na ich stolicę. Jednostki te, prostsze w wykonaniu niż skomplikowane w swej budowie i delikatne w transporcie statki o konstrukcji szkieletowej, łatwiej znosiły trudy transportu lądowego. Budowano je właśnie w wałdajskim lesie i spławiano na południe, co sugeruje cytowany już Konstanty Porfirogeneta. „Wiedzieć trzeba – pisze – że przybywające z dalszej Rusi do Konstantynopola monoksyle pochodzą częściowo z Nemogradu (Nowogrodu), w którym mieszkał Świętosław, syn Iggora, księcia Rusi, częściowo zaś od grodu Miliniska (Smoleńska) i od Cernigogi (Czernihowa), i od Wusegradu (Wyszogrodu). A ci,

którzy ich dostarczają, spuszczają je do pobliskich jezior na wiosnę, gdy lód taje. A gdy je potem spuszczą na rzekę Dniepr, jadą tąż rzeką do Kijowa, a tam sprzedają je Rusom. Rusowie zaś, którzy tylko takie łódki (jednodrzewki) skupują, rozbijają swoje stare czółna, zabierają z nich wiosła i ich mocowania i zaopatrują je w inny nieodzowny sprzęt".

Wyżyna Wałdajska jest równocześnie wododziałem oddzielającym zlewiska Bałtyku i Morza Czarnego oraz Kaspijskiego, a w południowej jej części znajdują się źródła największych w tej części Europy rzek: Dźwiny, Dniepru i Wołgi. Ale aby dotrzeć do ich żeglownego nurtu, nawet startując od strony Gór Wałdajskich, należało przebyć dziesiątki kilometrów leśno-bagiennego pustkowia. W okolicach dzisiejszego miasta Chołm wędrowcy musieli skręcić z Łowaci w jej prawy dopływ, Kunję, i kilkadziesiąt kilometrów wiosłować pod prąd, aby znów skręcić na wschód w jeden z jej dopływów, wypływając z Wałdaju. Tam rozpoczynał się etap najtrudniejszy, prawdziwa przewłoka: wciąganie łodzi na górski grzbiet położony blisko sto metrów powyżej. Pod kadłuby podkładano drewniane rolki, a siły pociągowej dostarczali pospołu ludzie i woły. Po drugiej stronie wału spuszczano statki do jeziora Sołomino, z którego wypływa na południe rzeka Toropa wpadająca do Dźwiny. Na wysokości Suraża dołącza do niej rzeczka Kasplia, którą pod prąd, najpierw na wschód, później na południe, łodzie docierały do zabagnionej doliny rzeczki Olszy i po pokonaniu blisko dwudziestokilometrowej przewłoki docierały do Dniepru w Gniezdowie, gdzie znajdowała się centralna faktoria wareska ekspediująca na południe, szlakiem od Waregów do Greków, kolejne handlowo-łupieskie wyprawy.

Świadectwa archeologiczne dowodzą nawet, że ośrodek ten nawiązujący nazwą do naszej państwowej kolebki – Gniezna,

sprawował funkcję ważnego, ludnego i zamożnego centrum władzy politycznej kontrolującej cały dnieprzański szlak. Szczególnie imponujące w tym rejonie są cmentarzyska kurhanowe liczące blisko pięć tysięcy grobów zawierających w zdecydowanej większości pochówki ludności skandynawskiej. Wysokość tych mogił usypanych na resztkach ciałopalnych stosów wynosi przeciętnie dwa i pół metra, ale największe osiągają czterdzieści metrów średnicy i siedem metrów wysokości, i obok bogatych ozdób oraz broni zawierają również pochówki żon, niewolników i koni pogrzebanych wraz ze zmarłym. Częstymi w nich znaleziskami są również żelazne nity i okucia pochodzące z łodzi świadczące, że normańskim zwyczajem Wareg udawał się w zaświaty na pokładzie swego wiernego okrętu. W grobach biedniej wyposażonych częstymi znaleziskami obok sławnych frankońskich mieczy, ulubionej broni Waregów, były również szczątki wag i odważników stosowanych do odmierzania kruszcu. Najstarsze groby w Gniezdowie datowane są na schyłek IX wieku, najmłodsze pochodzą z początku wieku XI, a sekwencja ta precyzyjnie odpowiada zarówno okresowi największej aktywności Waregów na Rusi, jak i najbardziej ożywionej działalności szlaku od Waregów do Greków. Dla nas, Polaków, tragicznym akordem tutejszej historii jest fakt, iż zaledwie kilka kilometrów od tej wczesnośredniowiecznej nekropolii dumnych Waregów znajduje się wioska Katyń biorąca swą nazwę od *tynu*, czyli miejsca obwiedzionego wałem, gdzie w zbiorowych mogiłach spoczywają zdradziecko zamordowani słowiańscy wojownicy naszych czasów, a stacja kolejowa w Gniezdowie była ostatnim miejscem, które widzieli, zanim nad katyńskim dołem strzelono im w tył głowy.

Położonym dalej na południe grodem wareskim, przewyższającym znaczeniem nie tylko faktorię w Gniezdowie, ale

nawet sam Kijów, był wielki ośrodek w Czernihowie położony nad Desną, dopływem Dniepru. Wokół wielkiego grodu z książęcą rezydencją i kilku podgrodzi przedzielonych placami handlowymi rozciągało się aż siedem rozległych cmentarzysk kurhanowych zawierających ciałopalne pochówki bogato wyposażone w broń i ozdoby, datowanych na schyłek IX i X wieku. Szczególnie imponujące są wielkie kurhany książęce zawierające pochówki szkieletowe (niespalone), złożone w drewnianych komorach zrębowych, w pełnym rynsztunku, kolczugach i w towarzystwie koni bojowych. Nasypy te występują parami, w zasięgu wzroku, jak imponująca Czarna Mogiła (11,5 m wys. i 125 m śred.), zawierająca bogato wyposażony pochówek księcia wraz z żoną i kilkuletnim synem, i Kurhan Księżnej Czerny. Podobne układy kopców, niekoniecznie pełniących funkcję grobowców, występują w najstarszych ośrodkach władzy Skandynawów, na przykład w Starej Uppsali, wskazując na istnienie zasady wyrażającej, poprzez układ przestrzenny, treści polityczne.

Przypuszcza się, że podobną rolę pełnić mogły, zagadkowe do dziś pod względem przeznaczenia, sławne kopce krakowskie: Krakusa i Wandy, być może również świadczące o istnieniu na Wawelu politycznego ośrodka stworzonego przez skandynawskich Waregów. Dla Karola Szajnochy już przed półtora wiekiem nie było wątpliwości, że mityczny założyciel Krakowa był wikingiem. „Imię Kraka – napisał – jest czysto skandynawskie i mogło pochodzić od słowa *krak*, czyli kruk, wrona (np. *wendil kraka* – wrona wendyjska), albo *krak*, czyli młodzieniec, karzełek, albo *krok* – burzyciel. Ale – czytamy dalej – co w Krakusie najbardziej przypomina Normana, to jego rola organizatora, założyciela miast i grodów w okolicach zakarpackich (...). Jest to bowiem powszechną cechą ludów skandynawskich, ukazujących ich równie wielkimi

głową jak pięścią, będącą głównym kluczem zagadki, jakim sposobem tak nieliczne drużyny mogły w tylu różnych stronach tak wielkie zbudować państwa". I nie mając już żadnych wątpliwości, że mityczny twórca Polski – Lech to skandynawski Lach – *towarzysz*, a Rus to rudowłosy Wareg, do kompletu genealogicznej legendy dorzucił również skandynawskiego, według niego, Czecha, wywodzącego swe miano od staroskandynawskiego słowa *schach* – miecz. I znów tezę tę uznać można by za banalny przykład naiwnej etymologii, gdyby nie zastanawiający fragment relacji Ibrahima ibn Jakuba dotyczący czeskiej Pragi: „Jest to miasto – czytamy – zbudowane z kamienia i wapna nad płynącą tam rzeką. Wydaje się większe od innych miast i wsi. Znajduje się tam wielki targ zaopatrzony we wszystkie towary pożyteczne dla mieszkańców i podróżnych. (...) Przybywają do tego miasta z Karako, Rusowie i Słowianie z towarami. I przychodzą też do nich z kraju Turków (czyli Węgrów – Z.S.) i z krain mahometan Żydzi również z towarami i wagami do kruszców. A wywożą od nich niewolników, cynę i wszelkie rodzaje drogocennych futer".

Zarówno do Krakowa, jak do Pragi Waregowie podróżować mogli w sposób najbardziej im miły, drogą wodną. Dogodny szlak prowadził w górę Bugu (do dziś świadectwem ich obecności jest tam miejscowość Wareż), którym za pośrednictwem Prypeci można było przedostać się na Dniepr, do Nowogrodu lub spływając nim na północ, dopłynąć do Wisły i Truso. Inny, równie dogodny, choć wymagający żeglugi w górę nurtów rzecznych, szlak prowadził od ujścia Wisły aż do Sanu i jego źródeł na Przełęczy Użockiej, gdzie po pokonaniu przewłoki można było zwodować statki po drugiej stronie łuku Karpat w jednym z górskich dopływów Cisy. Będąc już w tej okolicy, Normanowie przepływali przez terytorium do dziś budzącego zainteresowania i spory badaczy ludu Lędzian, o którego

niegdysiejszym znaczeniu świadczy fakt, iż to właśnie im zawdzięczamy, my Polacy-Polanie, obowiązujące do dziś u naszych sąsiadów nazwanie nas samych. Językoznawcy nie mają bowiem wątpliwości, że zarówno ruska nazwa Lachowie, jak i litewska Lenkas, a także węgierska Lengyel, wywodzą się od zaginionych i zapomnianych Lędzian. O tym, że byli oni ludem licznym i znaczącym, przekonuje nas *Geograf Bawarski*, sporządzony na polecenie Karola Wielkiego, oparty zapewne na szpiegowskim wywiadzie, rejestr ludów i posiadanych przez nie grodów na terytorium położonym na wschód od Łaby. W spisie tym Lędzianie mają prawie sto grodów, zaś piszący, również z potrzeb wojennych, Konstanty Porfirogeneta dorzuca informację o tym, że lud ten zajmuje ziemie w dorzeczu Dniepru, sąsiadując z koczowiskami Pieczyngów. W X wieku Lędzianie zamieszkiwać musieli również nad górnym Sanem i Bugiem, skoro w powstałej na początku XII wieku *Powieści minionych lat* czytamy, że w roku 981 książę kijowski Włodzimierz „poszedł ku Lachom i zajął grody ich, Przemyśl, Czerwień, i inne grody, które są i do dziś dnia pod Rusią".

„Urodzony w purpurze" cesarz-historyk skrupulatnie opisując w swym politycznym poradniku (*De administrando imperio*) czyny odważnych i groźnych Rusów, pozwala nam również połączyć na rozległym obszarze archeologiczne ślady nawigacyjnego mistrzostwa Waregów. Oto bowiem w dziele tym czytamy, iż owi Rusowie: „W miesiącu czerwcu rzeką Dnieprem puszczają się i dojeżdżają do Witecewy, która jest ich grodem danniczym. I przybywszy tam, czekają dwa lub trzy dni, dopóki się wszystkie czółna nie zbiorą, wyruszają wreszcie i jadą dalej, aż dopływają do sławnych skalnych progów przegradzających nurt rzeki".

Witacewa to Wiatyczew, gród strzegący ważnej przeprawy przez Dniepr, położony na wyniosłym brzegu, pięćdziesiąt osiem kilometrów na południe od Kijowa, pięć kilometrów od ujścia Stugny. Otóż podczas wykopalisk archeologicznych prowadzonych w latach 1957–1962 na tym datowanym na X wiek grodzisku odkryto w jego części przylegającej bezpośrednio do urwiska nasyp zwieńczony pozostałością drewnianej, zapewne piętrowej wieży sygnalizacyjnej. I tak jak w przypadku tych samych budowli, których ślady odkryto na Wolinie i w Truso, na piętrze znajdował się pomost mieszczący wyklejone gliną palenisko, o czym świadczy gruba warstwa przepalonej gliny. Podążającym więc na miejsce zbiórki wareskim załogom z oddali wskazywał drogę ogniowy sygnał płonący na wyniosłym brzegu, znak, że droga jest bezpieczna, a w grodzie stacjonuje przyjazna drużyna. Ogień ten żegnał również flotyllę spływającą dalej na południe w kierunku słynącego z bajecznych bogactw, ale też potężnego, Milkgardu-Konstantynopola. Dodawał im otuchy, bo dopiero tam, przy pierwszym porohu, rozpoczynała się prawdziwa przygoda.

CZĘŚĆ II

Zapomniane źródła mocy

Wspominaliśmy już, że najstarsza pisana wzmianka dotycząca Słowian opowiada o zamieszkującym w okolicach Polesia plemieniu Neurów, którzy co roku na kilka dni przemieniali się w wilki. Na pierwszy rzut oka informację tę można by uznać za przykład jakże powszechnej w starożytności i średniowieczu geografii fantastycznej zapełniającej marginesy ekumeny niezwykłymi stworami i ludami żyjącymi dokładnie „na wspak" obyczajów i praw przestrzeganych przez istoty zasługujące na miano ludzi. Perspektywa ulegnie jednak zmianie, gdy zauważymy, że również przedstawiciele wielu innych ludów zarówno w starożytności, jak i w średniowieczu przechodzili podobne przemiany. Jednym z pierwszych, którzy podlegali likantropii, czyli przemianie w wilka (gr. *likos* – wilk, *anthropos* – człowiek), był według Pauzaniasza, autora *Przewodnika po Helladzie*, Likaon, król Arkadii, który „zabiwszy dziecko na ołtarzu Zeusa Likejosa (wilka – Z.S.), pił krew ludzką i dlatego został podczas tej ofiary przemieniony w wilka". W podobny sposób, poprzez zjedzenie ludzkiego mięsa dającego nadprzyrodzoną moc, przemienić miał się w wilka, na dziesięć lat, Arkadyjczyk Demarchos, zwycięzca

w olimpijskich zawodach pięściarskich. W Atenach z wilkołactwem związany był oliwny gaj zwany Likejonem, rozsławiony w IV wieku p.n.e. przez uczniów Arystotelesa – perypatetyków prowadzących filozoficzne dysputy podczas przechadzek alejkami Wilczego Gaju (stąd dzisiejsze liceum).

W tradycji rzymskiej wilczyca ratuje, karmi i wychowuje założycieli miasta i cywilizacji. Romulus i Remus są więc wilkołakami – pół ludźmi, pół wilkami. Na cześć ich karmicielki obchodzono w Rzymie luperkalia, święto wiosennego oczyszczenia i odrodzenia, którego nazwa wywodzi się od łacińskiego słowa *lupa* – wilczyca. Obchody te miały szczególne znaczenie dla młodych mężczyzn należących do tajnych stowarzyszeń. Jak bowiem powiada Leszek Słupecki, autor jedynej w naszym piśmiennictwie monografii wilkołactwa: „Luperkalia były reliktem obrzędów związku młodych wojowników, przyznających się do szczególnych więzi z wilkiem. Święto obchodzono ku czci Romulusa i Remusa jako uroczysty ryt inicjacji. Dwaj młodzieńcy to adepci poddani misterium śmierci (dotknięcie skrwawionym mieczem), rodzili się na nowo (otarcie czoła mlekiem), stając się członkami wojennego bractwa. Mitycznym wzorcem obrzędu jest legenda o porzuceniu bliźniąt na pewną śmierć (zagłada rytualna) i ich cudownym ocaleniu przez wilczycę". Podobne tajne związki młodych mężczyzn istniały również w starożytnej Grecji, o czym pisze w książce *Czarny łowca* Pierre Vidal-Naquet. Stowarzyszenia te zwane *kryptoi* (gr. ukryci) obejmowały efebów, czyli młodzieńców, którzy nie mieli jeszcze pełni praw obywatelskich, nie mogli też przynależeć do ciężkozbrojnych hoplitów – żołnierskiej elity, ale osiągnęli już dojrzałość płciową i fizyczną. Oni to na dwa lata udawali się na pograniczne obrzeża (gr. *periplos*) miast i pól uprawnych, w tereny dzikie i jałowe, aby tam żyć na podobieństwo

drapieżnych zwierząt, jedząc pokarmy surowe, a nie gotowane, pochodzące z łowów, a nie z pól i zagród, dokonując podstępnych rabunków i mordów helotów – niewolników. Żyli więc całkowicie według zasad „nieludzkich", będących zaprzeczeniem praw obowiązujących w społecznościach cywilizacji ludzkiej. Hoplici stawali do walki twarzą w twarz z wrogiem, *kryptoi* atakowali z ukrycia, cywilizowani Grecy żyli w stałych siedzibach, żywili się plonami pól i zagród, strzygli włosy i potępiali skrytobójstwa. Wszystko to mogli czynić efebowie wiodący życie pod znakiem dzikości. Powracając do społeczności ludzkiej, zrywali z tym trybem życia. Strzygli włosy, zrzucali odzienie ze skór zwierzęcych, składali libacje (ofiary) bogom i otrzymywali prawo noszenia broni ciężkozbrojnych hoplitów. Według Vidal-Naqueta rytm życia greckich *kryptoi* ma te same społeczne korzenie co stowarzyszenia młodzieńców rzymskich naśladujących „dzikość" Romulusa i Remusa, a także znane z Afryki tajne związki ludzi-wilków i ludzi-tygrysów (kenijscy mau-mau). Pełnią rolę inicjacyjną, przygotowują młodzież do właściwej służby wojskowej. Pełnić mogą jednak również inne funkcje, na przykład policyjne, jak w Sparcie, gdzie *kryptoi* trzymali w ryzach helotów, zapobiegając ich buntom, albo jak w Afryce, gdzie stowarzyszenia wilcze i tygrysie prowadziły walkę przeciwko kolonialistom.

Średniowieczne stowarzyszenia młodych mężczyzn spod znaku wilka największą świetność osiągnęły wśród germańskich barbarzyńców. Wnieśli też wkład do tej tajemnej instytucji. Był nim wilczy wojenny szał, któremu ulegali członkowie stowarzyszeń, gdy przystępowali do boju. Już Paweł Diakon w *Historii Longobardów* pisał, że rodaków jego otaczała sława niepokonanych wojowników, którzy podczas walki przemieniają się w wilki i piją ludzką krew, „a jeśli wrogów im nie dostaje, piją własną".

Najgłośniejszymi jednak we wczesnym średniowieczu wojownikami o wilczych zwyczajach byli skandynawscy berserkowie, wojownicy Odyna. Przystępując do bitwy, popadali w nieludzki szał, zdwajali siły, nie odczuwali zadanych ran, toczyli pianę z ust i wydawali zwierzęce wycia. Jedna ze skandynawskich sag powiada, iż „berserkowie walczyli bez pancerza, dzicy jak wilki i psy. Gryźli własne tarcze i byli silni jak niedźwiedzie. Zabijali ludzi i ani ogień, ani miecz nie mogły im nic zrobić". *Saga o Egilu* donosi, że „z tymi, którzy się przemieniają w wilki albo dostają berserkowego szału, sprawa tak się ma, że póki owa przemiana trwa, są tak mocni, że nikt i nic nie jest w stanie się im przeciwstawić, lecz skoro minie, wówczas są zupełnie wyczerpani i bez sił".

Berserkowie popadali też często w wilczy szał bez wojennej przyczyny. Działo się to szczególnie „wilczą porą" o zmierzchu, tuż po zachodzie słońca, gdy świat na mgnienie oka ujawnia swe ukryte oblicze, a na horyzoncie na chwilę pojawia się wąska ścieżka wiodąca do innej rzeczywistości. Berserkowie tracili wówczas świadomość rzeczywistości ziemskiej i będąc w szale, krzywdzili najbliższych. Sam Egil, bohater islandzkich sag, ledwo uszedł z życiem, gdy jego ojciec, Kweldulf, czyli Nocny Wilk, przemieniony w wilkołaka pochwycił go i chciał roztrzaskać o skały. Zasłoniła go piastunka, która za czyn ten zapłaciła własnym życiem. Z powodu tych właśnie niekontrolowanych napadów szału berserkowie kończyli często jako wygnańcy błąkający się w leśnych ostępach albo też wyruszali na dalekie wyprawy łupieskie. Najbliższym zaś Skandynawii terenem, gdzie mogli realizować te cele, były ziemie zamieszkane przez Bałtów, Finów i Słowian. Dlatego starogermańska nazwa wilka *varg* w prasłowiańskim znalazła swój odpowiednik *vorg* – wróg, a później w językach ruskich

uzupełniona została przez wywodzące się z tego samego pnia słowo Wareg również spokrewnione z ruskim *wriagiem*, czyli wrogiem. Śladem ich obecności na naszych ziemiach są nazwy miejscowości: Besiekiery i Besiekierz oraz Wargowo (nordyckie *vargar* – wilk).

Podsumowując starożytne i średniowieczne dzieje wilkołactwa, Leszek Słupecki napisał: „Stawiam tezę, że wilczy ethos rozboju i gwałtu dobrze czytelny w większości przekazów mówiących o likantropii był ideologią młodych wojowników tworzących tajne związki kultowe na marginesie oficjalnych struktur plemiennych, tak indoeuropejskich jak egzotycznych. Być może pojawienie się takich związków było jednym z przejawów zaczynającego się rozkładu więzi rodowych prowadzącego w końcu do przełomu, jakim stały się narodziny państwa".

Wątpliwa to teza. Wszak pierwsze organizacje państwowe starożytnych Greków istniały już na początku II tysiąclecia p.n.e., zaś zjawiska wilkołactwa, szczególnie zaś instytucja *kryptoi* – tajemnych związków młodych mężczyzn, mają o wiele młodszą metrykę, rozkwitają pod opieką państwa i jemu służą. Również słowiańskich Neurów trudno podejrzewać, iż w czasach Herodota zamierzali zrewolucjonizować swój rodowy i plemienny ustrój, skoro pierwsze słowiańskie państwa zaczęły powstawać ponad tysiąc lat później. Jedynie w odniesieniu do berserków teza Słupeckiego znajduje potwierdzenie. W ostatnich stuleciach I tysiąclecia n.e. w Skandynawii zaczęły powstawać pierwsze państwa rządzone przez władców chętnie formujących wojenne drużyny z członków tajemnych stowarzyszeń spod znaku wilkołaka. Nie negując więc inicjacyjno-wojskowej przydatności stowarzyszeń młodych mężczyzn, warto też poszukać źródeł tego zagadkowego zafascynowania, wręcz zbratania człowieka ze zwierzęciem.

A świadectwa tego są naprawdę odwieczne. Braterstwo ludzi i zwierząt, uznawanie tych ostatnich za sprzymierzeńców i przewodników do „wyższego" duchowego świata, to immanentna cecha najstarszej religii ludzkości – szamanizmu. Mircea Eliade twierdził, że szamanizm, będący według niego archaiczną techniką ekstazy umożliwiającą przejście do innych stanów świadomości, „jest też źródłem wszystkich innych religijnych tradycji istniejących na naszej planecie". Najstarszy jego zabytek, datowany na około siedemnaście tysiącleci, znajduje się w galerii naskalnego malarstwa we francuskiej jaskini Lascaux. Malowidło to przedstawia człowieka o ptasiej twarzy lub noszącego ptasią maskę, który umiera stratowany przez wyobrażonego obok bizona. Ponad nim na żerdzi siedzi ptak, jego duchowy przewodnik mający poprowadzić go w zaświaty. Słowo „szaman" pochodzi od tunguskiego *samah* i oznacza przewodnika dusz, człowieka, który potrafi odbywać podróże do wyższych, pozaziemskich światów i – co ważniejsze – szczęśliwie stamtąd powracać. Tunguzi żyją na Syberii, która obok obydwu Ameryk (mieszkańcy wschodniej Azji skolonizowali niegdyś ten kontynent) stanowi matecznik szamanizmu. Na tych też terenach żywy jest do dziś.

Szaman to równocześnie wróżbita, lekarz, zaklinacz pogody, a przede wszystkim łowca i przewodnik dusz. To on odprowadza dusze członków jego rodu do świata zmarłych, on również udaje się na ryzykowne wyprawy w celu odzyskania skradzionych lub porwanych dusz. Fridtjöf Nansen – polarnik i znawca kultury Eskimosów tak scharakteryzował zajęcia *angekoka* – eskimoskiego szamana: „W nocy, gdy człowiek śpi, dusza jego idzie na łowy lub na tańce. Może też pozostać w domu, gdy ciało idzie na wędrówkę. Duszę można zgubić, z pomocą czarów można ją ukraść, a człowiek, któremu duszę skradziono, choruje i musi prosić, by angekok puścił

się w pogoń za nią, odebrał i przyniósł z powrotem. Jeśli skradzionej duszy nie można odzyskać na powrót, wówczas człowiek umiera, chyba że angekok stworzy mu nową albo zamieni na duszę zdrową, wziętą renowi, ptakowi jakiemu albo nowo narodzonemu dziecku".

Szaman nadprzyrodzoną moc zawdzięcza swemu sprzymierzeńcowi, duchowemu bliźniakowi, który jest istotą półzwierzęcą albo półczłowieczą. Mieszkańcy przedkolumbijskiej Mezoameryki widzieli go jako postać jaguaropodobną i przedstawiali na swych rzeźbach z zielonkawego jadeitu z ludzką twarzą wyposażoną w cechy zwierzęcia – kłami, mięsistymi wargami i wąskimi, skośnymi oczami. Jaguar był duchowym bliźniakiem i sprzymierzeńcem amerykańskich szamanów, przewodnikiem po *nagualu* – niematerialnej, ukrytej dla ludzkich zmysłów odrębnej przestrzeni świata. Tę samą rolę odgrywali sprzymierzeńcy syberyjskich szamanów mający najczęściej postać niedźwiedzia, kruka, sowy, psa i wilka. Wędrując do wyższych światów w interesach zleconych im przez współplemieńców, taki właśnie przybierali wygląd.

Sprzymierzeńcem słowiańskich szamanów był wilk. Mając za sąsiadów ludy ugrofińskie, pierwotnych mieszkańców większej części Syberii, sami czerpiąc ze Wschodu i Zachodu, Słowianie najdłużej spośród ludów zamieszkujących Europę trwali przy szamańskim światopoglądzie, choć jak zauważył Aleksander Gieysztor w *Mitologii Słowian:* „Niechrześcijańska warstwa wierzeń słowiańskich ocalała jedynie w strzępach". Jeden z tych strzępów dostrzegł Mircea Eliade w swej monumentalnej monografii *Szamanizm i archaiczne techniki ekstazy*. Pisząc o przeżytkach szamanizmu w starożytnej Grecji, zauważa: „Uzdrowiciele, wróżbici czy ekstatycy, których można by zestawić z szamanami, nie są

związani z Dionizosem (...). Wprost przeciwnie, tych kilka legendarnych postaci greckich, które wytrzymują porównanie z szamanami, powołuje się na Apollona. Uważa się też, że to właśnie z północy, z krainy Hiperborejczyków, pierwotnej ojczyzny Apollona, przybyli oni do Grecji". A okolice Hiperborejczyków to już sąsiedztwo słowiańskiej domeny, pobliże Herodotowych Neurów przemieniających się w wilki. To okolica tak wielce szamańska, że nawet rozległe stepy i lasy północnej anekumeny – świata mrocznego i obcego, nie powstrzymały Greków przed nawiązaniem z nim kontaktów. Wzmiankę o tajemnym plemieniu przemieniającym się w wilki traktować można więc jako najstarsze związane z ludami indoeuropejskimi świadectwo szamanizmu, archaicznej wiary wyrastającej z przeświadczenia o jedności świata ludzkiego, zwierzęcego i duchowego, jedności, która dziś jest tak głęboko i tragicznie zerwana. Warto pamiętać, iż jest to równocześnie najdawniejsza historyczna wzmianka wydobywająca z mroku pradziejów naszych odległych słowiańskich przodków, świadcząca również, że Słowianie najdłużej spośród ludów Europy zachowali żywy związek z uniwersalną prareligią, którą był szamanizm.

GRZYBOWY LOT

Szamani znajdowali również sprzymierzeńców w świecie roślin, szczególnie tych o działaniu halucynogennym. Aż dziewięćdziesiąt procent znanych nam historycznych społeczeństw w kontaktach z sacrum posługiwało się bowiem różnorodnymi substancjami wywołującymi stany transowe, zauważył to także Mircea Eliade. Niektóre prowadziły ich do odrębnej rzeczywistości równie dobrze jak jaguary i wilki. Największe pod tym względem możliwości mieli mieszkańcy terenów równikowych i podzwrotnikowych, gdzie roślinność jest najbujniejsza i różnorodna, a rośliny halucynogenne występują szczególnie obficie. Amazońscy szamani znają kilkadziesiąt preparatów poszerzających percepcję świata i wprowadzających odmienne stany świadomości. Dzięki Carlosowi Castanedzie znamy najważniejszych sprzymierzeńców Indian Mezoameryki. Jest to czarcie ziele, czyli bieluń (*Datura inoxia*), halucynogenny grzybek zwany „dymkiem" (*Psilocibe mexicana*) oraz najważniejszy z nich

Mescalito zwany Opiekunem, mieszkający w pąkach pejotlu (*Lophophora williamsii*).

W północnej części Euroazji, w strefach klimatu umiarkowanego i subarktycznego, najważniejszą rośliną halucynogenną wykorzystywaną przez szamanów był muchomor czerwony (*Amanita muscaria*), najczęściej przybierający postać dobrze znanego z naszych brzozowo-sosnowych lasów grzyba o czerwonym, biało nakrapianym kapeluszu. Grzyb ten był rośliną kultową zarówno archaicznych ludów Syberii, jak i ludów mongolskich, uralskich i indoeuropejskich. Ariowie – indoeuropejscy zdobywcy Indii, twórcy sławiących ich czyny eposów *Rygweda* i *Mahabharata*, czcili somę, napój bogów, jako bóstwo Soma; „Piliśmy somę, staliśmy się nieśmiertelni. Dotarliśmy do światła, znaleźliśmy bogów. Cóż może nam teraz uczynić wrogość i złość śmiertelnego (...). Przewyższyłem Niebo swym ogromem i wielką Ziemię, wielki wyrosłem, równy chmurom, czyż bowiem nie napiłem się somy?".

A soma między innymi według Richarda G. Wassona (*Soma, Divine Mushroom of immortality*, New York 1968) to nic innego jak napój będący wywarem z czerwonych muchomorów, które wyrosły w miejscu, gdzie bóg Indra uderzył w ziemię piorunem. Indoirańczycy napój ten nazywali *haomą* i sławili go w hymnach: „Czcimy wspaniałego, złocistego Haomę, czcimy jaśniejącego Haomę, powodującego kwitnienie życia, czcimy Haomę, od którego ucieka Śmierć". Podobnie skandynawski Odyn uderzał swą włócznią, gdzie wyrastały muchomory, z których berserkowie-wilkołacy wytwarzali „złoty napój" wprawiający ich w bitewny szał, znieczulający na ból i zmęczenie.

Najwięcej wiadomości o sposobach zażywania halucynogennych grzybów i sposobach ich oddziaływania na ludzką świadomość

pochodzi z terenów Syberii, gdzie jeszcze do czasów bolszewickiej rewolucji, a nawet jeszcze dłużej, szamańskie obrzędy były żywe i praktykowane. Jednym z pierwszych, który je opisał, był Józef Kopeć, brygadier wojsk polskich, uczestnik insurekcji kościuszkowskiej, za udział w której został przez Katarzynę II zesłany na Kamczatkę. W *Dzienniku* przedstawił własną chorobę i jej uleczenie przez szamana Kamczadałów. „Ledwom co wziął i połknął cudownego grzyba, natychmiast mnie sen ogarnął. Marzenia senne następowały jedne po drugich, znalazłem się pośród najgustowniejszych ogrodów, gdzie przyjemność i piękność same zdawały się panować. (...) Gdzie grona najpiękniejszych kobiet w białe przyodziane suknie przechadzając się, zdawały się zajmować gościnnością tego ziemskiego raju. Rade jakby z mego przybycia, ofiarowały mnie rozmaite owoce, jagody i kwiaty. Trwała ta rozkosz przez cały mój sen, który był ponad mój zwyczajny spoczynek kilka godzin dłuższy". Po przebudzeniu Kopeć zjadł kolejną porcję muchomorów, wyspowiadał się i ponownie zasnął na całą dobę. Obudził się zdrowy i zanotował: „Nie moją jest rzeczą dowodzić użyteczności i wpływu na zdrowie ludzkie własności tak zwanego w Kamczatce cudownego grzyba. Mogę jednak twierdzić, iż użyteczność jego we względzie lekarskim, gdyby była znaną od oświeceńszych narodów, zyskałaby mu miejsce między tylu już znanymi ratowniczymi działaczami natury w rzeczy zaradzania w chorobach ludzkich". Józef Gerard-Wyżycki w *Zielniku ekonomiczno-technicznym* wydanym w Wilnie w 1845 roku bardziej już uczenie starał się opisać użycie muchomorów przez ludy Syberii: „Upojenie, pomieszanie zmysłów, zapamiętała śmiałość, wściekły gniew, drżenie członków, zwyczajnem są następstwem zażycia muchomora. Kamczadale robią z niego z dodatkiem wierzbówki wąskolistnej (*Epilobium augustifolium*) napój mocny,

którego użycie sprawia im przyjemne fantazje i marzenia. W zachwyceniu tym miewają widzenia duchów, śpiewają i przepowiadają w sposób uroczysty duchem prorockim; niekiedy zda się im, że się przemieniają w olbrzymów, tu następuje zapamiętała wściekłość, hałasują i szaleją aż burzliwą tę scenę, po gwałtownem natężeniu nerwów, głęboki sen zakończy", Ludy syberyjskie muchomora czerwonego nazywały „grzybem szamańskim" i zażywały go według ściśle przestrzeganych reguł. Najpierw zjadano dwanaście do piętnastu owocników (kapeluszy) i układano się spać. Ekstatyczny trans następował gwałtownie, szaman budził się, ogłaszał wizję, opowiadał, co widział w krainie duchów, i znów zapadał w sen na wiele godzin. Po przebudzeniu wypijał garnek własnego moczu lub mocz osoby, która jak on jadła muchomory. Substancje psychoaktywne (bufotenina, psylocybina) w moczu występują w większym stężeniu niż w grzybach, dlatego na tym etapie szaman miał wizję na jawie, w której pojawiali się „muchomorowi ludzie", olśniewająco barwne ludzkie postaci mające kształt grzyba. Najstarsze przedstawienia tego rodzaju wizji znaleziono w świętym miejscu Czukczów, na uroczysku zwanym Piegtymielska Skała. Przedstawione tam malowidła i ryty pochodzą sprzed pięciu tysiącleci i są najstarszymi zabytkami szamanizmu na Syberii. Z terenu Skandynawii znane są wykonane z brązu i datowane na epokę brązu (ok. 1800–700 p.n.e.) brzytwy ozdobione wyobrażeniami grzybów. Kamienne rzeźby grzybów znane są też z neolitycznej kultury Vinca, z terenu Bałkanów, zaś tak zwane flasze z kryzą, niewielkie naczynka z silnie wyodrębnionym wylewem znajdowane w grobach neolitycznej ludności kultury pucharów lejkowatych (również na naszych ziemiach), uznawane są za pojemniki na substancje narkotyczne, które pomóc miały zmarłemu w jego podróży w zaświaty. Grzyby psychotropowe

miały duże znaczenie w kulturach Sumerów, Chaldejczyków i Asyryjczyków. Jak twierdził Jean Allegro w wydanej w 1871 roku pracy *Kult świętych grzybów*, właśnie Mezopotamia była ośrodkiem misteriów grzybowych, skąd kult ten rozszerzył się na cały świat aż po Syberię i Amerykę.

Picie moczu ludzi, którzy zażywali muchomory, praktykowane było powszechnie, zauważył to już w 1774 roku Georg Steller, niemiecki podróżnik, który wśród syberyjskich Koriaków spędził kilka lat: „Ci, którzy nie mogli pozwolić sobie na ten stosunkowo drogi specyfik, pili mocz tych, którzy go jedli, po czym zachowywali się tak samo jak odurzeni grzybem, o ile nie byli bardziej odurzeni. Mocz wydaje się mieć większą moc od samych grzybów i działa nawet na czwartą lub piątą w kolejności osobę".

Zarówno na Syberii, jak i w Europie wywar z muchomorów mieszano z sokiem dzikiego rozmarynu (*Ledum paluste*) i uzyskiwano wtedy prawdziwie piekielną miksturę. Rozmaryn bowiem zawiera olejki eteryczne dające silne efekty upojenia, a w dużych dawkach wywołuje wściekłe napady szału. Takie zapewne specyfiki spożywali też skandynawscy berserkowie i ich pobratymcy – słowiańscy „charakternicy". Muchomory wyzwalały w nich zwierzęce wizje, przekonanie, że są krwiożerczymi wilkami, zaś rozmaryn wzbudzał bojową wściekłość.

Wprowadzenie chrześcijaństwa położyło kres dawnym plemiennym wyznaniom i obyczajom, a jego misjonarze i pierwsi krzewiciele ze szczególnym zapałem zwalczali praktyki szamańskie. W tym również zażywanie substancji halucynogennych w celu poszerzenia doznań poznawczych. Wśród wczesnośredniowiecznych ludów barbarzyńskiej Europy jako pierwsi procesowi temu ulegli Germanie, ostatnimi okazali się natomiast Słowianie. Dlatego i dziś w opinii ludów germańskich Słowianie uchodzą za „grzybojadów" –

ludzi, którzy nie tylko z zapałem przemierzają lasy w poszukiwaniu borowików czy podgrzybków, ale też potrafią je dobrze przyrządzać i ze smakiem spożywać. Najlepszym dowodem bliskich ciągle związków Słowian z szamańską tradycją „grzybolubstwa" może być zaobserwowany na Węgrzech w 1945 roku przypadek radzieckich żołnierzy z dywizji syberyjskiej, którzy, ku przerażeniu Węgrów – też przecież niegdyś zawołanych szamanów – po spożyciu trujących w ich mniemaniu muchomorów przystępowali do walki jak wściekłe bestie i dokonywali czynów nadludzkich, aby później, gdy ustawało działanie narkotyku, zapadać w ciężki, długotrwały sen. Przypuszczać można, że byli to Słowianie zamieszkujący na Syberii, gdzie nawet w czasach walczącego ze wszystkimi przesądami państwa sowieckiego ludy autochtoniczne potajemnie pielęgnowały obyczaje i mądrość przodków.

Również etnografowie zwracają uwagę na wielkie znaczenie grzybów nie tylko w kuchni, ale też w mitologii i obyczajowości Słowian. Przypisywano im na przykład działania pobudzające, „szczególnie do sprawy małżeńskiej", jak pisał w swym *Dykcjonarzu roślin użytecznych* ksiądz Krzysztof Kluk proboszcz z Ciechanowca. Aleksander Brückner donosił, że „z grzybów odróżniano jadalne od jadowitych, któremi mężów nienawistnych żony raczyły". Według niego w Kieleckiem i na Roztoczu muchomor czerwony był powszechnie używanym lekiem. Rozdrabniano go, zalewano wódką i używano do smarowania w przypadku bólów reumatycznych. Na Wołyniu, Podlasiu i Chełmszczyźnie suszone owocniki muchomorów zalewano mlekiem i gotowano, a następnie przykładano na rany.

W tym już jednak czasie, właśnie za sprawą chrześcijańskiej anatemy, czerwony muchomor tracić zaczął swą kultową moc i z grzyba „świętego" przemienił się w grzyba „psiego", czyli

diabelskiego (pies uważany był w średniowieczu za jedno z wcieleń diabelskich), lub co najwyżej w zabójcę much (mucho-mor – zgładzający muchy). Rosyjska jego nazwa – *poganka*, ma takie samo jak polskie znaczenie, wywodzi się od słowa *pogannyj* – zły, nieczysty. Aby go całkowicie usunąć z ludzkiego świata, ogłoszono, że jest trujący również dla ludzi. Skazany na wygnanie, zszedł do podziemia, znalazł schronienie w mrokach ludzkiej nieświadomości. Tak powszechne w średniowieczu i u progu nowożytności opowieści o czarownicach, o ich podniebnych lotach na Łysą Górę i upojnych sabatach na jej szczycie, są prawie identycznymi powtórzeniem opisów szamańskich magicznych lotów do „górnych światów" za pośrednictwem „grzybowego sprzymierzeńca". Zapewne też opowieści te powstawały po zażyciu wywaru z muchomorów, pod wpływem którego pojawiają się właśnie wizje unoszenia w powietrzu i obcowania z niezwykle barwnymi światami fantazji. Być może nawet zwyczaj spożywania grzybów z kapustą podczas chrześcijańskiej wigilijnej wieczerzy jest odległym i nieuświadomionym wspomnieniem czasów, kiedy grzyby odgrywały o wiele bardziej znaczącą niż dziś rolę w naszej kulturze. Tyle tylko pozostało po indoeuropejskim i prasłowiańskim kultowym grzybie pozwalającym przekraczać ograniczenia naszych zmysłów i wprowadzającym naszych przodków do rzeczywistości „górnych światów". Dziś czerwony muchomor pozostaje jedynie malowniczą ozdobą naszych lasów, a zaszczepiona przez chrześcijańskich kaznodziejów odraza do niego nakazuje omijać go ze strachu. Wszak był sprzymierzeńcem i energetycznym paliwem nie tylko pogańskich szamanów, ale też ich odległych spadkobierców uprawiających podniebne loty na Łyse Góry i bratających się z diabłami. Na początku jednak słowiańskiej

kariery, w jej mateczniku, był potężnym narzędziem wyzwolenia mocy w sytuacji zagrożenia, wątpliwości i kryzysu.

WYCIECZKA DO SŁOWIAŃSKIEJ NAWI

Stanisław Urbańczyk, historyk i wybitny badacz pogańskiej religii Słowian, zauważył w swej krytycznej rozprawie podsumowującej dwa wieki niekiedy bardzo fantastycznych dociekań w tej materii (*Dawni Słowianie. Wiara i kult*), iż: „Póki człowiek nie osiadł w mieście, a zwłaszcza póki naukowo nie zaczął badać przyrody i wyrywać jej władzę nad sobą, skazany był na stałe obcowanie z demonami. Mieszkały w jego domu, decydowały o szczęściu i nieszczęściu, pomagały lub dokuczały w polu i lesie. Przez ten stały kontakt rysowały się z pewnością w świadomości chłopa lepiej niż bóstwa wyższego rzędu, przebywające gdzieś daleko". Były tym bardziej ważnie, że, jak zauważył w rozprawie *Religia Słowian i jej upadek* Henryk Łowmiański, prawie cały panteon naczelnych bogów słowiańskich (z wyjątkiem być może bóstw Słowian połabskich) wymyślony został przez wrogich pogaństwu i nierozumiejących jego istoty chrześcijańskich misjonarzy, biskupów i kronikarzy. A szczególne zasługi w tym dziele położyli pospołu nasz najwybitniejszy

historiograf Jan Długosz oraz pełni dobrej woli słowianofilscy badacze XIX wieku. Zdaniem Łowmiańskiego nawet w okresie największego rozkwitu pogańska religia Słowian nie dojrzała do poziomu politeizmu, do wykształcenia idei samodzielnych, wszechmocnych bogów. I choć tak kategorycznie postawionej tezie sprzeciwił się w *Mitologii Słowian* Aleksander Gieysztor, powołując się przy tym na metodę i autorytet francuskiego mitoznawcy Georges'a Dum" zila, to jednak wiele wskazuje, że pogańscy Słowianie aż do IX wieku, kiedy nawiązali bliższe kontakty z wyznającymi politeizm Skandynawami, żyli w otoczeniu rodzimych demonów, duszków i skrzatów. Zapewne też, jak wykazały to najnowsze badania, najsłynniejszy zabytek prasłowiańskiego, jak sądzono do niedawna, pogaństwa – kamienny posąg bóstwa o czterech twarzach wydobyty z nurtu Zbrucza w 1848 roku i nazwany Światowidem, przechowywany dziś w Krakowie – również jest pochodzenia skandynawskiego, stworzyli go Waregowie, regularnie podróżujący szlakiem od Waregów do Greków, mający świątynie i miejsce postoju na podolskiej górze Bohut wznoszącej się nad nurtem Zbrucza na skraju Miodoborów. Skandynawskim naśladownictwem były też inne wielotwarzowe bóstwa Słowian, zarówno ogromny posąg Świętowita, opisany przez Sakso Gramatyka, zniszczony przez Duńczyków w zdobytej w 1168 roku Arkonie na Rugii, jak i inne ich przedstawienia znajdowane przez archeologów, na przykład na Wolinie.

Brak w religijnej wyobraźni dawnych Słowian bóstw wszechmocnych, uniwersalnych potwierdzają też obserwacje etnografów śledzących przeżytki pogańskich wierzeń w słowiańskiej kulturze ludowej. Kazimierz Moszyński, powołując się na swe obserwacje z początków XX wieku zebrane w samym mateczniku

Słowiańszczyzny, tam gdzie gromadziła się jej masa krytyczna przed wielką eksplozją w V–VII wieku, zauważył: „Wielu badaczy, którzy zajmowali się słowiańskimi starożytnościami, uważa Polesie za kraj z prawieku zamieszkany przez Słowian, a Poleszuków za lud par excellence słowiański; w związku z tym, ponieważ izolowane, lesiste i błotniste te strony w najsłabszym stopniu spośród wszystkich słowiańskich podlegały obcym wpływom – należałoby tam doszukiwać się obrazu kultury najbliższej względem dawnej kultury Słowian. Podzielając w znacznym stopniu – aczkolwiek nie bez poważnych zastrzeżeń – podobne mniemania, zwrócę się na chwilę do poleskiej demonologii i wezmę pod uwagę mniej więcej sam środek Polesia, mianowicie okolice nad środkową Prypecią, względem panujących tam wierzeń z zakresu demonologii. Cóż tam w tym zakresie ujrzymy? Zobaczymy rzecz doprawdy uderzającą: niezwykłe, najdalej idące ubóstwo demonologicznych wątków i znikomą ilość demonicznych postaci. Wiedźmy występują na Polesiu niemal wyłącznie w charakterze czysto ludzkim; zmor i płanetników brak zupełnie, wampirów również. Całego szeregu właściwych demonów również szukamy na próżno; są tylko mniej więcej pierwotne duchy domowe oraz niewyraźne tradycje o duchach leśnych panujących nad zwierzyną. (...) Są jednak na Polesiu mimo wszystko postaci niesłychanie popularne, tworzące – zależnie od miejsca swego pobytu – liczne odmiany, wymieniane nieskończoną ilość razy w przekleństwach, rozmowach i opowiadaniach. Te istoty to czarty: błotne, wodne, łozowe, leśne itp. Można śmiało powiedzieć, że w popularnej religii Poleszuka dwa tylko rodzaje istot naprawdę coś ważą, mianowicie owe niezliczone czarty i Bóg – gromowładca, strzelający piorunami w tę złośliwą i groźną, ale głupawą czeredę; czarty i Bóg – dwa przeciwstawne sobie światy zła i dobra. I oto wynika przed nami

zajmujące zagadnienie: czy to tak jaskrawo dualistyczne wyznanie wiary Poleszuka należy uważać za pierwotne, czy też poczytywać za wynik wpływów religii chrześcijańskiej?".

Odpowiedź jest tu oczywista. Gromowładca to Bóg chrześcijański zwiastowany mieszkańcom Polesia przed tysiącem lat. Wcześniej w życiu codziennym towarzyszyła Poleszukowi garstka rodzimych duchów przybierających najczęściej postać zwierzęcą lub człekopodobną, a o jego losie, czyli słowiańskiej doli, decydowały potężne, nienazwane siły kosmiczne, których najwyższą potęgą był piorun albo wiekuisty dąb czy ogromny kamień. Istoty duchowe niższego rzędu oraz imponujące, nasycone duchową mocą elementy krajobrazu tworzyły nadprzyrodzoną część świata dawnych Słowian. Wystarczyły im istoty leśne i polne, tak samo jak oni niedoskonałe, tylko trochę silniejsze i mądrzejsze. Szczególne zaś znaczenie dla tych mieszkańców odwiecznych puszcz miały rosnące setki lat drzewa skrywające źródła mocy i długowieczności dla człowieka niedostępnej. Las żywił ich bowiem i ochraniał, a oni czcili go i szanowali. Z szumu jego drzew odczytywali przyszłość swego losu. Najważniejszy był władca puszczy – dąb, potem smukła brzoza ratująca ożywczym sokiem życie ludzi osłabionych długotrwałą zimą, jarzębina odstraszająca złe moce, często spotykana w podwalinach chat i grodów Słowian wschodnich. Dęby wyrażały męską moc, cnotę najwyżej cenioną przez ludzi żyjących w lasach. Świętym drzewem kobiet była lipa, drzewo płodności, łagodności, wdzięku. Wierzono, że w lipę nie uderzają pioruny, dlatego jeszcze w XX wieku mieszkańcy karpackich dolin – Łemkowie i Bojkowie – sadzili te drzewa wokół swych zagród i cerkwi. Jarzębina, której „bliźniakiem" w świecie zwierząt był niedźwiedź zjadający ze smakiem jej owoce, symbolizowała odradzanie się życia po zimowym bezruchu. Jeszcze na początku XX

wieku nad górną Wołgą i Kamą skrywali się pośród lasów prześladowani przez Cerkiew członkowie sekty riabinowców (*riabina* – rus. jarzębina), którzy wierzyli, że krzyż, na którym Jezus skończył życie, wyciosany był z pnia jarzębiny symbolizującej zmartwychwstanie. Po terrorze czasów bolszewickiej rewolucji pozostał po tych ludziach jedynie zagadkowy fragment wiersza *Jesień* Sergiusza Jesienina:

Ostrożnym krokiem wiatr, mnich ubogi
Kruszy listowie na wybojach drogi
I całuje na jarzębiny krzewie
Tajemniczemu Chrystusowi rany świeże.

U Słowian wschodnich świętymi roślinami były również brzozy, w które wcielać miały się czyste i białe jak ich kora dusze dziewcząt zmarłych przed zamążpójściem. Słowianie zachodni otaczali czcią krzewy orzechodajnej leszczyny. Na terenie pogańskich uroczysk w Wolinie i Szczecinie archeolodzy odkryli jamy wypełnione laskowymi orzechami złożonymi tam zapewne jako ofiary. Olcha i wierzba przypisywane były demonom wodnym i bagiennym i z tej racji uważane za szkodliwe. Nie bez powodu miotły czarownic wykonane były z wierzbowych witek, a wilkołakom i wampirom ostateczną śmierć zadawano przy użyciu osikowego kołka.

Na Rusi, w okolicach Czernihowa nad środkowym Dnieprem, archeolodzy natrafili też na dębowe pnie z regularnie wbitymi szczękami świni (dzikie świnie uważane były za opiekunki dusz zmarłych). Pierwsze znalezisko pochodziło z 1909 roku, kolejne z 1975 i 1984. Badania dendrologiczne wykazały, że wszystkie te dęby były drzewami starymi i rosnącymi nad brzegami wielkich rzek. Każde z nich runęło zaledwie kilka lat po umieszczeniu w nich

świńskich kości. Tak jakby ci, którzy dokonywali tego zabiegu, dobrze o tym wiedzieli i przewidywali, że niedługo dęby zwalą się do wody, której nurt poniesie je tam, skąd nie powraca żadna istota śmiertelna. Do nawi – w prasłowiańskie zaświaty, aby ponieść tam ofiarę, która wspomoże dusze zmarłych przodków i zaświadczy, że żywi nadal o nich myślą i troszczą się. Thietmar, który opisał pogańskich bogów Słowian połabskich tuż przed ich zagładą w połowie XII wieku, donosił również o świętym odyńcu żyjącym w wodach świętego jeziora otaczającego najważniejszy ich ośrodek kultowy w Radogoszczy. Żyjący sto lat wcześniej Herbord, autor *Żywotów świętego Ottona z Bambergu*, misjonarza Pomorza Zachodniego, wspominał z kolei o ozdrowieńczym źródełku wypływającym spod otaczanego czcią dębu, który rósł w Szczecinie. W tamtym czasie panował już w puszczańskich ostępach Słowian zapożyczony zapewne od Bałtów wszechmocny Perkun – „Dębowiec" (dąb – bałtyckie *perkunas*, łac. *querqus*) władający najpotężniejszą w lesie bronią – gromem wzniecającym pożary, zabijającym największych siłaczy. Pod jego opieką dusze zmarłych siedziały na gałęziach niczym kury na grzędzie, bezpieczne i syte. Dlatego prasłowiańskie zaświaty nosiły również nazwę raj, a także wyraj, po czym pamiątką jest choćby północnomazowiecki Rajgród, położony pośród nadgranicznych puszcz. Jeszcze wcześniej w IX wieku ibn Rosteh pisał o Słowianach podlegających władzy Awarów: „Mają oni, blisko swej stolicy, gigantyczne drzewo niczego nierodzące. Lud zbiera się wokół niego w każdą środę, by zawiesić na nim wszelkiego rodzaju dary. Pada przed nim na twarz i składa u jego stóp ofiary".

Upadek nadrzecznych drzew zdarzał się najczęściej podczas wiosennych powodzi, a porwane przyborem wód pnie osiadały zazwyczaj pośród bagiennych rozlewisk i moczarów, w które

obfitowały niegdyś słowiańskie ziemie. W starosłowiańskiej zaś wyobraźni puszczańskie bagna i rozlewiska, mistrzowsko opisane przez Adama Mickiewicza w jednej z ksiąg *Tana Tadeusza*, tworzyły najbardziej niedostępny krąg zaświatowej przestrzeni. Niedostępne, zdradliwe trzęsawiska stanowiły królestwo zmarłych, do którego dostępu broniły demony wodne – wiły, topielice, rusałki i wodniki. Jak przystało na krainę zmarłych nadal nie brakowało tam świń, strażników dusz tam przebywających. Jak donosił etnograf Franciszek Kotula, jeszcze na początku XX wieku odgrywały z godnością powierzoną im rolę. „Świnie były błogosławieństwem ludzi. Faktycznie żyły na wpół dziko, nie mogły bowiem być żywione w gospodarstwach, gdzie często brakowało jedzenia dla ludzi. Już na wiosnę ledwo podchowane prosięta wespół ze starszymi okazami wypędzano, znacząc je, na moczary, gdzie czarne od błota, niczym diabły, żywiły się ślimakami i piskorzami". Na śródbagiennych grądach, piaszczystych wyspach pogańscy Słowianie często zakładali cmentarzyska, uznając, że stamtąd dusze ich zmarłych przodków mają najbliżej do nawi. Prowadziły tam ukryte ścieżki i chybotliwe pomosty znane jedynie wtajemniczonym. Zioła zebrane w tych miejscach – czarcie żebro (ostrożeń warzywny), żywokost, rdest, szalej jadowity – miały szczególną moc. Często też zapalano tam wielkie ogniska, aby wyziębione dusze zmarłych przebywające w mrocznych zaświatach mogły się ogrzać. Pozostałości takiej „ogrzewalni" odkryli archeolodzy w sercu Mazowsza, w Radzikowie koło Czerwińska, gdzie na szczycie morenowego wzgórza, wznoszącego się niegdyś pośród nieprzebytej, bezludnej puszczy, odnaleziono grubą warstwę popiołów, ślad długotrwałych palenisk.

Tajemne związki Słowian z ukrytą pośród puszcz i bagien krainą zmarłych nie ustały zresztą natychmiast po przyjęciu

chrześcijaństwa. Jeszcze w XII wieku ruski mnich donosił z oburzeniem o niecnych zwyczajach swych „owieczek": „Mniemają się chrześcijanami, a pogańskie dzieła czynią; nawiom łaźnię czynią i popiół pośrodku bani sypią i czyniąc dla wróżby mięso i mleko, masło i jaja, biesom podkładają i lejąc wodę, każą im się myć, wieszając w bani płaszcz i ręcznik (czechoł i ubrus). Biesy zaś śmiejąc się z ich złego umysłu, paprają się w tym popiele i ukazują ślad swój im na zwiedzenie. Oni zaś widząc to, odchodzą i sami jedzą i piją to, co z przepowiadania zostało, czego się nawet psom jeść nie godzi". Inny kaznodzieja twierdził z kolei, że zatwardziali w pogańskich grzechach ludzie skorzy są nawet do oddawania czci roślinom takim jak czosnek, gdyż: „Jeśli u którego będzie pir (uczta) albo brak (wesele), czynią to z bębnami i piszczałkami, i z wielu dziwami diabelskimi, a inne od tego jeszcze gorsze jest: Udziaławszy z ciasta członek męski, wkładają go w wiadro wraz z czosnkiem i wyjąwszy, oblizują go i całują, a wodę pijąc, twierdzą, że takim pożywieniem oczyszczają się z grzechów, i dlatego powinni być bardziej przeklęci od wszystkich poganów".

Te uchwycone w krzywym zwierciadle chrześcijańskich relacji prasłowiańskie zwyczaje to jedynie okruchy wielkiej budowli, jaką był zaginiony dziś duchowy świat pradawnych Słowian. Na ich podstawie można już jednak zauważyć, że kontakty i porozumienia naszych odległych przodków z siłami nadprzyrodzonymi, z mocą duchową Świata i Ziemi odbywały się na innej zasadzie niż nasza. Bardziej skupione były na doraźnej codzienności, którą ceniły i przeżywały tak głęboko i w zachwyceniu, jakby to był Cud, na który chrześcijanie oczekują po śmierci. Dlatego nasi przodkowie najbardziej cenili wiedzę starców i dzieci, bo pierwsi wyzbyci już byli przyziemnej pokusy świata mącącej prawdę, drudzy, bo jeszcze jej nie zaznali, czyści i niewinni. Towarzyszyły im młode kobiet,

które po wiosennych roztopach nago kładły swą jasną skórę w czarne bruzdy zaoranej ziemi, aby jej płodność połączyć ze swoją, wzmóc ją, obudzić. Mocy dostarczał ciemny las, który Słowianie opuścili najpóźniej spośród wszystkich Indoeuropejczyków. Tam mieszkał ich sprzymierzeniec, duchowy bliźniak prowadzący przez kręte ścieżki życia. Tam też za wielką rzeką rozciągała się nawia, kraina zmarłych, ale także kraina życia, bardziej realna niż doświadczany zmysłowo podczas krótkotrwałego życia świat uznawany za realny. Jak zauważył Lubor Niederle, czeski słowianoznawca: „Dawny Słowianin żył przede wszystkim w otoczeniu duchów równorzędnych jemu znaczeniem i siłą. Wypełniały one równomiernie i ożywiały cała przyrodę w jego otoczeniu". I wbrew późniejszym etnograficznym opisom z XIX i XX wieku świat ten nie był jeszcze przepełniony tłumem istot demonicznych: zmorami, topielicami, wiedźmami, wampirami, skrzatami i ubożętami, całą menażerią chłopskiej wyobraźni czerpiącej z dorobku kościelnych kazań i wstrząsających opowieści literatury jarmarcznej. W szumie liściastych koron leśnych dostojników przemawiali do naszych przodków bogowie, którzy ostrzegali, dawali rady lub po prostu ujawniali obecność. Tam rodził się, powstawał prywatny mit każdego Słowianina, jego osobista opowieść prowadząca go przez życie i wytyczająca jego los. Aż do jego zakończenia, kiedy dusza, opuszczając słabnące ciało, wcieli się w kiełkujące drzewo.

Jedynym obdarzonym mocą, choć niewszechmocnym, bóstwem Słowian było Słońce, często utożsamiane w czasach chrześcijańskich z Bogiem Ojcem Stworzycielem Świata. Słońce jest twarzą lub okiem Boga, twierdzili Słowianie. Gdy je widzieli wschodzące, robili znak krzyża, a gdy modlili się, ku niemu zwracali twarz. Ruski książę Włodzimierz Monomach jeszcze w X11 wieku w *Pouczeniu*

skierowanym do swoich synów zalecał, aby, wstawszy o poranku, „oddali chwałę Bogu, a następnie i wschodzącemu Słońcu, a ujrzawszy je, chwalili radośnie Boga, mówiąc: Oświeć oczy moje, Chryste Boże". Pośród obserwowanych jeszcze w X1X wieku oznak solarnego kultu był zakaz stawania tyłem wobec Słońca, oddawania w jego kierunku moczu i wyrzucania śmieci, przeklinania w jego obecności i pokazywania go palcem. Wszelkie prace w polu wykonywano „za Słońcem", zgodnie z jego ruchem po nieboskłonie. Przysięga na Słońce praktykowana w średniowieczu wśród Słowian połabskich miała szczególnie wielką moc.

Wysłannikiem Słońca i dobroczyńcą ludzi był ogień. Jego kult sięga odległych tysiącleci europejskich pradziejów, a szczególnymi wielbicielami tego żywiołu jawią się 1ndoeuropejczycy, gdziekolwiek by nie dotarli, od południowych stoków Himalajów po Atlantyk. Od połowy 11 tysiąclecia p.n.e. właśnie ogniowi powierzali to, co mieli najcenniejsze – zmarłych członków społeczności. Ogień otaczano bojaźliwą czcią, wiedząc, jak może być kapryśny i niebezpieczny. Zarówno jego krzesanie, jak i utrzymanie było tego świadectwem. W XIX wieku, gdy pojawiły się fabryczne zapałki, na wsiach białoruskich zapalano go od skałki, czyli krzemienia, a nawet, jak czynili to pasterze huculscy, gdy wiosną wypędzali swe stada na połoniny i rozpalali pierwszą watrę, przy użyciu starożytnego świdra ogniowego. Gdy błysnął pierwszy płomyk, odmawiali *Ojcze nasz* i powiadali: „Niech będzie pochwalone światło, nasz święty ogień". Dowodem tego kultu są liczne znajdowane już w grobach średniowiecznych chrześcijan żelazne krzesiwa wkładane im tam, aby mogli rozświetlić mroki zaświatów. Są nim również relacje XIX-wiecznych etnografów, z których jedną przytacza Kazimierz Moszyński w pierwszym tomie

Kultury ludowej Słowian. Opowiada o znanym na całą okolicę cieśli z Polesia w pobliżu Rzeczycy, który na łożu śmierci wyjął krzesiwo i usiłował krzesać, choć ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Widząc to, jeden z obecnych zapalił łuczywo zapałkami i włożył w ręce starca. Ten jednak odrzekł: „Nie potrzeba mi waszego ognia na tamten świat; ja chcę zobaczyć ostatni raz boży ogień ze świętego krzemienia". Gdy po kilku godzinach zmarł, włożono mu do trumny krzemień, krzesiwo oraz hubkę, aby miał je, jak chciał, na pośmiertną drogę.

We wsiach czynność rozpalania ognia największy dramatyzm osiągała nie rankiem, gdy dzienne światło wlewa się do chaty, zapowiadając nowe życie, ale o zmierzchu, podczas tej najbardziej niezwykłej pory, gdy dzień zmaga się z nocą i gdy przez chwilę, korzystając z tej niejednoznaczności, ukazuje się wąska szpara wiodąca do światów odmiennej rzeczywistości, niedostępnych zmysłom, ale przecież realnych i przeczuwanych. Wtedy to w chacie milkły nagle rozmowy, a w obejściach cichły zwierzęta, zmierzch wkraczał uroczyście, tajemniczo i dostojnie. Zniewalał i domagał się powagi. Wszystko zamierało na chwilę, przeżywając przemianę świata, wpatrując się w podszewkę rzeczywistości. Gospodarz tymczasem przystępował do wygaszonego w ciągu dnia paleniska, odnajdował okruch żaru, okładał go trzaskami i przeżegnawszy się, przystępował do dmuchania, czyli wskrzeszania ognia, czyli przywracania światu zmysłowej oczywistości.

Najważniejsze jest pytanie, gdzie podziały się teraz te rozliczne duchy, demony, krasnale i niebożęta nieprzerwanie towarzyszące w dziennym i nocnym życiu naszych przodków. Czyżby były – jak chcą tego współcześni, trzeźwi komentatorzy rzeczywistości – jedynie tworami bezkrytycznej, prymitywnej wyobraźni niemającej oparcia w nauce? Czy jak chciał tego Carl G. Jung były tylko

„stanami pierwotnego umysłu", stanowiły projekcję archetypowej jaźni głęboko ukrytej w zbiorowej, gatunkowej nieświadomości? Czy w końcu jest możliwe, że istniały i istnieją realnie nadal w jednym z równoległych, odrębnych światów, a teraz schodzą nam z oczu oślepione elektrycznymi światłami naszych miast i zimnym telewizyjnym blaskiem naszych ograniczonych umysłów? I gdzie się podziała mądrość i wiedza naszych dawnych przodków, dla których wszystkie te istoty były tak codziennym elementem rzeczywistości jak kamień czy powietrze? Jak ją odzyskać, odnowić ów życiodajny związek?

Dziś naszymi pośrednikami pomiędzy ową tajemną i sprawczą mocą są bogowie i święci, oni tego nie potrzebowali, gdyż mieli bezpośrednią łączność ze strefami dla nas niedostępnymi. Ludzie ci żyli z duchami i demonami za pan brat, spotykali je na co dzień, w domu, w lesie, na polu i w ogrodzie. Przy źródle oczekiwał na nich duch źródła, z listowia przemawiała do nich nimfa, którą starożytni Grecy nazywali driadą – nimfą drzewa, w górach napotykali okrutne olbrzymy, a w dolinach chętne do pomocy i pogawędki krasnale i trole. Mogli wstępować do nieba, odbywać szamańskie loty, rozmawiać ze zmarłymi. Śnili nieustanny sen na jawie, ich umysł, jego prawa półkula – odpowiedzialna za myślenie mistyczne, mityczne, poetyckie, nieustannie wyświetlała za pośrednictwem ich oczu barwny film, który oni odbierali jako prawdziwy obraz rzeczywistości, tak prawdziwy i oczywisty, jakim wydaje nam się świat postrzegany przez nasze zmysły i opisywany przez nasz umysł, w którym dominującą i wiodącą rolę odgrywa trzeźwa i logiczna półkula lewa.

Ten rodzaj postrzegania świata skończył się na skutek zmian cywilizacyjnych, a także zmian w ludzkim mózgu, w jego sposobie percepcji. Najwcześniej przemiana ta nastąpiła w starożytnej Grecji,

gdzie już w V wieku p.n.e. „odczarowano świat" przez rozwój myśli racjonalnej, krzewionej przez wielkich filozofów przyrody – Talesa z Miletu, Anaksagorasa, Heraklita – wspieranych przez filozofa podejrzeń – Sokratesa. To za ich sprawą bogowie, dotychczas goszczący pośród ludzi, schronić musieli się w niebie, bo na ziemi zabrakło dla nich miejsca. Coraz większe też znaczenie w pracy ludzkiego umysłu zaczęła odgrywać lewa półkula mózgu odpowiedzialna za krytycyzm i racjonalizm. Według tego myślenia tamten świat był tylko urojeniem rozstrojonego umysłu. Od tej pory znikł fantastyczny sen wyświetlany z ludzkiego mózgu za pośrednictwem oczu i uszu. Dziś zastąpiły go filmy realizowane na podstawie książek Tolkiena, wyświetlane na kinowych i telewizyjnych ekranach, ale są one jedynie namiastką tamtych wstrząsających, pełnych mocy i bezpośredniego uczestnictwa snów śnionych na jawie. Bo w porównaniu z emocją, jaką niosło spotkanie twarzą w twarz z Zeusem albo Perkunem, z duchem drzewa lub kamienia, nawet najbardziej fantastyczny obraz produkowany przez nasze „fabryki snów" wypadnie blado i nieprzekonywająco.

Słowianie z racji swego oddalenia od centrów, cywilizacyjnego spowolnienia, najdłużej z ludów Europy zachowali ową archaiczną wrażliwość i jeszcze w połowie XX wieku, jak opisuje to Edward Redliński w *Konopielce*, napotykali bogów wędrujących przez świat. Byli to już wprawdzie bogowie chrześcijańscy, a nie pogańscy, ale praca prawej półkuli umysłu była ta sama i ten sam świat co dawniej wyświetlały oczy. Chrześcijaństwo jednak, jak twierdził Max Weber, doprowadziło do ostatecznego „odczarowania" świata w całej Europie. Skoro bowiem jest jeden wszechmocny Bóg oddalony i niedostępny dla śmiertelnych, świat przestaje być domeną wielorakich sił duchowych, nie ma już

świętych gajów, drzew, zwierząt, smoków i olbrzymów. Istnieje tylko świat ziemski, materialny, oddany ludziom we władanie. Zbliżająca się ekologiczna katastrofa jest tego owocem. Powrót do dawnego politeizmu, do utraconego „widzenia", czyli odbierania rzeczywistości nie tylko na poziomie zmysłowo-rozumowym, ale także z pomocą podi nadświadomości, wydaje się jedyną szansą ratunku i ponownego zaprzyjaźnienia się z przyrodą i światem. Żywa ciągle myśl Wschodu, odradzające się tradycje szamańskie i pogańskie dają nadzieję. Warto pamiętać, że słowiańska kultura przechowała najwięcej w Europie pamiątek z czasów, gdy „bogowie wędrowali po ziemi", a kamienie, drzewa i zwierzęta przemawiały ludzkim głosem.

SPOSÓB NA ZDROWIE

Wczesnośredniowieczni kronikarze obserwujący początki kariery Słowian na europejskiej arenie nie mieli najlepszej opinii o poziomie zdrowia i higieny naszych przodków. Grek Prokopiusz z Cezarei zapisał, że Sklawinowie żyją w brudzie, Anglosas Winfryd Bonifacy donosił królowi Anglii o Wenedach jako o „najszpetniejszym i najlichszym spośród odmian rodzaju ludzkiego", a Żyd z arabskiej Hiszpanii, Ibrahim ibn Jakub, zauważył, że „wszyscy Słowianie cierpią na wysypki". Tę zgodną obserwację potwierdzają również w sposób wymowny archeolodzy. Nawet Józef Kostrzewski, niezłomny obrońca dobrego imienia naszych praojców, przyznawał: „Jeśli chodzi o plemiona prapolskie, to cierpiały one na wrzody, zwane też czyrakami, z których po dojrzeniu wyciskano rdzeń (pierwotnie drzeń) wraz z ropą, miewali też pryszcze i krosty (imię polskie Krostawiec zjawia się u nas w r. 1136 w bulli Inocentego III). Wrzody i krosty nazywają też Polanie nieżytami (tym, co nie żywi człowieka), później słowo to nabrało znaczenia choroby, szczególnie kataru. Trapiły ich nieraz parchy zwane też świerzbem i liszajem, wyrastały

im brodawki, czyli kurzajki, i miewali jęczmień na oku (...). Leczeniem chorób – ciągnie Kostrzewski w *Kulturze prapolskiej* – zajmowali się u plemion prapolskich «mądrzy», zwani wróżami, czyli lekarzami. Wyraz «lekarz» jest starą pożyczką z języka gockiego (*lekeis*), który zapożyczył ten wyraz z języka celtyckiego. W obydwu oznacza on właściwie zamawiacza, ma więc to samo znaczenie, jakie miał pierwotnie rodzimy południowosłowiański wyraz «balij» oraz wspólny Słowianom wschodnim i południowym wyraz «wracz», co tłumaczy się tym, że leczenie u Słowian wczesnohistorycznych było równoznaczne z zamawianiem choroby". Zamawianie polegało na próbach przestraszenia choroby i skłonienia jej do opuszczenia ciała pacjenta. Dlatego potrząsano nim, krzyczano, straszono ogniem i żelazem. „Obok tych praktyk przesądnych – pisze Kostrzewski – stosowano też w lecznictwie zabiegi rozsądne, jak podawanie środków przeczyszczających lub powodujących wymioty, mięsienie (masaż), stawianie baniek (z rogu bydlęcego lub garnka), używanie pijawek, puszczanie krwi i łaźnię leczniczą, ale stosowano zabiegi te nie zawsze właściwie, a cel ich często rozumiano inaczej niż medycyna naukowa".

Prawdziwymi jednak pogromcami leczniczych mądrości i zabiegów dawnych Słowian okazali się etnografowie, badacze tradycyjnej medycyny ludowej. Według nich lecznicze umiejętności naszych przodków to stek absurdów i przesądów bardziej szkodzących choremu niż przynoszących ulgę, prowadzących prostą drogą do śmierci. Wydana w 1929 roku praca *Lecznictwo ludu polskiego* autorstwa lwowskiego etnografa Henryka Biegeleisena napełnić może przerażeniem serce każdego, kto chciałby powierzyć swój los ludowym terapeutom. „Lecznictwo ludu polskiego – czytamy we wstępie – to pstra mozaika złożona z kamyków należących do różnych epok; spotykamy tu obok przeżytków z doby

przedchrześcijańskiej reminiscencje z czasów rzymskich i szczątki średniowiecznej magii przeciągającej się do XIX wieku. Na skarbnicę sztuki leczniczej naszego ludu złożyły się obok praktyk grubej empirii, rodzicielki medycyny doświadczalnej, również mistyczne wyobrażenia o chorobie. Jako najważniejsze przyczyny chorób uznawane są przez naszych włościan: dopust Boży, nasyłanie złego ducha, przekleństwo, czary, uroki. Chorobę raka zaszczepia mucha, która siedziała na zdechłym raku, reumatyzmu zwanego prystrytem dostaje się w mniemaniu ludu ukraińskiego, gdy kto bosą stopą nastąpi robaka, który wierci w drzewie lub ziemi, kurzą ślepotę dostają ci, co na śmietnisko koło chaty nastąpili".

Równie dziwaczne i szkodliwe są według Biegeleisena ludowe zabiegi lecznicze. Ukąszenie żmii leczono na przykład w sposób następujący: „Zawieszano żmiję u pułapu, siekąc ją rózgami i zbierając w podstawione naczynie ślinę z jadem, którą stosowano jako lekarstwo". Uważano też, że: „Rana pochodząca od ukąszenia psa wściekłego goi się najprędzej pod popiołem upalonym z sierści tego samego psa. Narośl twardą na ciele, zwaną wilczym mięsem, wyleczyć – wygryźć może jedynie człowiek, który jadł w życiu swym wilka. Na wrzód zwany świniakiem przykładają świńskie łajno lub słomę, na której leżał wieprzek. Wrzód na nodze zwany żydówką leczą ocieraniem chorej części ciała o Żydówkę. Przeciw zatwardzeniu jedzą jajo na twardo. Krowę chorą na żabę (choroba jamy ustnej) leczyły baby w Brzeskiem w 1869 roku, wpuszczając krowie do gardła żywą żabę". Pośród dziwacznych leków ludowej medycyny Słowian istotną rolę odgrywały ekskrementy zarówno ludzkie, jak i zwierzęce: „Każą, aby gnojem końskim niewieście kadzić pod nos, by płód umarły z żywota (brzucha) wyrzuciła. Psie łajno jest też skuteczne na bolączki w gardle, te same właściwości

ma też posiadać łajno dziecięcia. Do dziś radzą włościanie z okolic Czerska na ból gardła płukanie wodą warzoną z psim łajnem, a na zapalenie oczu przykładają gnój krowi przez gałganek. Także w Radomskim podają jako lek przeciwko febrze psie łajno i tłumaczą to tak: chory o tym nie wie, co tam było moczone, a choroba sobie obrzydzi i wyjdzie z niego. Najskuteczniejszym lekiem przeciw febrze uważany jest jednak mocz koński, od klaczy dla kobiety, koński dla mężczyzny. W Cechach radzą smarowanie pomiotem jaskółczym i psim, Rumuni zażywają proszki z psich odchodów z miodem. Huculi leczą dyfterię okładami z ekskrementów świńskich".

Ponury obraz higieny i medycyny dawnych Słowian zaprezentowany przez kronikarzy, archeologów i etnografów wprawiać może w przerażenie i pozwala dziwić się, jakim cudem lud ten nie wyginął z kretesem od brudu i zbrodniczych przesądów. A przecież wiemy, iż nie tylko, że nie wyginął, ale doskonale radził sobie na progu europejskiej kariery, prezentując tężyznę fizyczną zarówno w pracy, jak i w boju oraz nieustannie pomnażając swą liczebność. Musiały być więc również jakieś źródła i okoliczności gwarantujące ową witalność i płodność słowiańskiej populacji. A dowodów na ich istnienie dostarczają znowu tak dawni, jak i współcześni autorzy.

Ibrahim ibn Jakub z podziwem opisywał słowiańską łaźnię parową, urządzenie higieniczne nieznane w krajach południa, a do dziś cieszące się doskonałą opinią wśród medyków: „Budują oni piec z kamienia w jednym rogu chaty, którą nazywają izbą, i wycinają w górze na wprost niego okienko dla ujścia dymu. Na kamieniach palą ogień, a gdy się one rozgrzeją, polewają je wodą i nadzy pogrążają się w kłębach pary. Wówczas – ciągnie zdumiony podróżnik – otwierają się im pory i wychodzą zbędne

substancje z ich ciał. Płyną z nich strugi potu i nie zostaje na nich ani śladu świerzbu czy strupa". Istnienie łaźni parowych potwierdzają też wykopaliska archeologiczne prowadzone na stanowiskach wczesnośredniowiecznych, a kronikarze donoszą, iż urządzenia te odgrywały we wczesnosłowiańskiej kulturze rolę daleko wykraczającą poza zagadnienie cielesnej czystości. Używali ich również, niekiedy w sposób okrutny, ówcześni władcy do szerzenia czystości moralnej, przez którą rozumieli całkowite podporządkowanie się ich woli. Gall Anonim, opisując dobroć i wspaniałomyślność Bolesława Chrobrego, wspominał, jak władca ów zapraszał do wspólnej kąpieli wielmożów i dobrotliwie chłostając ich łaziebną rózgą, namawiał do porzucenia błędów. Nestor zaś opisał zemstę, jakiej dopuściła się kijowska księżniczka Olga na Drewlanach, którzy wcześniej podstępnie zamordowali jej męża 1gora. Zaprosiła ich mianowicie do siebie na ucztę, twierdząc, że chce zakończyć konflikt. „Gdy zaś Drewlanie przyszli – czytamy w *Powieści minionych lat* – nakazała im Olga przygotować kąpiel wedle zwyczaju. Napalono łaźnię, weszli Drewlanie i zaczęli się myć. Zamknięto wtedy za nimi drzwi i nakazała Olga podpalić łaźnię. I tak wszyscy zgorzeli". W tym przypadku oczyszczające działanie parowej sauny zarówno w wymiarze cielesnym, jak i moralnym miało skutek zaiste radykalny.

Nasi przodkowie byli też znawcami medycyny określanej dziś jako naturalna. Przede wszystkim byli wytrawnymi zielarzami. Przyznaje to nawet krytyczny wobec słowiańskiej medycyny Józef Kostrzewski. „Wśród środków leczniczych – powiada – stosowanych przez ludność prapolską główną rolę odgrywały zioła. Najchętniej stosowano rośliny kłujące (oset), parzące (pokrzywa) czy gorzkie (piołun), chcąc w ten sposób wystraszyć chorobę. W przypadku innych ziół, na przykład ślazu, którego korzenie stanowią lekarstwo

na kaszel, czarnych jagód leczących biegunkę, maku służącego jako środek nasenny, można by wprost przypuszczać, że używane były na podstawie wielokrotnego praktycznego wypróbowania ich działalności leczniczej. Uderza, na co uwagę zwrócił Kazimierz Moszyński, że wszystkie zioła lecznicze o nazwach ogólnosłowiańskich używane do dzisiaj przez nasz lud, a których znajomość sięga doby prasłowiańskiej, uznawane są lub jeszcze były do niedawna jako lekarstwa przez medycynę ludową. Należą do tej kategorii, poza wymienionym już ślazem, gorzekwiat (*Adonis vernalis*); kopytnik (*Asarum europem*) – stosowany przeciw epilepsji; rosopaść (*Chelidonium maius*) – używany przeciw brodawkom i liszajom, a także przeciw febrze; biedrzyniec (*Pimpinella anisum*); duszka względnie macierzanka (*Thymus serpyllum*) – lecząca niegdyś, jak nazwa wskazuje, choroby macierzy, czyli macicy; mięta (*Mentha piperita*), której nazwa jest pożyczką słowiańską z łaciny; odolan (*Valeriana oficinalis*), którym leczono niedomagania nerwowe i sercowe; podbiał (*Tusillago fanfara*) – stosowany na kaszel i gojenie ran; piołun (*Artemisia absintum*) – na choroby żołądka i przeciw febrze; wrotycz (*Chrysanthemum vulgare*) – środek przeciw robakom; oman (*inula helenium*) – używany do różnych celów, nazywany do dziś wielkim zielem. Oprócz tych roślin o nazwach wspólnych wszystkim Słowianom Polanie używali też, jak się zdaje, innych ziół, stosowanych też przez dzisiejszą medycynę, na przykład krwawnika (*Achillea millefolium*) – stosowanego we wszystkich chorobach związanych z upływem krwi, dziurawca (*Hypericium perforatum*) o podobnym zastosowaniu, bylicy (*Artemisia vulgaris*), babki (*Plantago lanceolata*), której liście przykładano na rany cięte i oparzenia, oraz wielu innych roślin, wśród których znajdują się i trujące jak słodgórz (*Sloanum dulcamara*), wilcze łyko (*Daphne*

mazerum), ciemierzyca (*Veratorum album*). Niektóre z roślin leczniczych, jak krwawnik, przepłoch czy przywrotnik przywracający utracone panieństwo, już w nazwach swych wyrażają cel, do którego służą".

Tyle Kostrzewski, ale przecież na tym nie koniec skutecznych i dziś cenionych przez lekarzy zabiegów medycyny naturalnej dawnych Słowian. Bo nie bez powodu na zaognione rany słowiańscy znachorzy przykładali chleb zmieszany z pajęczyną zawierającą penicylinę, a dla tych, których „trzęsła febra", sporządzali wywar z tartej kory wierzby zawierający kwas askorbiosalicylowy, najważniejszy składnik dzisiejszej aspiryny. A dla tych, którzy słabowali, kaszlali i skarżyli się „na robaki" w brzuchu i niemoc w sprawach miłosnych, mieli uniwersalny, ceniony już przez starożytnych Sumerów i Greków, pospolity czosnek pełen witamin i substancji antybakteryjnych. Zarówno jako lek, jak i afrodyzjak czosnek używany był także w praktykach magicznych jeszcze w XIX wieku. W Karpatach za szczególnie skuteczny uznawano ten, który wyrósł z ząbka umieszczonego w paszczy żmii i wsadzonego do ziemi przed wschodem słońca.

Równie ważną rolę odgrywała w jadłospisie Słowian cebula, ceniona nie tylko dla walorów podnoszących smak potraw, ale też ze względu na jej działania profilaktyczne i wzmacniające organizm oraz właściwości lecznicze, od zatruć i przeziębień poczynając, na chorobach skóry kończąc. „Cebula cierpienia utula" powiadali nasi przodkowie, a Słowianie wschodni, jeszcze więksi miłośnicy i zjadacze tej byliny, twierdzili, że „cebula i łaźnia wyleczą człeka ze wszystkiego". Ceniono również pokrzywę, przede wszystkim za jej właściwości odżywcze i chętnie przyrządzano z jej młodych pędów sałatki skutecznie leczące wiosenne osłabienia. Z podobną ochotą wypijano na wiosnę napary z mięty pieprzowej i czarnego bzu.

Na zimę przygotowywano się, sporządzając kiszonki, nie tylko z popularnej i dziś kapusty oraz ogórków, ale także z wielu innych jadalnych roślin, nie tylko uprawnych, ale i dziko rosnących. Nie obce też były dawnym Słowianom trucizny używane jako leki homeopatyczne. Należały do nich: szalej (*Cicuta vivosa*) zalecany przy reumatyźmie, wspomniana już ciemierzyca (*Veratum album*) zmieszana z miodem stosowana na pasożyty żołądka, bieluń dzięd zierzawa (*Datura stramonium*) – leczący astmę i epilepsję, lulek czarny (*H yoscyam us niger*) zwany też szalejem lub blekotem – uśmierzający ból, wilcza jagoda zwana pokrzyk (*Atropa belladonna*) – wykorzystywana przy bólach głowy. Łącznie dawni Słowianie znali lecznicze i profilaktyczne zastosowanie kilkuset ziół i dzięki nim potrafili dbać o zdrowie, zanim je utracili.

Zdrowie, żywotność i dobrą kondycję zawdzięczali też dawni Słowianie... wytrwałemu chodzeniu. Byli wielkimi chodziarzami, co zgodnie podkreślają wczesnośredniowieczni kronikarze. Nie było to jednak tylko zwykłe przemieszczanie, żmudne zmierzanie do celu. Nasi przodkowie uprawiali marsz mocy, w którym rytm kroków odpowiadał rytmowi oddechów wypełniających ich ciała ożywczym strumieniem kosmicznej energii. Dzięki niej wędrować mogli prawie bez końca, nie odczuwając zmęczenia, wprowadzeni w medytacyjny trans, włączeni w wielki rezerwuar mocy kosmicznej, tak jak dawni rodzimi mieszkańcy Ameryki Północnej, australijscy Aborygeni czy saharyjscy i afgańscy nomadzi. Tylko dzięki temu, że potrafili wykorzystać powietrze jako „doskonałe i pełnowartościowe pożywienie" wypełniające ich ciała kosmiczną mocą, mogli przetrwać w warunkach ekstremalnie trudnych, w których najlepiej wyposażone wyprawy europejskich odkrywców kończyły się często katastrofami. Do dziś ten rodzaj regeneracji psychofizycznej zdobywający popularność w cywilizacji

zachodniej nosi nazwę „marszu afgańskiego". Słowiański marsz mocy również sprawiał, że wędrowcy przemieniali się w pełne harmonii cząstki wszechświata. Idąc, czerpali moc z Matki Ziemi, po której kroczyły ich stopy, z powietrza będącego ożywczą, choć niewidzialną materią świata, jego ruchliwym eterem, ze Słońca, którego energia nieodzowna do życia wzmacniała ich ciała. Mogli tak wędrować aż na koniec świata, a gdy tam docierali, zapadali w długi, głęboki i ożywczy sen, który tak jak marsz przynosił im zdrowie i wyprawiał do krainy duchów, skąd wracali mądrzejsi i bardziej szczęśliwi, gdyż wiedzieli, że nie wszystko przemija, a ich przodkowie żyją nadal – choć odmienionym życiem.

NIEZWYKŁE SŁOWIANKI

Średniowieczni kronikarze, wyczuleni na wszelkiego rodzaju dziwy i odrębności kulturowe współczesnych im ludów, już w chwili pojawienia się Słowian na europejskiej arenie zwrócili uwagę na wysoką, nieznaną gdzie indziej pozycję społeczną kobiet. Pierwszy, którego głos w tej sprawie dotarł do naszych czasów, był Priskos z Panionu (w Tracji), żyjący w V wieku bizantyjski intelektualista, historyk i wysoki urzędnik cesarski. W 446 roku uczestniczył w poselstwie cesarza Teodozjusza II (408–450) do władcy Hunów Attyli, który przebywał wówczas na przypominającej dobrze mu znane azjatyckie stepy Nizinie Panońskiej, gdzie zwyczajem koczowników ustanowił ruchomą i tymczasową stolicę złożoną z jurt i namiotów. Bliższa lokalizacja tego osiedla nie jest znana, znajdować mogło się nad Cisą lub w okolicach dzisiejszego Budapesztu.

Priskos był bystrym i rzeczowym obserwatorem, dlatego obok trudów i niebezpieczeństw podróży, nazw mijanych rzek i łańcuchów górskich interesowały go przede wszystkim napotykane po drodze ludy. Nie znał ich prawdziwych nazw i dlatego ogólnie określał je jako Scytów, choć ci koczownicy już siedem wieków wcześniej zniknęli z mapy Europy. Wszyscy byli dla niego barbarzyńcami o kulturze i zwyczajach tak samo nieludzkich i dziwacznych. Na różnorodne plemiona zamieszkujące wówczas Trację, Mezję i Dację spoglądał podobnie jak później robił to XIX-wieczny europejski podróżnik przemierzający Czarną Afrykę, dla którego wszyscy napotkani tubylcy byli tak samo obcy i prymitywni. I dopiero lektura jego sprawozdania pozwala stwierdzić, że na swej drodze napotykał ludy bardzo różne, z których tylko Hunowie mieli coś wspólnego zarówno ze Scytami, jak i z ich koczowniczym trybem życia i gospodarowania. Prowadziły bowiem życie osiadłe i utrzymywały się z rolnictwa. „Po wsiach – czytamy u Priskosa – dostarczano nam żywności: zamiast chleba – prosa, a zamiast wina czegoś, co tam na miejscu nazywa się medos. Również towarzyszący nam słudzy otrzymywali proso oraz napój z jęczmienia; barbarzyńcy nazywają go kamon". Brak całkowitej pewności, kim byli ci napotkani przez Priskosa na terenie Tracji zjadacze prosa, ale z dużym prawdopodobieństwem właśnie to, a nie inne zboże pozwala przypuszczać, że posłowie Teodozjusza II napotkali na swej drodze forpoczty słowiańskich osadników, którzy właśnie w połowie V wieku z terenu Podola i Mołdawii zaczęli rozprzestrzeniać się na Bałkanach. Nie mogli to być dobrze znani Priskosowi poddani cesarscy, potomkowie zromanizowanych mieszkańców dawnych rzymskich prowincji, ci bowiem uprawiali pszenicę i upijali się winem, ponadto zaś można było się z nimi łatwo porozumieć, używając greki lub łaciny.

Innych, poza Słowianami, rolników w tamtych czasach w Tracji być nie mogło, ponadto zaś właśnie Słowianie w pierwszych wiekach swej ekspansji najchętniej uprawiali proso, co potwierdzają nie tylko znaleziska ziaren tego zboża (również jego odmiany zwanej ber) pośród pozostałości wczesnośredniowiecznych osad słowiańskich, ale też informacje ówczesnych podróżników i kronikarzy, jak wspominanego już Ibrahima ibn Jakuba. Donosi nam również o tym, że: „Słowianie upijają się napojem, który nazywają miód". A miód ten, prasłowiański *медь, to bez wątpienia zaopatrzony w grecką końcówkę „medos" z relacji Priskosa! I równocześnie jest to najstarsze słowiańskie słowo utrwalone w piśmie, słowo wymowne i pełne mocy, bo odnoszące się do oryginalnego słowiańskiego napoju alkoholowego, pośrednika ułatwiającego chwilowe rozluźnienie kontaktu z nazbyt niekiedy dotkliwą materią codzienności.

Podróżując do Attyli, miał też okazję Priskos zaznajomienia ze słowiańskimi kobietami. Okoliczności pierwszego spotkania były dramatyczne: „Odbywszy długą drogę, późnym wieczorem rozbiliśmy namiot nad stawem mającym wodę zdatną do picia, skąd czerpali ją mieszkańcy okolicznych wsi. Tymczasem zerwał się nagle wicher i burza z grzmotami, błyskawicami i ulewnym deszczem, które nie dość, że przewróciły nasz namiot, ale i cały nasz dobytek zmiotły do stawu. Przerażeni tym żywiołem rozbiegliśmy się w różne strony, gubiąc się w ciemnościach i deszczu. Dopiero w pobliżu wsi zebraliśmy się razem i wołając, szukaliśmy tych, co się zgubili. Głosy te usłyszeli Scytowie, którzy przybiegli do nas, świecąc pochodniami z pęków trzciny i pytając, dlaczego tak hałasujemy. Gdy usłyszeli o naszym nieszczęściu, zaprosili nas do swych chat i ogrzali, napaliwszy obficie trzcinami. Rządząca w tej wsi kobieta, a była to jedna z żon Bledy, brata Attyli, przysłała nam

posiłek i piękne kobiety na noc (taki jest scytyjski dar gościnności), my jednak podziękowawszy tym kobietom uprzejmie za jedzenie, które nam przyniosły, zrezygnowaliśmy z poufałości z nimi i posiedziawszy w tych chatach do rana, ruszyliśmy na poszukiwanie naszych rzeczy".

W taki oto niezwykły dosyć sposób Słowianki po raz pierwszy pojawiają się na kartach historii. Ich obraz jest ambiwalentny, łączący skrajności społecznej hierarchii. Jedne z nich są bowiem władczyniami, których rozkazów słuchają również mężczyźni, inne są nałożnicami ofiarowanymi mężczyznom dla ich przyjemności. To niezwykłe, niespotykane u innych ludów pomieszanie władczości i podległości Słowianek budzić będzie zainteresowanie również późniejszych obserwatorów, a w VIII wieku patriarcha konstantynopolitański Nicefor w *Zwięzłym zarysie historii* dorzuci do tej charakterystyki jeszcze jedną bulwersującą cechę. Opisując oblężenie swego miasta przez Awarów sprzymierzonych ze Słowianami (w 626 r.), zauważył, że moment najbardziej dramatyczny w tej batalii zdarzył się, gdy słowiańska flotylla zaatakowała miasto od strony Złotego Rogu. „Na szczęście – pisze Nicefor – doszło to do wiadomości patrycjusza Bonusa, który wysłał przeciwko nim flotę galer dwu- i trójrzędowych uzbrojonych w wyrzutnie ognia (sławny ogień grecki – Z.S.), a pozostałym okrętom nakazał płynąć pod przeciwległy brzeg Złotego Rogu. Uszło to uwagi Sklawów i dlatego wpadli w zasadzkę i zostali wytępieni, tak że od obfitości krwi woda morska przybrała kolor czerwony. A między ciałami poległych widziano także kobiety sklawińskie dzierżące w martwych dłoniach oręż", czyli czynnie uczestniczące w bitwie wraz z mężczyznami, co w tamtych czasach było nie tylko przejawem barbarzyństwa, ale wręcz odstępstwem od wszelkich zasad ludzkich. Równocześnie jednak ci sami

chrześcijańscy pisarze tamtych czasów kreślą obraz całkowicie odmienny, często zaprzeczając sobie nawzajem. Pseudo-Maurycy napisał, że „kobiety słowiańskie cnotliwe są ponad miarę", zaś pobożny Anglosas Winfryd, znany pod chrześcijańskim imieniem Bonifacy, przedstawił w tej kwestii konkretne argumenty. W liście pisanym w 745 roku do króla angielskiego Eltibalda opisał swą misyjną działalność wśród pogan zamieszkujących nad Łabą, na pograniczu germańsko-słowiańskim. W szczególności omawiał grzech rozpusty: „Nie tylko u chrześcijan, ale nawet u pogan hańba to i wstyd; bo i poganie nieznający prawdy Bożej dochowują swoim żonom wierności małżeńskiej, karząc rozpustników i cudzołóżców. Oto jeśli dziewczyna splami cudzołóstwem dom swego ojca albo jeśli kobieta zamężna, depcąc wiarę małżeńską, dopuści się cudzołóstwa, nieraz zmuszają ją do tego, aby sama się powiesiła, a po jej spaleniu nad wygasłym stosem wieszają uwodziciela. Kiedy indziej gromadzi się całe wojsko niewieście i kobiety te oprowadzają ją wysmaganą po okolicy, siekąc rózgami i obcinając jej szaty aż do pasa: tak tnąc i kłując ją swymi nożami po całym ciele, odsyłają pokrwawioną i poszarpaną drobnymi ranami ze wsi do wsi, a naprzeciw wybiegają wciąż nowe biczownice, gorliwe mścicielki obrażonej wstydliwości, i porzucają ją dopiero martwą lub na wpół żywą na postrach dla innych. A Winedowie (Słowianie – Z.S.), ten najszpetniejszy i najlichszy rodzaj ludzki, z taką gorliwością przestrzegają wzajemnej miłości małżonków, że kobieta, kiedy mąż jej umrze, nie chce żyć dłużej. I z uznaniem spotyka się u nich niewiasta, która własnoręcznie sobie śmierć zadaje i na jednym stosie płonie ze swoim mężem".

Te niezwykłe przymioty słowiańskich kobiet wprawiały w zdumienie wczesnośredniowiecznych pisarzy, szczególnie że, nie znając jeszcze plemiennych odrębności całej konstelacji ludów, które

podczas wędrówek ludów wtargnęły od wschodu do Europy, mylili je z kobietami scytyjskimi, a także huńskimi, gdyż w V wieku to właśnie Hunowie na krótko zorganizowali tę środkowoeuropejską, barbarzyńską mgławicę w groźną dla świata cywilizowanego potęgę. Władczość i wojowniczość Słowianek oraz ich identyfikacja z kobietami Scytów sprawiły też, że w wyobraźni wczesnośredniowiecznych intelektualistów odżył, podważany już w czasach imperium rzymskiego, mit Amazonek. Wszak to one, szokując patriarchalne społeczeństwo starożytnych Greków, „noszące oręż nieustraszone w boju dziewice", nazywane przez Homera w *Iliadzie antianeira* (te, które walczą jak mężczyźni), według Herodota zamieszkiwać miały w kraju Scytów nad Jeziorem Meockim, obecnym Morzem Azowskim. Tam miał je napotkać cesarz Persji Dariusz podczas nieudanej wyprawy przeciwko Scytom, a także Aleksander Wielki, ścigając pokonanego w bitwie pod 1ssos ostatniego władcę Persji Dariusza. Odwiedzić go miała wówczas w jego namiocie sama królowa Amazonek Talestris pragnąca mieć potomka z wielkim wojownikiem. Historia nie podaje dalszego biegu wypadków, ale o spotkaniach z nadczarnomorskimi Amazonkami wspominają również dwaj inni wielcy mężowie starożytności – Pompejusz i Cezar. Herodot twierdzi, że te waleczne kobiety chętnie wchodziły w związki małżeńskie ze Scytami, z którymi łączyła je namiętność do koni oraz walki i z którymi – zagrożone przez innych wojowniczych koczowników, Sarmatów – miały przenieść się na wschód i osiąść u stóp Kaukazu. Inna wersja mitu powiada, iż owi indoeuropejscy Sarmaci zwani też Sauromatami, uważani przez naszych staropolskich panegirystów za przodków polskiej szlachty, byli właśnie owocem miłosnych zbliżeń Scytów i Amazonek.

W czasach Prokopiusza z Cezarei (zm. w 562 r.) tego rodzaju spekulacje były jednak nie na miejscu, jego świat fascynowały inne zagadki i zagrożenia, dlatego wracając do przebrzmiałej legendy o Amazonkach, uznał, że mieszkając na dalekim wschodzie, Amazonki weszły w związki z mieszkającymi tam demonami i zrodziły najstraszliwszych najeźdźców, jakich poznał świat, przypominających wyglądem swych ojców, okrutnych Hunów. A raz przywołane z historycznego niebytu wojowniczki pozbawione prawej piersi (a-mazonas – greckie „bez piersi"), znów zaczęły objawiać się w różnych miejscach ówczesnego świata. Według Pawła Diakona (zm. 795 r.) lud Longobardów w zamierzchłych czasach, noszący jeszcze nazwę Vinilów, wędrując w poszukiwaniu nowej ojczyzny, napotkać miał gdzieś na północy Europy plemię walecznych kobiet. „Powiadają – donosił w *Historii Longobardów* – że kiedy przybyli nad pewną rzekę, gdzie ich zatrzymały Amazonki, król, pływając w rzece, stoczył walkę z najdzielniejszą spośród nich i zabił ją. W ten sposób zyskał dla siebie sławę, a dla Longobardów możliwość przejścia przez rzekę. Wcześniej bowiem oba szyki bojowe zawarły umowę, że jeśli wspomniana Amazonka zwycięży Lamissiona, Longobardowie odstąpią od rzeki; jeśli zaś zwycięstwo odniesie Lamission, co zresztą nastąpiło, Longobardom będzie wolno rzekę przekroczyć. Dobrze wiadomo – dopowiada sceptycznie kronikarz – że to opowiadanie jest mało prawdopodobne. Wszyscy bowiem znawcy dziejów wiedzą, że plemię Amazonek uległo zagładzie na długo przedtem, nim mogły się rozegrać opisane wydarzenia. Jednakże z uwagi na to, że miejsca opisanych wydarzeń nie były historykom dość znane i tylko niewielu z nich je opisało, mogło tego rodzaju plemię kobiece aż do tego czasu tam egzystować. Sam bowiem słyszałem relacje niektórych ludzi, że plemię tych kobiet żyje do dzisiaj w najdalszych zakątkach

Germanii". Najdalsze zakątki Germanii to również ziemie naszego kraju, jako że właśnie na Wiśle-Vistuli starożytni pisarze, jak Tacyt w *Germanii*, ustanawiali wschodnią granicę Germanii i Scytii, a później Sarmacji. Najnowsze zaś odkrycia archeologiczne potwierdzają, że aż do końca starożytności ziemie na lewym brzegu Wisły zamieszkiwały plemiona germańskie. Jest więc prawdopodobne, że owo krwawe spotkanie Longobardów i Amazonek rozegrało się właśnie w nurtach tej granicznej rzeki.

Lokalizację tę zdaje się potwierdzać inny niezbyt odległy od cytowanego historyczny przekaz, dzieło geograficzne *Opisanie świata* żyjącego w IX wieku króla angielskiego Alfreda Wielkiego. Autor ten wiedzę czerpał prawie wyłącznie z późnoantycznego opisu świata Pawła Orozjusza i między innymi na tej podstawie donosił: „A na wschód od Moraw jest kraj Wisła, na wschód zaś od nich jest Dacja, gdzie przedtem byli Goci. Na północny zachód od Moraw są Dalemińcy, a na wschód od Dalemińców są Chorwaci, na północ zaś od Dalemińców są Serbowie i na zachód od nich Susły. Na północ od Chorwatów jest kraj Maegda, na północ zaś od kraju Maegda są Sarmaci aż do gór Ryfejskich. Kraj Maegda oznacza tyle, co kraj kobiet". Pierwotne siedziby Chorwatów zwanych też Białymi Chorwatami, przed ich późniejszym osiedleniem nad Adriatykiem, archeolodzy i historycy umieszczają na terenie dzisiejszej Małopolski, kraj Maegda więc lokalizować można na terenie dzisiejszego Mazowsza, co w sposób tyleż zaskakujący co wiarygodny potwierdzają informacje późniejszych podróżników i kompilatorów. W drugiej połowie X wieku Ibrahim ibn Jakub, który najdalej na wschód dotarł zapewne do Pragi, donosił: „Na zachód od Burus leży Miasto Kobiet. Ma ono ziemię i niewolników, a one (kobiety) zachodzą w ciążę za sprawą swych niewolników. Jeśli która kobieta urodzi syna, zabija go. Jeżdżą

konno i osobiście biorą udział w wojnie, a odznaczają się siłą i srogością. Powiedział Ibrahim ibn Jakub Izraelita: wieść o tym mieście jest prawdą; opowiedział mi o nim Hotto, król rzymski (cesarz niemiecki Otto I – Z.S.)".

Kraj Burus początkowo identyfikowany był z bałtyckimi Prusami, obecnie bardziej prawdopodobna jest identyfikacja z krajem Rusów późniejszą Rusią. Potwierdzać to może kolejna wzmianka na ten temat zamieszczona w *Dziejach biskupów kościoła bremeńskiego* niemieckiego autora Adama z Bremy (zm. 1085 r.). Opisując śmierć świętego Wojciecha z rąk pogańskich Prusów, wspomina również o sąsiadującej z nimi Rusią: „Jest to ostatni, a największy kraj słowiański, który leży na końcu tej zatoki (czyli Bałtyku uznawanego wówczas za zatokę Morza Północnego). Dalej są również inne na tym morzu wyspy, pełne dzikich ludów, dlatego unikane przez żeglarzy. Mają tam zamieszkiwać Amazonki, który to kraj Ziemią Niewiast się zowie. Opowiadają niektórzy, że zachodzą one w ciążę dzięki przyjezdnym kupcom lub brańcom wojennym, lub wreszcie dzięki różnym potworom, których tam nie brak. I jest to zdaniem naszym najbardziej wiarygodne. Dzieci ich płci męskiej są Psiogłowcami, płci żeńskiej natomiast najpiękniejszymi niewiastami. Psiogłowcy mają głowy na piersi, można ich często spotkać na Rusi jako brańców i wydają głos szczekający". Jeszcze większą dokładnością lokalizacji północnych siedzib Amazonek poszczycić mógł się arabski erudyta żyjący w XIII wieku, Ibn Said, czerpiący wiedzę bez wątpienia z relacji Ibrahima ibn Jakuba. Cenne w jego opisie są wartości geograficzne pozwalające z dużym przybliżeniem, po przeliczeniu na dziś obowiązujące współrzędne, na lokalizację Państwa Kobiet u ujścia Wisły lub na terenach sąsiednich. Powiada Said: „Miasto Kobiet położone jest pod czterdziestym czwartym stopniem długości i dziewiątym stopniem

szerokości, licząc od północnej granicy siódmego klimatu. Królową jest tam kobieta (...). W kraju tym nie widzi się w ogóle wolnych mężczyzn".

Wieść o żyjących gdzieś daleko na północy kobietach uprawiających męskie zajęcia dotarła nawet do Syrii, wprawiając w zdumienie anonimowego autora tamtejszego opisu świata, Pseudo-Zachariasza Retora. Według niego przewrotne te kobiety, noszące oręż, który przysługuje tylko mężczyznom, zamieszkiwać mają na północ od koczowniczych ludów nadczarnomorskich, a od północy i zachodu graniczyć mają z plemieniem, „nie mniej dziwacznym jak kobiety biorące udział w bitwach. Są to bowiem mężowie o olbrzymich kończynach, którzy walczą bez oręża, a których konie nosić nie mogą dla ich ogromu". Późniejsze kroniki zgodnie przypisują takie właśnie cechy – szaleńczą odwagę, ogrom i masywność ciała oraz zamiłowanie do walki pieszej, skandynawskim wikingom występującym na Rusi pod nazwą Waregów i Rusów. Na zachód zaś od Rusów, gdzie mieszkać miały Waleczne Kobiety, znów natrafiamy na znajome nam Mazowsze. Czyżby rzeczywiście pośród nieprzebytych mazowieckich puszcz i bagien istnieć miała we wczesnym średniowieczu ostatnia w Europie (później Amazonki wywędrować miały do Ameryki nad wielką rzekę, której nadały nazwę) enklawa wojowniczych niewiast?

Przypuszczenie to nie należy całkowicie do krainy fantazji, skoro potraktował je poważnie wybitny mediewista Henryk Łowmiański, który zauważył, że opowieści o Amazonkach przebywających na terenach położonych na południe od Bałtyku zostawiły ślad w nazwie Mazowsza. Obydwie nazwy mają bowiem ten sam wspólny rdzeń „mazo", który zapewne zafrapował wczesnośredniowiecznych erudytów zbierających wiadomości

o nieznanych jeszcze krainach dalekiej, europejskiej północy. To dzięki Amazonkom słowiańskie już wówczas Mazowsze po raz pierwszy trafiło na karty historii, kilka stuleci wcześniej zanim w XII wieku pełną już jego nazwę wymienił Nestor w *Powieści minionych lat*, informując o podjętej w 1041 roku przez księcia Jarosława Mądrego wyprawie „na Mazowszany". W tym samym wieku nazwę Mazowsze po raz pierwszy w polskim piśmiennictwie wymienił Gall Anonim w *Kronice polskiej*, donosząc o buncie pogan za panowania Mieszka II i o ucieczce chrześcijan „za Wisłę, na Mazowsze".

Historycy starożytności są zgodni, że u źródeł mitu o Amazonkach spoczywał męski mizoginizm Greków, którzy w swym zorganizowanym patriarchalnie społeczeństwie dla kobiet przeznaczali jedynie role podrzędne. Zauważają oni również, iż w konfrontacji z mężczyznami Amazonki, czyli kobiety, które ośmieliły się przyjąć role przeznaczone wyłącznie dla mężczyzn, zawsze ponoszą porażkę, są mordowane lub sprzedawane w niewolę. Wymowa pedagogiczna tych mitów jest więc jasna: kobiety dbajcie o dom i dzieci i niech wam to wystarczy, bo gdy będziecie nazbyt śmiałe, zawsze grozić wam będzie straszliwa klęska i kara za sprzeniewierzenie się ludzkiej naturze. Pogląd ten podzielali również, nadal czerpiący obficie ze starożytnej skarbnicy, intelektualiści wczesnego średniowiecza. I oni nie dopuszczali możliwości przekroczenia przez kobiety ról wyznaczonych przez tysiącletnią tradycję i patriarchalne prawo. Chyba... że były to kobiety barbarzyńców, ludów żyjących „na wspak", bliższych w swych zwyczajach i wyglądzie zwierzętom aniżeli ludziom. Dla Prokopiusza z Cezarei kwintesencją owych nieludzkich cech byli straszliwi Hunowie, dlatego w *Wojnie gockiej* napisał, rozprawiając się z mitem amazonizmu: „Oprócz kobiet Hunów, walczących

wspólnie ze swymi mężczyznami, nie widziano żadnego innego kobiecego wojska ani w Azji, ani w Europie. (...) Amazonki bowiem pochodzić mogą tylko z plemienia Hunów, którego mężczyźni podczas jednej z wypraw wyginęli. Od tej pory kobiety, przejęte strachem przed sąsiadami i zmuszone niedostatkiem żywności, przybrały, choć niedobrowolnie, męski wygląd i zebrawszy pozostawiony przez mężczyzn oręż, skoro popchnęła je do tego konieczność, dokonały wielu mężnych czynów, dopóki wszystkie nie wyginęły". Wracając zaś do początku naszych rozważań, do relacji Priskosa z Panionu, warto przypomnieć, że w jego epoce władczych koczowniczych Hunów często mylono z mieszkającymi na terenie ich państwa innymi ludami, w tym najczęściej z nieznanymi dotychczas ani ze swej natury, ani z nazwy Słowianami, którzy tak jak Hunowie przybyli do Europy Środkowej i na Bałkany ze wschodu, z pełnej straszliwych tajemnic otchłani stepów i puszcz Euroazji. I wiele wskazuje, że to właśnie Słowianki były tymi, które na progu średniowiecza doprowadzić miały do odnowienia zapomnianego już mitu walecznych kobiet. A dzięki nim ideał ten przetrwał do dziś, odradzając się w mocnej figurze matki Polki broniącej plemiennej egzystencji w okresach zagrożeń i kobiety wyemancypowanej przewodzącej tworzeniu supercywilizacji III tysiąclecia.

Ludzi cywilizowanych, mieszkańców dawnych prowincji rzymskiego imperium, przerażały waleczność i wojenna skuteczność Słowian, szczególnie ich okrucieństwo i barbarzyńska chciwość łupów. Najbardziej w tym względzie zagrożeni Bizantyjczycy potraktowali Słowian z całą należną powagą, wyróżniając ich szczególnie spośród licznych plemion barbarzyńców napierających na granice ich państwa, podejmując szeroko zakrojone studia nad taktyką ich wojen, sposobami walki, wyznaniem i obyczajami. Większość z tych studiów zaginęła, najwięcej przetrwało w liczącym dwanaście ksiąg podręczniku sztuki wojennej zatytułowanym *Taktyka*, napisanym na przełomie VI i VII wieku przez anonimowego teoretyka sztuki wojennej nazwanego Pseudo-Maurycym. W IX księdze *Taktyki* Słowianie zajmują poczesne miejsce pośród najstraszliwszych wrogów Bizantyjczyków: Awarów, Persów, Arabów, Chazarów i Germanów. „Plemiona Sklawinów i Antów – czytamy początkowo życzliwy

Słowianom wywód – podobny mają sposób życia oraz postępowania i nawykłe do wolności nie pozwalają się w żaden sposób ujarzmić ani opanować, szczególnie na własnej ziemi. Są bardzo liczni i wytrwali, znoszą łatwo upał, zimno i słotę, niedostatek odzienia i środków do życia. Dla przybywających do nich są życzliwi i chętnie odprowadzają ich z miejsca na miejsce, użyczając im, czego potrzebują. (...) Tych, którzy przebywają u nich jako jeńcy, nie zatrzymują tak jak inne narody na czas nieograniczony, lecz wyznaczają im okres, po którym pozostawiają ich woli, czy zechcą wrócić do swoich, czy pozostać na miejscu jako ludzie wolni i przyjaciele".

Po tej sielance następuje jednak rzeczowy opis prawdziwej, złowieszczej natury słowiańskiej nacji: „Mieszkają po lasach, wśród rzek, bagien i moczarów, i mając rozliczne wyjścia ze swoich siedzib ze względu na mogące spotkać ich niebezpieczeństwa, wszystko, co im potrzebne, składają w ukryciu, nie trzymając nic zbytecznego na widoku. Żyjąc życiem łupieskim, lubią urządzać napady na swoich wrogów w miejscach zalesionych, ciasnych i urwistych. Uciekają się chętnie do zasadzek, nagłych napadów i rabunków, zdobywając się zarówno w nocy, jak i w dzień na rozmaite fortele. Praktyką w przekraczaniu rzek przewyższają wszystkich ludzi i doskonale znoszą przebywanie w wodzie, tak iż nieraz niektórzy z nich zaskoczeni w domu jakimś niebezpieczeństwem zanurzają się głęboko w wodę, trzymając w ustach przygotowane na to długie trzciny całkiem puste w środku i sięgające aż do powierzchni wody, leżąc na wznak w głębinie, oddychają przez nie, trwając tak przez wiele godzin, nie budząc niczyjego podejrzenia". Dalej zaś następuje część najważniejsza dla autora *Taktyki*, opis wojennych umiejętności, uzbrojenia i sposobów walki Słowian. Nie dziwi go na przykład nieznajomość miecza, wszak są barbarzyńcami, a miecz

jego zdaniem przynależy ludom cywilizowanym: „Jako broń każdy nosi dwie krótkie włócznie, a niektórzy także tarcze dobre, lecz niewygodne w noszeniu. Będąc niestałego usposobienia i nienawidząc siebie wzajemnie, nie znają szyku bojowego i nie lubią walczyć w zwartych szeregach, ani pojawiać się na otwartych i równych miejscach. Gdy zdobędą się na odwagę, z krzykiem uderzają przed siebie i jeśli przeciwnik ustąpi, nacierają gwałtownie, jeśli wytrwa, uciekają i chowają się w lasach, które uważają za najlepsze schronienie, gdyż umieją zręcznie walczyć w ciasnej przestrzeni. I często uchodząc z łupem, gdy dogoni ich pościg, chronią się w zarośla, porzucając zdobycz. Często też urządzają zasadzki i wypadając z ukrycia, zadają nieprzyjaciołom wielkie straty". W tym samym duchu donoszą o Słowianach inni pisarze tamtej epoki: Prokopiusz z Cezarei i Jordanes. Ten ostatni opisuje z lubością okrucieństwa Słowian. „Sklawinowie najpierw pozorowali ucieczkę, biorąc żołnierzy w dwa ognie, wycinając ich wszystkich (...), pochwyconego zaś Asbadosa najpierw oszczędzili, później zaś spalili, wrzuciwszy do płonącego ogniska, zdarłszy mu przedtem pasy z pleców. Następnie łupili wszystko aż do morza i zdobyli szturmem nadmorskie miasto Toperos, choć posiadało ono załogę wojskową. Jest to pierwsze miasto na brzegach Tracji, od Bizancjum odległe o dwanaście dni drogi. Zdobyli je zaś w sposób następujący. Znaczna ich część ukryła się w nierównościach terenu, a tylko nieliczna grupka stanąwszy przed bramą, niepokoiła Rzymian. Żołnierze, którzy tam stali załogą, w przekonaniu, że napastników nie ma zbyt wielu, pochwycili za broń i wyszli im naprzeciw. Na ten widok barbarzyńcy zaczęli uciekać, umacniając ich w powziętym przekonaniu. W ten sposób znaleźli się daleko od obwarowań. Na to czekali barbarzyńcy będący w ukryciu. Powstali i odcięli im odwrót do miasta".

Najeźdźcy postąpili dokładnie tak, jak zalecał Sun-zi, żyjący w V wieku p.n.e., do dziś szanowany i ceniony chiński filozof i strateg, autor *Sztuki wojennej*, który doradzał: „Wojna jest sztuką wprowadzania wroga w błąd. Poruszaj się naprzód, a jeśli masz przewagę, wykorzystaj szansę zawartą w danej sytuacji. Uderzając, bądź szybki jak wiatr. W powolnym marszu statyczny niby wielki las, gdy się zatrzymasz, bądź nieruchomy jak góra. Bądź też zmienny jak płynące chmury, a gdy trzeba, szybki jak błyskawica". Działali też dokładnie tak, jak zalecał to w swej *Taktyce* sam Pseudo-Maurycy, opisując najlepsze sposoby ich zwalczania: „Wyprawy na nich lepiej urządzać zimą, kiedy drzewa obnażone z liści nie dają osłony, a nadto śnieg zdradza ślady uciekających. Na takich wyprawach nie należy brać żywcem wrogów zdolnych do walki, lecz napotkanych wszystkich zabijać i iść dalej, nie zwlekając przy nich. Jeśli zaś twardo stawiają czoła i strzegąc swych tyłów, nie dają sposobności do działań oskrzydlających, należy uciekać się do podstępu, na przykład udając ucieczkę, aby znęceni nadzieją pościgu opuścili swe kryjówki, a wtedy nagle zwrócić się przeciwko nim, podczas gdy inni ukryci w zasadzce uderzą na nich niespodziewanie".

Potem nastąpił szturm na miasto, jego zdobycie i również zgodnie z zaleceniem bizantyjskiego stratega – mord dwudziestu pięciu tysięcy jego obrońców, która to liczba została jednak na pewno przesadzona. „Zabijali zaś – ciągnie Prokopiusz – nie mieczem, włócznią ani w żaden inny zwyczajny sposób, lecz osadziwszy w ziemi dobrze zaostrzony pal, całym rozpędem wsadzali nań nieszczęśników lub wsadzali ostrze pala pomiędzy pośladki i obracali go aż do wnętrzności. Bardzo często też wkopywali w ziemię cztery grube kołki, przywiązywali do nich ręce i nogi pojmanych, następnie tłukąc ich bez przerwy pałkami po ciemieniu,

zabijali jak psy lub żmije. Innych palili, nie szczędząc nikogo, zamknąwszy ich w chatach wraz z bydłem i owcami, których nie mogli zabrać do swego kraju".

Późniejsze wyczyny wołoskiego księcia Włada Palownika, prototypu krwiożerczego Drakuli, przypominają się tu mimowolnie tak jak sam mechanizm powstawania „czarnej legendy", ważnego narzędzia politycznej ideologii. Pierwszym Słowianom na Bałkanach „brodę" dorobili wystraszeni Bizantyjczycy; Władowi, który chciał prowadzić samodzielną politykę, zręcznie lawirując pomiędzy Habsburgami i Turkami, przyprawili ją stronnicy tych pierwszych, siedmiogrodcy Sasi stanowiący potęgę finansową, nie szczędząc pieniędzy na publikowanie kłamliwych paszkwilów kompromitujących księcia w opinii Zachodu.

Pseudo-Maurycy interesował się również uzbrojeniem słowiańskich barbarzyńców. Zauważył to samo, co Prokopiusz z Cezarei, ubogość stroju i broni, brak koni i pancerzy. Za cudowną broń Słowian uznał... jady bojowe: „Używają też drewnianych łuków i drobnych strzał powleczonych trującą substancją o bardzo niebezpiecznym działaniu, jeśli ranny nie wypije odtrutki lub nie posłuży się innymi środkami znanymi doświadczonym lekarzom, względnie nie wytnie rany wokoło, aby trucizna nie objęła także i reszty ciała". Nie same łuki, które Bizantyjczycy mieli lepsze niż Słowianie, ale właśnie owe trucizny przyniesione przez barbarzyńców z ich leśnych mateczników wzbudzały obawy Maurycego, stawiały w wątpliwość militarną przewagę bizantyjskich wojsk. Tym bardziej że już wcześniej mieli oni okazję zakosztować zabójczej mocy sławnej w starożytności trucizny zwanej *scythicon*, używanej przez koczowników do zatruwania strzał, będącej mieszaniną jadu żmii i ludzkiego trupiego jadu. Jady bojowe, dary leśnych otchłani, czyniły Słowian groźnymi,

równorzędnymi przeciwnikami największej armii pierwszych wieków średniowiecza. Cóż to były za specyfiki?

Do zatruwania strzał Słowianie używali wywarów z dwóch roślin: tojadu mocnego (*Aconitum napellus*) i ciemierzycy (*Veratrum*). Zapewne było tych roślin więcej, skoro w języku prasłowiańskim przetrwały słowa „omieg" i „czemier" oznaczające dosłownie „jad", „jadowity sok", ale też „zatrutą strzałę". W staropolskim i staroczeskim występowało też określenie „jadownik", czyli ten kto wytwarza i „zadaje" truciznę. A zachowane do dziś nazwy miejscowości – Jadowniki i Czemierniki świadczą, że we wczesnym średniowieczu całe wsie i osady zajmowały się wytwarzaniem tych specyfików. A proceder ten nie zaginął też w późniejszych czasach. Przejęły go, często kończące swój żywot na stosie, czarownice, o których XV-wieczny *Psałterz puławski* powiada na początku psalmu 58: „1asz nye wyslucha glossa czarownikow y yadownika czarującego chytrze". O zatruwaniu strzał wspomina też Syreniusz, XVI-wieczny autor pierwszego polskiego zielnika, a wzmiankę o tym znajdujemy nawet w wierszu *Oda do melancholii* angielskiego poety Johna Keatsa (1795–1821). Przy okazji możemy się dowiedzieć z niej o innych trujących roślinach:

Nie, nie, do Lety nie chodź i z korzeni
Tojadu nie pij trującego wina:
Bladego czoła niechaj nie sczerwieni
Wilczej jagody okiem Prozerpina;
Nie czyń różańcem nasion cisu krwawych,
Żałobną Psyche niechaj ci nie będzie
Ćma brudna ani gnojony żuk, puchacza
Nie czyń wspólnikiem w smutków swych obrzędzie.

Jednakże to nie trucicielskie umiejętności ani nawet taktyczne podstępy decydowały o słowiańskich sukcesach. Najważniejsza była gromadzona przez stulecia w ich rodzinnej prakolebce pierwotna moc otrzymywana w wianie przez każdy odważny lud, który raz w swych dziejach dokonać musi największego, decydującego o jego dalszym istnieniu dzieła. Przed takim wyzwaniem Słowianie stanęli pod koniec starożytności. W obliczu gwałtownych i groźnych zmian, które ogarnęły cały euroazjatycki kontynent, wobec upadku tysiącletniej potęgi Rzymu, niszczycielskich najazdów Awarów i Hunów, formowania się germańskich państw, musieli opuścić ustronne dotychczas ziemie i podjąć podwójne wyzwanie. Walczyć o swoje miejsce w nowym świecie i wykorzystać wszystkie możliwości, które niosą owe gwałtowne zmiany. O tym, że odnieśli wielki sukces, choć przecież pod względem materialnym należeli do ludów najbardziej zacofanych, zadecydowała owa wewnętrzna, duchowa moc gromadzona i sprężana przez stulecia. Kiedy została uwolniona, zadziwili świat, który wcześniej o nich nie słyszał.

Według Jacka Banaszkiewicza, wybitnego mediewisty, świadectwa owej niezwykłej wewnętrznej mocy Słowian z pierwszych wieków ich ekspansji mogą pozornie świadczyć o prymitywizmie i ubóstwie naszych przodków. Odczytane właściwie w hermeneutycznym kontekście swego czasu, zinterpretowane zgodnie z ukrytą intencją ich autorów, ujawniają prawdziwe przesłanie. Tak rzecz ma się ze znanym przekazem Prokopiusza z Cezarei o tym, że „pancerza nigdy nie wdziewają. Niektórzy nie mają ani koszuli ani płaszcza, lecz jedynie długie spodnie podkasane aż do kroku i tak stają do walki z wrogiem". „Na spodnie mogli sobie pozwolić – ironizuje Banaszkiewicz – na koszule już nie!". I dlaczego akurat wszyscy są tak równo biedni,

iż muszą obywać się bez koszul i bez płaszczy? Czemu choćby niektórzy nie mogli sobie sprawić kompletnego przyodziewku?

Przyczyna tego braku garderoby nie leży w niedostatku. Słowiańscy wojownicy świadomie stawali do walki z odsłoniętym torsem, gdyż należeli do stowarzyszeń, które starożytni i wczesnośredniowieczni kronikarze nazywali „nagim wojskiem". Wojownicy ci ufni w swą moc i nieśmiertelność nago stawali do boju, manifestując nadludzką siłę, wprawiając w ten sposób w popłoch i zwątpienie wrogów bardziej niż przy użyciu spiżowych pancerzy. Tajne i jawne stowarzyszenia boskich wojowników, charakterników, szalonego wojska znane były wśród ludów indoeuropejskich od najdawniejszych czasów. W epoce neolitu świadectwem ich istnienia były zapewne niestosowane jako narzędzia i nienoszące śladów zużycia, piękne, masywne siekiery z krzemienia pasiastego wydobywanego w Krzemionkach Opatowskich w pobliżu Gór Świętokrzyskich, wkładane do grobów zmarłych. W epoce starożytnej zarówno Grecy, jak i Rzymianie donosili o nagim wojsku sformowanym przez barbarzyńskich Celtów (Galów), które atakowało z furią i bez strachu. Przedstawienia nagich celtyckich wojowników obecne są w ówczesnej sztuce na czele ze słynną rzeźbą z Pergamonu przedstawiającą umierającego Gala. W czasach wędrówek ludów, jak donosi Paweł Diakon, stowarzyszenie nagich wojowników mieli germańscy Herulowie, a później tak samo występowali celtyccy Irlandczycy, o których kronikarz Girald z Walii (XII w.) powiadał, że: „Zbroję mają za zbędny ciężar i udział w boju bez jej osłony uważają za największy dowód odwagi i honoru". Wreszcie w skandynawskich sagach pełno jest opowieści o berserkach (o których wcześniej już była mowa), pełnych wielkiej mocy, skorych do szaleńczych czynów wojownikach występujących nago

do boju, o których *Ynglinga saga* powiada, że: „Walczyli bez pancerza, dzicy jak psy i wilki. Gryźli własne tarcze i byli silni jak niedźwiedzie czy byki. Zabijali ludzi i ani ogień, ani miecz nie mogły im nic zrobić". Ich nagość nie była pospolitą nagością fizyczną. Brakiem odzienia i bojowej ochrony demonstrowali odwagę i niezłomną wiarę w boską opatrzność. Wypełniała ich serca niezłomną wiarą w zwycięstwo, wprawiała ich w wojenny trans, czyniła odpornymi na zmęczenie, ból i rany. Dzięki temu wzbudzali w sercach wrogów zwątpienie i zwyciężali. Tak jak Słowianie na progu swej wielkiej kariery.

WSPANIALI KŁAMCY

Cny słowiański narodzie, różne są mniemania
O początku twym dawnym, różne także zdania.
Atoli między wielą nic jest pewniejszego
Jako, że od Japheta idziemy zacnego.
Słowianie od Wenetów swój początek wzięli,
bo z sobą z dawnych czasów zjednoczenie mieli.
Oni nad Morzem Czarnym z dawności mieszkali
A Sarmaci w tych krajach, tu się rozszerzali.
W kłopotnym Marsie swoje miewali zabawy,
A spokojnych muz lekce poważali sprawy.
Postronni tylko trochę o naszych pisali
Niewiele wiadomości potomnej podali.
Lecz żebyśmy początek dawny swój wiedzieli
Wam, którzyście nic o tym przedtem nie słyszeli.
Lech i Czech, dwaj rodzeni przez Węgierską ziemię
Z Kroacyjej przywiedli słowiańskie swe plemię.

Osiedlili się w Bohemijej, od bojów nazwany
A ten kraj z obfitości był upodobany.
Na rzeczonej Ryp górze rozbili namioty,
Między Elbem, Oltawą osiedli z ochoty.
Lecz, że Lech był wojenny i starszy od niego
Ustąpił bratu miejsca wzwyż pomienionego.
Udał się ku północy, usiadł ku wschodowi
Przyłączył Wandality ku swemu ludowi.
Do Morza Bałtyckiego trzymał wsze dzierżawy,
Pełen był Naród Polski u wszech ludzi sławy.

Aleksander z Obodna Obodziński, *Przedmowa do przezacnych Słowian*, wydana w Krakowie w 1640 roku

Słuchaj mnie Sauromatha, z przodków sławnych bitny,
Narodzie Kroacyjski, Lechu starożytny,
Którego za wrodzonym męstwem i dzielnością
Wysoką Bóg obdarzył sławą i wolnością
Złotą ukoronował; dokąd świata staje
Ta w uszach ludzkich będzie brzmieć na wszystkie kraje.

Samuel Hutor Szymanowski, *Mars Sauromatski*, panegiryk ofiarowany Michałowi Korybutowi Wiśniowieckiemu w 1645 roku

Dwa przykłady staropolskiej poezji barokowej nie pozostawiają wątpliwości, że nasi przodkowie nie tylko interesowali się pochodzeniem rodzimej, słowiańskiej wspólnoty, ale też mieli w tym zakresie konkretne, wyrobione poglądy. Starożytnymi praprzodkami Słowian miały być dwa sławne, bitne ludy – koczowniczy Sarmaci, krewniacy Scytów, oraz waleczni i jeszcze wówczas mający dobrą opinię (pojęcie wandalizmu powstało

w XVIII w. we Francji) Wandalowie. Jako odrębne plemię mieli Słowianie narodzić się na Bałkanach (stąd mowa o Kroacji, czyli Chorwacji), skąd podjęli wędrówkę na północ i wschód, zatrzymując się między innymi na tajemniczej górze Ryp, skąd cieszyli się widokiem pustych, gotowych do zasiedlenia ziem nad Łabą i Wełtawą. Jednakże nie owi barokowi panegiryści byli autorami tych starożytnych, zacnych rodowodów. Zaczerpnęli je od dawnych, średniowiecznych erudytów i dziejopisów. Pierwszym był nieznany z imienia autor *Kroniki polskiej*, zwany przez historyków Gallem Anonimem, żyjący zapewne na dworze księcia Bolesława Krzywoustego na początku XII wieku. Już on wywodził Polaków od Jafeta syna Noego, a naszych starożytnych przodków uważał za Wandalów, od których wywodził nazwę Wisły. Jego następca, żyjący w XIII wieku biskup krakowski Wincenty Kadłubek, do rodowodu Słowian dołożył Celtów (Galów), którzy wspólnie z Wandalami, kierowani przez ich władczynię Wandę, zwycięsko stawiać mieli czoła samemu Aleksandrowi Wielkiemu. Żyjący w XV wieku nasz najwybitniejszy kronikarz Jan Długosz stał się twórcą sarmackiej koncepcji pochodzenia Polaków, a w ślad za nim poszli już jego renesansowi i barokowi następcy jak XVII-wieczny Marcin Bielski, który w *Kronice polskiej* stwierdził: „Tedy to iawna i iasna rzecz, żechmy są Sarmatae sławni: y przeto cokolwiek o Sarmatach pisano, to się słusznie ma rozumieć o przodkach naszych".

Od biblijnego Jafeta i z bałkańskiej kolebki wywodził też Słowian Nestor. „Po zburzeniu zaś wieży Babel – pisał – i po rozdzieleniu narodów zajęli synowie Semowi wschodnie kraje, a synowie Chamowi – kraje południowe, Jafetowi zaś zajęli zachód i kraje północne. Od tych zaś siedemdziesięciu i dwóch narodów był naród słowiański, z plemienia Jafetowego – Nordycy, którzy są

Słowianie, którzy po wielu latach siedli nad Dunajem, gdzie teraz ziemia węgierska i bułgarska".

Innego zdania był jednak autor zamieszkujący właśnie te okolice, bułgarski mnich Paisija z monastyru Chilendarskiego położonego w Starej Planinie. W ukończonej w 1762 roku *Słowianobułgarskiej historii* wywodził rodowód Słowian w sposób następujący: „Jafet miał syna imieniem Moschos. Z jego plemienia wyodrębnił się nasz słowiański ród i nazwał się rodem Moschosa. I pociągnęli ku północnej stronie, gdzie teraz jest ziemia moskiewska. Od imienia Moschosa, swojego praojca, nazwali rzekę, gdzie najpierw się osiedlili, Moskwą, a od niej osadę. Później stopniowo zrobili z niej miasto i postawili tam carski tron. A sami nazwali się Moskowcami i nazywają do dzisiaj". Stamtąd dopiero w późniejszych czasach kolejne plemiona słowiańskie wyruszać miały na zachód i południe w poszukiwaniu ziem możliwych do zasiedlenia.

Zredagowana w drugiej połowie XIV wieku czeska *Kronika Pulkawy*, a w ślad za nią pochodząca z końca tego stulecia *Kronika wielkopolska* jako pierwsze podają popularną do dziś mityczną wersję słowiańskiej ekspansji. Autor tej ostatniej opowiada o trzech braciach – Lechu, Czechu i Rusie – którzy wyruszywszy z „kolebki wszystkich narodów słowiańskich", czyli z Panonii, zasiedlili bezludne ziemie na północy i wschodzie. Panonia zdaniem kronikarza wywodzi swą nazwę od Pana, czyli kogoś, kto sprawuje władzę nad ludźmi i ziemią. Czechy, czyli Bohemia, wzięły swą nazwę od prasłowiańskiego słowa boh, czyli bóg, zaś zasiedlona przez potomków Lecha Polska wywiodła ją od pola, czyli wielkiej równiny. Nie warto chyba przypominać, że w tych bajecznych etymologiach, w których średniowiecznym erudytom wszystko kojarzyło się ze wszystkim, sam patriarcha Adam, praojciec

ludzkości, był również Słowianinem, którego imię powstało od określenia „a-dam", odnoszącego się do kogoś, kto daje szczodrze i bez namysłu. Warto natomiast zauważyć, że opowieść ta, która w *Rocznikach* Jana Długosza otrzymała postać klasyczną z rozbudowaną wersją biblijnej genealogii sięgającej Adama i Jafeta, uznawana była za autentyczną, historyczną wykładnię pochodzenia słowiańskiej wspólnoty aż do XVIII wieku, kiedy historia jako nauka oparta na krytyce źródeł zaczęła radykalnie oddzielać się od baśniowej mitologii.

I wówczas jednak fantastyczne, pompatyczne rodowody Słowian nadal cieszyły się uznaniem. Objawiło się wręcz coraz większe na nie zapotrzebowanie, a to za sprawą rodzącej się właśnie wówczas w Europie nowoczesnej idei narodowej, która w XIX i XX wieku doprowadzić miała do powstania nowoczesnych narodów, ale także silnych nacjonalizmów, związanych z nimi wojen i propagandowych rywalizacji. Ich podłożem była narodowa megalomania, czyli przekonanie o wyjątkowości i wyższości jednych nacji ponad drugimi. Wspaniały biblijny i antyczny rodowód okazał się jednym z najważniejszych oręży w tej rywalizacji. Tu jednak niespodziewanie pojawiły się konkretne kłopoty. Coraz bardziej krytyczna i dociekliwa nauka kolejno unieważniała i odsyłała do bajkowego lamusa najbardziej szacowne narodowe genealogie. Nie tylko eponimiczni założyciele słowiańskich narodów – Lech, Czech i Rus – wygnani zostali ze świata historii, ale też ich biblijni antenaci – Jafet, Nemrod, Janus wykluczeni zostali ze słowiańskiej rodziny. Cóż można było uczynić?

Tylko nowe, odporne na krytykę nauki dowody mogły uratować słowiańską starożytną dostojność. I takie odkrycia zaczęły się pojawiać coraz liczniej. Jednym z pierwszych okazał się przywilej Aleksandra Wielkiego dla Słowian nadający im za wierną służbę,

szczególnie podczas wyprawy do Indii, na wieczne i całkowite posiadanie cały obszar Europy rozciągający się na północ od granic Italii aż po wybrzeża Morza Północnego. Dokument ten odnaleziony i ogłoszony został na początku XV wieku w Czechach w okresie wojen husyckich. Dwa wieki później pośród cierpiących turecką niewolę Słowian bałkańskich żywa była opowieść o chrześcijańskim królu Aleksandrze Wielkim, który wyzwalać miał rodzinną Macedonię spod panowania okrutnego Dariusza, którego w tym przypadku przemianowano na władcę Turków. Wcześniej papiestwo ogłosiło sławną *Donację Konstantyna*, w której rzymski cesarz rzekomo wyleczony z trądu przez świętego Sylwestra (papieża Sylwestra I) nadawał Kościołowi w wieczne władanie zachodnią część swego imperium łącznie z Rzymem.

Prawdziwa epoka fabrykacji literackich i archeologicznych zabytków mających wykazywać starożytność i szacowność słowiańskich rodowodów nastała w XIX wieku. Ich ojcem chrzestnym został angielski romantyk, miłośnik celtyckich starożytności James Macpherson, autor zbioru niby-staroceltyckich utworów poetyckich zatytułowanych *Pieśni Osjana*, które najpierw wywołały entuzjazm badaczy, aby później okazać się literackim fałszerstwem. We wrześniu 1817 roku Wacław Hanka, bibliotekarz Narodowego Muzeum Czeskiego w Pradze, podczas wizyty w Królowym Dworze odkrył nieznane dotychczas rękopisy zawierające – jak się okazało – zbiór staroczeskich utworów opisujących początki Słowiańszczyzny w Czechach. Jak pisał później w *Przedsłowiu* Lucjan Siemieński, autor przekładu tych utworów na polski, po odkryciu Hanki: „Władzom miejskim i światlejszym odczytał zaraz pierwszy ułamek; słuchacze dzielili jego zachwycenie i jednogłośnie przyznano mu własność znalezionego rękopisu, który on złożył następnie w muzeum, przeznaczając na skład pamiątek

twórczej dzielności czeskiej z ubiegłych i obecnych wieków". Dalej zaś apelował tłumacz do rodaków, aby także natężyli uwagę, bowiem: „Wieleż to i u nas samych obojętnością niedbałych potomków przepadło! Na deskach książek należy dziś szukać zabytków przeszłości, dowodów ogłady i oświaty przodków. (...) Jakkolwiek bowiem znalazek *Rękopisu królodworskiego* obudza poczucie słowiańskiej dumy, tym strata reszty dotkliwsza się wydaje. Jeśli całość z trzech ksiąg się składała (jak twierdził Hanka – Z.S.), a każdy rozdział dwie większe poezje zawierał, to podług tej rachuby, przeszło 168 wybornych, w duchu ludu zapisanych pieśni zaginęło, może na zawsze. Posiadając je, jakie wspomożenie dla języka, jakie skazówki dla badacza dziejów, jakie zyski dla sztuk i umiejętności. (...) Wszystko to jest rękojmią wartości *Rękopisu królodworskiego*, którego ja przekład w języku ojczystym przyjaciołom Słowiańszczyzny i prawdziwej poezji poświęcam".

O czym donosi ów rapsod bohaterski, do której kategorii utworów literackich zaliczył go odkrywca?

Adam Mickiewicz w swej *Lekcyi XI*, którą wygłosił we wtorek 2 lutego 1841 roku w Collège de France w cyklu wykładów poświęconych literaturze słowiańskiej, tak go scharakteryzował: „Treść jego jest bardzo prosta. Waleczny Zaboj rozżalony widokiem roznoszonego przez cudzoziemców zniszczenia wiary i swobody przodków, powołuje rodaków do oporu i zemsty. Zebrawszy mężów zbrojnych w głębi lasu, przemawia do nich pieśnią malującą ucisk: powiada, że najeźdźcy przynoszą obcych bogów, wypłoszyli krogulce z gajów świętych, powycinali drzewa, wzbronili odwiedzać miejsca modlitw i ofiar, kazali od wiosny życia do śmierci mieć tylko jedną żonę. Na te słowa porwał się Sławoj z zaiskrzonym wzrokiem i zawołał: śpiewaj, ty masz dar rozgrzewać serca. Zaboj głębiej uderza pieśnią w piersi, przypomina towarzyszowi

młodzieńcze wyprawy, sławi obraz tryumfu nad wrogami. Wszyscy ich otaczają i zawiązuje się zmowa".

Obrońcy rodzimej religii i dawnego stylu życia atakują obóz chrześcijan i odnoszą zwycięstwo:

Przestrachem wrogów gardziele ryczą; wojsko Zaboja szumi zdobyczą, iskrą radości ich wzrok się palił,
Bracie, patrz, za sprawą bogów zwyciężamy naszych wrogów (...)
Zaboj tarczę rzucił precz, W ręku obuch, w drugim miecz, Poprzez drogę sobie ściele, Poprzez nieprzyjaciele.

„Walka – głosił dalej Mickiewicza – która dostarczyła przedmiot temu poematowi, walka pogaństwa z chrystianizmem, idzie wciąż przez literaturę słowiańską aż do dziś dnia. Wielu słowianofilów stara się ją rozniecać. Zamiłowani w starożytnościach krajowych tchną do niej nieprzyjaźnią". I choć nie wątpił w autentyczność *Rękopisu królodworskiego* mimowolnie wskazał prawdziwe okoliczności jego powstania, właśnie ową słowianofilską manię, której rozpalona wówczas namiętność nie cofała się nawet przed starannie ukartowanym fałszerstwem, a równocześnie, odwołując się do narodowej dumy narodów słowiańskich, była w stanie – pod groźbą patriotycznej anatemy i wykluczenia – skutecznie tłumić wszelkie głosy krytyczne.

Dlatego dopiero w ostatnich latach XIX wieku Tomasz G. Masaryk, historyk literatury i zasłużony w dążeniach patriotycznych polityk, mógł odważyć się na oficjalne ogłoszenie, że *Rękopis królodworski*, a także odnaleziony później *Rękopis zielonogórski*, odnoszący się również do legendarnych dziejów Czech, to niedawne fałszerstwa, utwory napisane w archaicznej manierze, odpowiadające współczesnemu zapotrzebowaniu na „słowiańskie starożytności". I on również jednak nie uniknął

zarzutów o zdradzie narodowych ideałów i interesów. Po latach, już jako prezydent niepodległych Czech, wspominał: „Czasem pomagałem ludziom w tramwaju wymyślać na zdrajcę Masaryka. Była to dla mnie heca, bo złościło mnie, gdy widziałem, jak inni koledzy bronią autentyczności tych rękopisów nieszczerze; wiedzą, że są sfałszowane, ale bali się publicznie o tym mówić. Nie pojmuję bowiem, jak ktokolwiek twierdzić może, iż honor narodu wymaga obrony rękopisów. Honor narodu wymaga obrony prawdy, tylko tego; stokroć odważniej i moralniej jest uznać pomyłkę, niż jej bronić, choćby mylił się cały naród".

W tym samym mniej więcej czasie, gdy Wacław Hanka przeglądał zakurzone papiery zgromadzone na poddaszu kościelnej wieży w Królowym Dworze, znajdując wśród nich bezcenne starożytne rękopisy, na drugim krańcu Słowiańszczyzny, w Moskwie, wypłynął tajemniczy, przez badaczy rosyjskich uznawany za „szczytowe osiągnięcie całej literatury staroruskiej", rękopis wierszowanego utworu opisującego dzieje Rusi w XII wieku. Rzekomy jego odkrywca, hrabia Aleksy Musin-Puszkin, odnaleźć miał ów dokument w archiwum klasztoru Spasoprieobrażeńskiego w Jarosławiu wśród wielu innych rękopisów z XVI wieku. On też opublikował go już w roku 1800 na łamach „Spectateur du Nord", nadając utworowi szumny i rozbudowany tytuł *Heroiczna pieśń o pochodzie na Połowców udzielnego kniazia Nowogrodu Siewierskiego Igora Światosławowicza napisana językiem staroruskim w końcu XII wieku*. Do literatury utwór wszedł jako *Słowo o wyprawie Igora*. W 1812 roku jego rękopiśmienny oryginał miał spłonąć podczas wielkiego pożaru Moskwy związanego z najazdem Napoleona. Od tej pory *Słowo o wyprawie Igora* znane jest jedynie z odpisów i brak jest pewności, czy oryginał ów kiedykolwiek istniał.

Przypuszcza się też, że jego autorem był żyjący pod koniec XVIII wieku metropolita moskiewski Dymitr Tupenko.

Treść utworu osnuta jest na relacji z zakończonej klęską wyprawy ruskiego księcia Nowogrodu Siewierskiego, Igora (ok. 1151–1202), podjętej w 1185 roku przeciwko koczowniczym Połowcom dokonującym niszczycielskich najazdów na Ruś i mieszającym się w jej wewnętrzne sprawy. Jak pisze w przedmowie do polskiego wydania *Słowa...* Dymitr Lichaczow: „Jedna myśl, jeden duch przenika go od początku do końca. Jest to konieczność zjednoczenia Rusi w obliczu zagrożenia ze strony nieprzyjaciół; jest to ból z powodu okrutnych nieszczęść, które spadły na ludność ruską w wyniku książęcych rokoszy i najazdów połowieckich". Wezwanie, które aktualne było i w czasach Igora, księcia nowogrodzkiego, i za panowania cara Aleksandra I w obliczu napoleońskiego najazdu. To aktualne wówczas przesłanie upoważniać również może do podejrzeń, iż utwór ten, cudownie odnaleziony i szybko utracony, powstał w odpowiedzi na konkretne, ówczesne zapotrzebowanie jako manifest polityczny, który dla większej siły oddziaływania przybrano w historyczny kostium. Jego przesłanie jest szczególnie wymowne, gdy odrzucimy poetycki kamuflaż.

Już wam czas, Jartosława i Wsiesława wnukowie,
Miecze-szczerbce wbić w ziemię i chorągwie pochylić,
Bo zboczyliście z drogi wielkiej sławy dziadowej,
Boście swary zaczęli, długie zwady czynili,
A za swarem, za zwadą przyszedł rozbój pogański.
(...)
O, jęczeć ruskiej ziemi,
Co prawiek swój pamięta
I pierwsze swe książęta!
Gdzie ów stary Włodzimir?

Ten góry kijowskimi
Nie zamknął się, nie spętał.
A dziś jego chorągwie –
Ta za Dawidem ciągnie,
A ta w Ruryka stronę,
I nie w ład powiewają
Buńczuki poróżnione.

Dziś nie ulega wątpliwości, że *Słowo o wyprawie Igora* było zręczną literacką kompozycją ułożoną w kręgu moskiewskich literatów na wzór popularnej wówczas, opublikowanej w latach sześćdziesiątych XVIII wieku *Pieśni Osjana*. Sami zresztą autorzy pierwszego wydania *Słowa...* nie kryją się z tym powinowactwem, pisząc we wstępie: „W całym tym, przetrwałym przez minione stulecia dziele, widać ducha Osjana i to, że i nasi pradawni herosi mieli swoich bardów". Kilkadziesiąt lat później, również *ad maiorem nationis gloriam*, Elias Lönnrot skomponował z oryginalnych fragmentów starodawnych pieśni szamańskich Skandynawii narodowy epos fiński *Kalewalę*, który opublikował w 1849 roku.

W Polsce najbardziej znany falsyfikat prasłowiańskiego piśmiennictwa, powstały również na fali pragnień dowartościowania rodzimej przeszłości, pojawił się w 1855 roku w wielkopolskim Mikorzynie. Odnaleziono tam prahistoryczne kamienne żarna z wyrytymi znakami pisma przypominającymi germańskie runy. Józef Przyborowski, archeolog amator, uznał je za nieznane dotychczas znaki prasłowiańskiego pisma i odczytał wyrażone w nich napisy jako pogańskie inwokacje ku czci Peruna. Odkrycie stało się sensacją we wszystkich trzech zaborach dzielących wówczas Polskę. Wreszcie i Słowianie mieli swe rodzime, przedchrześcijańskie pismo. Spierano się wprawdzie co do poprawności odczytania napisów, ale nikt z polskich badaczy

nie wątpił w autentyczność znaleziska. Wszystkie interpretacje zebrał krakowski historyk Franciszek Piekosiński w wydanej w 1896 roku rozprawie *Kamienie mikorzyńskie*. Równocześnie jednak od początku znaleziska te zaczęły wzbudzać wątpliwości uczonych zagranicznych, którzy zgodnie dowodzili, że słowiańskie runy nigdy nie istniały. W 1869 roku dołączył do nich profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Karol Estreicher, a później Antoni Małecki i Adam Kirkor. Wskazano zarówno bliskie podobieństwa rzekomych słowiańskich runów do autentycznych znaków staroskandynawskich, jak również wyraźne związki przedstawionej na jednym z mikorzyńskich kamieni figurki konia do podobnego przedstawienia znajdującego się na sławnym posągu Światowida.

Najnowszym z serii tego rodzaju oszustw okazała się ujawniona dopiero w latach pięćdziesiątych XX wieku, w środowisku ukraińskiej emigracji w Australii i Kanadzie, tak zwana *Vlesova knyha* (*Księga Wełesa*). Jest to tekst spisany pierwotnie na drewnianych, zaginionych dziś, deszczółkach zawierający barwną i fantastyczną – w stylu średniowiecznych *splendide mendaces* – zanotowaną podobno w V wieku opowieść o najdawniejszych dziejach Słowian wschodnich, Orijów-Rusów, synów Daćboga, ich związkach i zwycięskich walkach z Grekami, Celtami, Rzymianami i Gotami.

To mówi Mać-Ptak nasza o nas i sławę rzecze nam.
Macierz-Sława wybrała nas, byśmy śpiewali
O zwycięstwie nad wrogami i wierzymy w to, bo to
Słowo o ptaku Wyżnim, co uleciało w niebo od nas,
Tak sława nasza przyjdzie do Macierzy-Sławy
I pozostanie w niej do końca wieków ziemskich
I innych żywotów.

Księgę tę, rekomendowaną dziś jako lekturę w ukraińskich szkołach przez ministerstwo edukacji, znaleźć miał w pobliżu Charkowa w 1919 roku, zapisaną na lipowych deseczkach, pułkownik w armii Denikina Ali Izenbek. On też zabrał je do Brukseli, gdzie osiedlił się po zwycięstwie komunizmu w Rosji. Po jego śmierci w 1941 roku deseczki zaginęły, ale wcześniej ich treść zdołał przepisać Jurij Mirolubow zajmujący się folklorem dawnych Słowian wschodnich. On jeden, oprócz Izenbeka, widzieć miał oryginały owej starożytnej księgi przed jej zaginięciem. On też w marcu 1957 roku opublikował w San Francisco część tekstu *Vlesovej knyhy*, głosząc nie tylko jej autentyczność, ale też dowodząc, że jeszcze przed wprowadzeniem na Ruś chrześcijańskiej cyrylicy Słowianie wschodni posługiwali się własnym, później zaginionym pismem, które autorzy pisujący w ukraińskim czasopiśmie „Swarog" uznają, tak jak samą księgę, za Pismo Święte Ukraińców. Nawołują też do powrotu i obrony rodzimości. „Ukraina chronicznie choruje na zatrucia krwi. Ale tej chorobie jeszcze można zaradzić. Pracujcie i nauczajcie, póki starczy sił i zapału. Nie sprzeczajcie się, nie traćcie sił na wiatr. Tylko razem z Rodzimymi Bogami – jesteśmy siłą". Niestety, jak udowodnił rosyjski filolog Oleg Tworogow w opublikowanej w 1986 roku rozprawie *Kto stoi za Vlesovą knyhą*, zarówno okoliczności odnalezienia tego utworu, jak i jego zniknięcia oraz sama treść nie pozostawiają wątpliwości, że „nie jest to bezcenne źródło historyczne, ale niedawno sporządzona mistyfikacja". Ukraińcy, dla których utwór ten jest najstarszym pisanym świadectwem rodzimej, małoruskiej przeszłości, nie dają jednak za wygraną, wydają kolejne nakłady *Vlesovej knyhy* i twierdzą, że o jej autentyczności stanowi misterna tajemnica ukryta w jej słowach. Ale jak pisze slawistka Agnieszka Korniejenko, powstanie tego rodzaju literackich

mistyfikacji wynika ze społecznego zapotrzebowania na mitologie umacniające narodową tożsamość. „Utwory te stanowią z premedytacją skonstruowaną odpowiedź na poczucie narodowej niższości, kompleks mniejszej wartości własnej kultury czy zaistniałe w dziejach danego narodu wydarzenie uznane za narodową katastrofę. Czesi w ten sposób załatali lukę powstałą w wyniku wybicia rycerstwa w bitwie pod Białą Górą. Szkoci – klęskę powstania 1745 roku, gdy ostatecznie uzależnili się od Anglii, Rosjanie dorobili dzięki literackim pamiątkom kawałek swojej historii, która stała się dużo starsza od Księstwa Moskiewskiego, a Ukraińcy uzyskali podwójne zwycięstwo: legitymizowali odrębną od rosyjskiej historię niepodległego państwa i zniwelowali poczucie prowincjonalizmu wobec «Starszego Brata»".

Wszystkie jednak przytoczone przykłady mistyfikacji mających podnieść narodowe samopoczucie Słowian świadczą o jednym: o nieodpartym pragnieniu zgłębienia i wyjawienia tajemnicy ich początku i niezwykłego sukcesu na europejskiej scenie.

JACY BYLI

Bizantyjscy pisarze, którzy jako pierwsi przekazali nam na ten temat wiarygodne informacje, byli zachwyceni wyglądem Słowian. Docenili ich rosłe, umięśnione sylwetki, niebieskie oczy i jasną karnację. Już zresztą Herodot w V wieku p.n.e. zanotował, że Budynowie, pierwsi domniemani znani z nazwy praprzodkowie Słowian, „to plemię wielkie i liczne, a wszyscy są niebieskoocy i rudzi". Tysiąc lat później potwierdził to Prokopiusz z Cezarei, donosząc o Antach i Sklawinach: „Wszyscy są rośli i niezwykle silni, a skóra ich i włosy nie są ani bardzo białe, względnie płowe, ani nie przechodzą zdecydowanie w kolor ciemny, lecz wszyscy są rudawi. Życie prowadzą twarde jak Massageci (azjatyccy koczownicy – Z.S.) i brudem są okryci. Ale bynajmniej nie są niegodziwi z natury i skłonni do czynienia złego, lecz prostotą obyczajów również przypominają Hunów". Po upływie kolejnego tysiąclecia już rodzimy słowiański kronikarz, Jan Długosz, taką kreślił charakterystykę Polaków: „Lud to we wznoszeniu domostw mało staranny, przestaje na nędznych chatach, śmiały i zuchwały, umysłu

gorącego, niełatwy, w ruchu i postawie przystojny, siłą góruje, wzrostu wyniosłego i smukłego, ciała zdrowego, barwy mieszanej, białej i czarnej".

Wprowadzony w całej Europie środkowo-wschodniej w połowie II tysiąclecia p.n.e. i trwający aż do umocnienia na tych ziemiach chrześcijaństwa zwyczaj ciałopalenia zmarłych pozostawia jednak w tym względzie wątpliwości, uniemożliwiając jednoznaczną rekonstrukcję budowy antropologicznej naszych przodków. A jeśli już nawet w niektórych przypadkach archeologom udało się natrafić na pochówki szkieletowe z epoki pogańskiej – najczęściej w grobowcach plemiennej arystokracji gocko-gepidzkiej lub wandalskiej – okazywało się, że osobnicy ci pod względem antropologicznym byli mieszańcami różnorodnych cech rasowych – śródziemnomorskich, laponoidalnych, nordyckich i paleoeuropeidalnych. Na tej między innymi podstawie wybitny antropolog okresu międzywojennego Jan Czekanowski, porównując szkielety ze starożytnych cmentarzysk wandalskich i gockich z terenu Wielkopolski ze szkieletami z cmentarzysk wczesnośredniowiecznych (zapewne wikińskich) z tego obszaru, odkrył ich bliskie pokrewieństwo i doszedł do wniosku, że książęta goccy nieprzerwanie rządzili Wielkopolską od starożytności aż do pojawienia się dynastii piastowskiej w 1X wieku. Jego zdaniem grupa ta „stanowiła zarodek pierwotnego państwa polskiego. Dopiero później uległa ludności tubylczej i nie jest wykluczone, że ten przewrót zachował się w tradycji jako podanie o początku dynastii Piastów, którzy przeciwstawili się Popielidom, mającym utrzymywać ściślejsze stosunki z Germanami. Nie jest przytem wyłączone, że Popielidzi byli już zeslawizowanymi epigonami dynastów gockich. Tłumaczyłoby nam to w sposób zupełnie prosty wyżej już wspomniany napis na pomniku

Bolesława Chrobrego (*regnum Sclavorum, Gothorum sive Polonorum* – Z.S.), który świadczyłby tylko o ciągłości tradycji państwowej, mimo przewrotu dynastycznego".

My dla porządku przypomnijmy, że równie prawdopodobne jest, że to Piastowie na czele z Mieszkiem-Dagonem mogli być pochodzenia germańskiego (normańskiego), którzy niewiele albo zgoła nic nie wiedząc o starożytnej gocko-wandalskiej przeszłości tych ziem, utworzyli na nich własną dynastię, która również szybko się zeslawizowała, a wkrótce spolonizowała. Dodajmy też, że żadna z tych hipotez nie ma wystarczających argumentów na rzecz swej niepodważalnej prawdziwości.

Podobnie jak fantastyczna zgoła teza, choć głoszona przez współczesnego językoznawcę Witolda Mańczaka. Twierdził on w 1999 roku, iż według jego obliczeń pośród całej rodziny języków indoeuropejskich, które, jak wiadomo, dominują nie tylko w Europie, ale też w obydwu Amerykach, Australii i południowo-zachodniej Azji, „język polski jest tym, który wykazuje najwięcej słów mających odpowiedniki etymologiczne w pozostałych językach indoeuropejskich. Innymi słowy, leksyka języka polskiego jest najbardziej archaiczna i z tego powodu wnoszę, że Słowianie są potomkami tej części ludności praindoeuropejskiej, która w praojczyźnie indoeuropejskiej pozostała". W tym miejscu nie jest ważna sama wiarygodność tego rodzaju rozważań i mylna w świetle aktualnego stanu wiedzy, lansowana przez Mańczaka, lokalizacja zarówno praojczyzny Indoeuropejczyków, jak i Prasłowian w dorzeczu Odry i Wisły, ile owa głoszona przez uczonego pierwotność słowiańska. Praindoeuropejczycy, choć zapewne istnieli jako odrębny etnos, nadal pozostają naukową hipotezą, na podstawie której wyjaśnić można pojawienie się równocześnie w pierwszej połowie II tysiąclecia p.n.e.

na ogromnym obszarze od północnych Indii po wybrzeża Atlantyku różnorodnych ludów spokrewnionych zarówno pod względem językowym, jak i kulturowym, społecznym, a także psychicznym. Podobnie jak w przypadku gwałtownego wyrojenia się Słowian w okresie wędrówek ludów również ekspansję Indoeuropejczyków poprzedzać musiał długotrwały okres dojrzewania i formowania owej „masy krytycznej" umożliwiającej wielką ekspansję. Podobnie też jak w przypadku Prasłowian przez dwa stulecia trwała zażarta dysputa o miejsce, w którym dojrzewała indoeuropejska moc, do dziś niezakończona definitywnie, choć skłaniająca się ku wnioskowi, że owa prakolebka znajdować mogła się na leśno-stepowym obszarze Europy Południowo-Wschodniej, od Polesia po Kaukaz. Z drugiej jednak strony nadal aktualne jest stwierdzenie francuskiego językoznawcy Antoine'a Meilleta: „Lud praindoeuropejski istniał z pewnością, choć dokładnie nie wiadomo gdzie i kiedy".

W północnych Indiach, w dolinie Indusu, Indoeuropejczycy pojawili się w pierwszej połowie II tysiąclecia p.n.e. Nazywali siebie „Arias" – „wybrani", które to określenie przetrwało do dziś w językach europejskich, choć uległo kompromitacji w czasach, gdy w Europie szalały zbrodnicze komanda uzurpatorów głoszących wyłączność aryjskich rodowodów i prawo do wyniszczania nieindoeuropejskich podludzi. Indyjscy Ariowie pozostawili też najstarsze pisane przez Indoeuropejczyków utwory literackie. Są to spisane w sanskrycie, języku Ariów, hymny *Rygwedy*. Dają one opis ludów dumnych ze swej śmiercionośnej, wykonanej z miedzi i brązu broni, zwrotnych rydwanów i szybkich koni, hodujących bydło i uprawiających zboże, żyjących w społecznościach patriarchalnych i hierarchicznych, podzielonych na rycerzy, kapłanów i pospólstwo, składających cześć bogom ognia i pioruna,

takim jak Indra, Agni i Mitra. Hymny te opisują również wygląd Ariów jako ludzi o białej skórze, jasnych lub rudych włosach, szarych lub niebieskich oczach. Można powiedzieć, że według świadectw pisanych europejscy przedstawiciele rodziny indoeuropejskiej – Słowianie, przez dwa i pół tysiąclecia nie zmienili się pod tym względem ani trochę. Gdy porzucili swe poleskie pielesze, nadal wyglądali tak samo jak odlegli przodkowie wkraczający do doliny Indusu. Ich śmiałe działania, zdumiewające bizantyjskich obserwatorów, ich odwaga i okrucieństwa były też takie same jak te, które prezentowali Ariowie niszczący wielką, wyższą od ich kulturowego poziomu, cywilizację z ośrodkami w Harappa i Mohendżo-Daro. Jeśli uznać za słuszną koncepcję Mańczaka, iż Słowianie są potomkami tej części ludności praindoeuropejskiej, która pozostała w praojczyźnie europejskiej, sprawa tej fizycznej niezmienności okazać może się mniej tajemnicza. Niestety jednak jego klasyfikacje języków, oparte wyłącznie na porównaniach słownictwa z pominięciem powszechnie uznawanych za najważniejsze przy ustalaniu językowego pokrewieństwa struktur gramatycznych oraz fonetyki i morfologii, przyrównywane są przez innych językoznawców do teorii stadialnego rozwoju języków i ich klasowego charakteru, głoszonej przez stalinowskiego językoznawcę Nikołaja Marra. Dlatego też w ogłoszonej w 2001 roku polemice w „Roczniku Slawistycznym" zatytułowanej *Czy metoda statystyczna profesora Witolda Mańczaka może rzucić światło na lokalizację praojczyzny Słowian* Andrzej Pisowicz stwierdza: „Uważam te wnioski profesora Witolda Mańczaka, które dotyczą lokalizacji praojczyzny Słowian i Indoeuropejczyków w dorzeczu Odry i Wisły na podstawie obliczeń frekwencji wyrazów w tekstach, za nieuzasadnione metodologicznie i chybione". Językoznawstwo ze swymi

sprzecznościami metodologicznymi i wieloznacznością wyników nie jest w stanie ostatecznie rozstrzygać o powstawaniu i wędrówce ludów, lepiej już polegać na martwych wprawdzie, ale konkretnych artefaktach, archeologicznych przedmiotach, które też niosą przesłanie niejednoznaczne, lecz podlegające naukowej krytyce i uzgodnieniom. A te wskazują, że Indoeuropejczycy jako grupa językowa i cywilizacyjna kształtowali się na ogromnym obszarze stepów południowoeuropejskich, zaś Słowianie, będący obok Bałtów – z którymi być może tworzyli na przełomie II i I tysiąclecia p.n.e. językową wspólnotę – najbardziej archaicznym i pierwotnym odłamem indoeuropejskim, mieli swą praojczyznę na Polesiu, obszarze, który zgorszony tym przypuszczeniem Józef Kostrzewski uznał bardziej za ojczyznę bocianów, a nie licznego i dumnego słowiańskiego szczepu. Tak jakby nie pamiętał, że bociany, niegdyś i dziś, należą do świętych ptaków Słowian, a ich wiosenne przybycie jest świętowane i uznawane za dobry znak w całej Słowiańszczyźnie. I być może dlatego właśnie co roku pokonują ogromne odległości, aby być w naszym pobliżu, bo ich genetyczna, przekazywana z pokolenia na pokolenie instynktowna pamięć przechowuje owo wspomnienie odległej ludzko-ptasiej wspólnoty pośród jezior i rozlewisk poleskich.

Kazimierz Moszyński w wydanym jeszcze w okresie międzywojennym studium *Ludność pod względem psychologicznym* scharakteryzował pierwszych Indoeuropejczyków, których obraz można było uchwycić w źródłach archeologicznych. „Trzeba mieszkańców tej części świata – pisał – to znaczy nosicieli cywilizacji europejskiej, scharakteryzować pod względem psychicznym jako zdumiewająco energicznych i przedsiębiorczych, odznaczających się silną wolą, częstokroć odważnych lub szaleńczo odważnych, inteligentnych i pomysłowych, niezmiernie chciwych,

bezwzględnych, fałszywych i zdradzieckich, w przewadze – po części – krańcowo okrutnych". Takich, jakimi byli Achajowie, bohaterowie Homerowej *Odysei* i *Iliady*, podstępni zdobywcy Troi i minojskiej Krety, pierwsi Indoeuropejczycy w Grecji. Jednym słowem jak pełne złowrogiej mocy aryjskie płowe bestie, które sławił w swej *Woli mocy* Fredrich Nietzsche. Moszyński twierdzi nawet, że wędrujący na zachód Indoeuropejczycy, pełni energii i mocy, dysponujący konnymi rydwanami – które przyrównać można pod względem efektywności na polu walki do dzisiejszych czołgów – i dalekosiężnymi łukami, przejmowali zapewne za zgodą miejscowej paleoeuropejskiej ludności funkcje kapłańskie i wodzowskie, stawali się elitą wprowadzającą tubylców na wyższy poziom cywilizacyjny.

Jeśli tak było, to przypadek skandynawskich Rusów budujących organizację państwową pośród wschodnich Słowian czy podobne domniemane zachowania Waregów pośród zachodniosłowiańskich Polan nie stanowią wyjątków w dziejach Europy. Choć i w tym przypadku, ponieważ w historii nic się nie powtarza, dostrzec można znamienną różnicę. Indoeuropejczycy razem z cywilizacją i organizacją społeczną narzucili tubylcom także swój język, i to tak skutecznie, że na naszym kontynencie resztki ludności mówiącej językami nieindoeuropejskimi przetrwały do dzisiejszych czasów jedynie w peryferyjnych, trudno dostępnych miejscach, takich jak Pireneje, gdzie schronili się Baskowie, i daleka północ, gdzie mieszkali Estowie i Finowie. Proces ten następował jednak powoli, a języki indoeuropejskie podlegały widocznym do dzisiaj wpływom języków miejscowych. I jedynie te ich odłamy, których nosiciele pozostali w indoeuropejskiej prakolebce – jak Prasłowianie – zachowały pierwotną czystość, nie tylko językową.

Świadectwem tej godnej podziwu anachroniczności był zachowany jeszcze do XIX wieku w Rosji i na Bałkanach pierwotny ustrój społeczny słowiańskich wspólnot wiejskich. Wielkie rodziny, zadrugi i wotcziny, przechowały prawie niezmieniony od tysiącleci kształt archaicznej plemienności. Wszyscy członkowie tych wspólnot od urodzenia znali przeznaczone im miejsce w społeczności, wszyscy uznawali je za należne i właściwe, wszyscy zgodnie pracowali na rzecz rodziny. Ich życie biegnące pod nieustanną kontrolą wspólnoty byłoby dla nas, indywidualistów, nie do wytrzymania, bo przecież trudno znieść, gdy cały nasz los, całe życie – to, z kim założymy rodzinę, gdzie będziemy pracować, jaką karierę zbudujemy – będzie od nas niezależne, wszystko rozstrzygnie kolektyw, wielkorodzinna zadruga, rodowa wotczina. I nawet fakt, że również w momencie zagrożeń, choroby, starości czy samotności wspólnota nie zapomni o nas i zatroszczy się o nasz los, a gdy dotknie nas krzywda ze strony obcoplemieńców, straszliwa wróżda – zemsta rodowa – będzie naszą okrutną radością, nawet to nie wszystkich zdoła przekonać do tamtego systemu. A przecież owo gminowładztwo Słowian, owa pierwotna tradycja nękała nas – Polaków – przez stulecia i w końcu doprowadziła do katastrofy, do upadku największego naszego dzieła w historii, którym była Pierwsza Rzeczpospolita. Czym bowiem była demokracja szlachecka, jak nie zakonserwowanym, przechowywanym z dawnych czasów wspomnieniem prasłowiańskiej archaiczności. Wybór króla – politycznego demiurga, od którego zależało sprawne funkcjonowanie państwa – przy przestrzeganiu instytucji elekcji viritim zakładającej fizyczne uczestnictwo wszystkich upoważnionych do wyboru, oraz ustalenie zasady jednomyślności poprzez liberum veto były odwołaniem do archaicznych tradycji plemiennego wiecowania. Tradycja barbarzyńskiej demokracji,

nieodesłana w porę do lamusa historii, okazała się tragiczną karykaturą dawnych zasad, czasów gdy wszystko się rozpoczynało, było świeże i dobrze się zapowiadało.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że od momentu, gdy nasi przodkowie opuścili swój, jakże bezpieczny i przyjazny, matecznik w sercu poleskich puszcz i z zapałem wkroczyli na arenę historii, aby budować zawrotną karierę, nieustannie powiększali swe szczepy, spokrewniali się z licznymi ludami (lub ich niedobitkami) napotykanymi podczas ich wielkiej ekspansji. Potwierdzają to najnowsze badania genetyczne. Przyszli Polacy mieli więc za swych przodków obok Słowian również Gotów, Ugrofinów, Wandalów, Sarmatów i Normanów. W żyłach współczesnych Rosjan płynie krew ludów bałtyckich i ugrofińskich – Mordwinów i Czeremisów, a także Skandynawów – Waregów; Bułgarzy – jak wskazuje ich nazwa – stanowią mieszankę Słowian i azjatyckich koczowników zaliczanych do ludów ałtajskich odmiany żółtej. U mieszkańców dzisiejszej Dalmacji wykryto geny Awarów, którzy dziś żyją w Dagestanie. Inni obecni słowiańscy mieszkańcy Bałkanów dołączyli do swego biologicznego rodowodu geny Rzymian, Traków, Greków, a w późniejszych wiekach – Turków. Prawdziwy genetyczny tygiel. Od zarania naszych europejskich dziejów byliśmy i pozostaliśmy wielkimi mieszańcami, pierwszymi metysami Europy. Opłaciło się to nam.

KALENDARIUM JĘZYKOWEGO I KULTUROWEGO FORMOWANIA SIĘ SŁOWIAN

III TYSIĄCLECIE P.N.E.
Na teren Europy przybywają ludy praindoeuropejskie.

Archeologicznym świadectwem jest kultura ceramiki sznurowej – nazwa pochodzi od odcisków sznura, którym zdobiono naczynia gliniane.

POCZĄTEK II TYSIĄCLECIA P.N.E.
Rozpada się wspólnota indoeuropejska na odrębne ludy mówiące własnymi językami (Trakowie, Germanie, Grecy, Celtowie, Hetyci, Italikowie, Bałtosłowianie)

SCHYŁEK II TYSIĄCLECIA P.N. E.
Rozpada się językowa i kulturowa wspólnota bałtosłowiańska.

Bałtowie – rozwijają się leśne kultury ludów bałtyckich. Słowianie – między środkowym Bugiem i górnym Dnieprem powstaje kultura wysocka oraz na terenie lasostepu od dolnego Bohu po środkowy Dniepr kultura czarnoleska.

DRUGA POŁOWA I TYSIĄCLECIA P.N.E. – POCZĄTEK I TYSIĄCLECIA N.E.
Pod naporem ludów germańskich od zachodu i Scytów od południa Słowianie opuszczają lasostepy ukraińskie i zasiedlają tereny leśne nad górnym Dnieprem.

Świadectwa słowiańskiej kultury zarubinieckiej (II w. p.n.e. – II w. n.e.).

V–VI WIEK N.E.
Upadek cesarstwa zachodniorzymskiego i najazdy wschodnich koczowników skłaniają Słowian do ekspansji na północ, wschód i – największej – na zachód. Początek etnicznego i kulturowego różnicowania się Słowian.

Powstają kultury: tak zwana Korczag-Praga (od Prypeci po Karpaty), Kołczin – od Prypeci po górną Wołgę, Pieńkowska-lasostep po środkową Wołgę.

VI–IX WIEK N.E.
Słowianie zajmują ziemie po Łabę, Alpy, Peloponez, górne i środkowe dorzecze Wołgi, Morze Czarne; początek różnicowania językowego.

Tworzone są pierwsze słowiańskie państwa przy współpracy z Frankami, Bułgarami i Normanami.

X–X1 WIEK N.E.
Wyodrębnianie się trzech słowiańskich rodzin językowych – wschodniej, zachodniej i południowej.

Z wyjątkiem Słowian zaodrzańskich ludy słowiańskie przyjmują chrześcijaństwo i tworzą organizmy państwowe zapewniające ich trwałe miejsce w Europie.

LITERATURA WYBRANA

mmianus Marcellinus, *Rerum gestarum*, tłum. M. Plezia, [w:] *Greckie i łacińskie źródła do najstarszych dziejów Słowian*, oprac. M. Plezia, Poznań 1952.

anaszkiewicz J., *„Nadzy wojownicy" – o średniowiecznych pogłoskach dawnego rytu wojskowego*, [w:] *Człowiek, sacrum, środowisko. Miejsca kultu we wczesnym średniowieczu*, Wrocław 2000.

andtkie J.S., *Dzieje Królestwa Polskiego*, Wrocław 1820.

ates B., *Zapomniana mądrość wyrdu*, tłum. Lidia Rafa, Warszawa 1998.

iegeleisen H., *Lecznictwo ludu polskiego*, Kraków 1927.

rückner A., *Mitologia słowiańska i polska*, Warszawa 1980.

uko A., *Archeologia Polski wczesnośredniowiecznej*, Warszawa 2005.

yczkow A. i inni, *Zagadki drewnej Rusi*, Moskwa 2005.

hodakowski Z.D., *O Słowiańszczyźnie przed chrześcijaństwem oraz inne pisma i listy*, oprac. J. Maślanka, Wrocław 1967.

ollins R., *Europa wczesnośredniowieczna 300–1000*, tłum. Tadeusz Szafrański, Warszawa 1996.

ustine A., *Rosja w roku 1839*, tłum. P. Hertz, Warszawa 1995.

zekanowski J., *Człowiek w czasie i przestrzeni*, Warszawa 1935.

złowiek, sacrum, środowisko. Miejsca kultu we wczesnym średniowieczu, red. S. Moździoch, Wrocław 2000.

liade M., *Szamanizm i archaiczne techniki etetazy*, tłum. Krzysztof Kocjan, Warszawa 1994.

ałkowski A., Sendero B., *Biesiada słowiańska*, Kraków 1992.

ɔote P.G., Wilson D.M., *Wikingowie*, tłum. Wacław Niepokólczycki, Warszawa 1975.

all Anonim, *Kronika polska*, tłum. Roman Grodecki, Wrocław 1982.
ieysztor A., *Mitologia Słowian*, Warszawa 1982.
odłowski K., *Z badań nad rozprzestrzenieniem Słowian w V–VII w. n.e.*, Kraków 1979.
rimal P., *Słownik mitologii greckiej i rzymskiej*, tłum. Maria Bronarska, Wrocław 1987.
umilow L., *Dzieje etnosów Wielkiego Stepu*, tłum. Andrzej Nowak, Kraków 1997.
umilow L., *Od Rusi do Rosji*, tłum. Ewa Rojewska-Olejarczuk, Warszawa 2004.
akluyt R., *Wyprawy morskie, podróże i odkrycia Anglików*, tłum. M. Adamczyk-Garbowska, Gdańsk 1988.
'elmolda *Kronika Słowian*, wstęp i komentarz Jerzy Strzelczyk, tłum. Józef Matuszewski, Warszawa 1974.
erbert Z., *Wybór poezji*, Warszawa 1973.
erder J.G., *Myśli o filozofii dziejów*, t. II, tłum. Jerzy Gałecki, Warszawa 1962.
erodot, *Dzieje*, tłum. Seweryn Hammer, Warszawa 1959.
ıgodziński M., *Truso*, „Archeologia", nr 3, 2001.
ɛsienin S., *Czarny człowiek i inne wiersze*, tłum. Leopold Lewin, Wrocław 1994.
ıchimienko P., *Mołowidomy spominki istorii Ukrainy*, Biała Cerkwa 1995.
eats J., *33 wiersze*, tłum. Stanisław Barańczak, Kraków 1997.
iersnowski R., *Legenda Winety*, Kraków 1950.
isielewski J., *Ziemia gromadzi prochy*, Poznań 1939.
olberg O., *Dzieła wszystkie. Krakowskie*, cz. III, Wrocław 1979.
opeć J., *Dziennik brygadiera wojsk polskich*, Warszawa.
ostrzewski J., *Kultura prapolska*, Poznań 1947.
ostrzewski J., *Z mego życia*, Wrocław 1970.

ośko M.M., *Mitologia ludów Syberii*, Warszawa 1990.
otula F., *Znaki przeszłości*, Warszawa 1976.
uźniewski E., Augustyn-Puziewicz J., *Przewodnik ziołolecznictwa ludowego*, Wrocław 1984.
abuda G., *Studia nad początkami państwa polskiego*, Poznań 1988.
ewicki T., *Świat słowiański w oczach pisarzy arabskich*, [w:] *Slavia Antigua*, t. 2, 1949/50.
owmiański H., *Początki Polski*, t. I–II, Warszawa 1964–1970.
owmiański H., *Religia Słowian i jej upadek*, 1984.
Jańczak W., *Wieża Babel*, Wrocław 1999.
Jarek Aureliusz, *Rozmyślania*, tłum. Marian Reiter, Warszawa 1984.
Jiączyńska M., *Wędrówki ludów. Historia niespokojnej epoki IV–V wiek*, Warszawa 1996.
Jickiewicz A., *Literatura słowiańska*, kurs I, tłum. Feliks Wrotnowski, Poznań 1850.
Joszyński K., *Kultura ludowa Słowian*, t. II, cz. II. (kultura duchowa), Warszawa 1968.
ansen F., *Eskimosi*, Warszawa 1907.
estor, *Powieść minionych lat*, tłum. Franciszek Sielicki, Wrocław 1968.
orwid C., *Pisma wybrane*, Warszawa 1980.
asij Hilendarski, *Słowianobułgarska historia*, tłum. Franciszek Korwin-Szymanowski, Warszawa 1981.
auzaniasz, *Przewodnik po Helladzie*, ks. VIII, tłum. Janina Niemirska-Pliszczyńska, Warszawa 1993.
lezia M., *Greckie i łacińskie źródła do najstarszych dziejów Słowian*, Poznań-Kraków 1952.
liniusz Starszy, *Historia naturalna*, tłum. J. Łukaszewicz, Poznań 1845.

ol W., *Słowo a Sława*, [w:] *Dzieła Wincentego Pola*, t. III, Mikołów-Częstochowa bzd.
ybakow B., *Pierwsze wieki historii Rusi*, tłum. Andrzej Olejarczuk, Warszawa 1983.
krok Z., *Rodowód z głębi ziemi*, Warszawa 1984.
krok Z., *Skarby małe i duże*, Warszawa 2001.
łownik *starożytności słowiańskich*, pod red. W. Kowalenki, G. Labudy, T. Lehra-Spławińskiego, Wrocław 1960–1983.
łowo *o wyprawie Igora*, tłum. Julian Tuwim, Warszawa 1985.
łuchaj *mię, Sauromatha. Antologia poezji sarmackiej*, pod red. K. Koehlera, Kraków 2002.
łupecki L.P., *Wilkołactwo*, Warszawa 1987.
trzelczyk J., *Wandalowie i ich afrykańskie państwo*, Warszawa 1992.
ulimirski T., *Sarmaci*, Warszawa 1979.
ulimirski T., *Scytowie na zachodnim Podolu*, Lwów 1936.
urowiecki W., *Śledzenie początków narodów słowiańskich*, Warszawa 1824.
zajnocha K., *Dzieła*, Warszawa 1876.
zymański W., *Słowiańszczyzna wschodnia*, Warszawa 1973.
acyt, *Dzieła*, tłum. S. Hammer, Warszawa 1938.
estimonia najdawniejszych dziejów Słowian, seria grecka, pisarze z V–X wieku, wydali Alina Brzostkówna i Wincenty Swoboda, Wrocław 1989.
hietmar, *Kronika*, tłum. Marian Zygmunt Jedlicki, Kraków 2005.
oynbee A., *Experiences*, London 1969.
oynbee A., *Studium historii*, tłum. J. Mężrecki, Warszawa 2000.
ylkowa D., *Medycyna ludowa w kulturze wsi Karpat Polskich*, Wrocław 1989.
rbańczyk P., *Obcy wśród Słowian*, [w:] *Słowianie w Europie wcześniejszego średniowiecza*, Warszawa 1998.

rbańczyk P., *Vlesova Kniga* – oszustwo niedoskonałe, [w:] *Słowianie i ich sąsiedzi we wczesnym średniowieczu*, red. M. Dulinicz, Warszawa-Lublin 2003.
rbańczyk St., *Dawni Słowianie, Wiara i kult*, Wrocław 1991.
ana Z., *Świat dawnych Słowian*, tłum. Elżbieta i Józef Kazimierczakowie, Warszawa 1985.
idal-Naquet P., *Czarny Łowca*, tłum. Andrzej Stanisław Chankowski, Warszawa 2003.
Vielowiejski J., *Główny szlak bursztynowy w czasach cesarstwa rzymskiego*, Wrocław 1980.
Vojciechowski T., *Chrobacja, Rozbiór starożytności słowiańskich*, Kraków 1873.
iemie polskie w X wieku i ich znaczenie w kształtowaniu się nowej mapy Europy, red. H. Samsonowicz, Kraków 2000.
entara B., *Dawna Rosja, Despotyzm i demokracja*, Warszawa 1995.
wolski E., *Kasjodor i Jordanes, historia gocka, czyli scytyjska Europa*, Lublin 1984.
ródła arabskie do dziejów Słowiańszczyzny, t. 111, oprac. A. Kmietowicz i inni, Wrocław 1985.

CZASOPISMA

„Archeologia", roczniki 2000–2005.
„Rocznik Slawistyczny" 2001.
„Z otchłani wieków", roczniki 1985–2005.